IV

Zamki i Pałace. I

Przysłowiową tradycyę, że Kazimierz W. zastał Polskę drewnianą a zostawił murowaną, odnieść można tylko do obmurowania kilkudziesięciu grodów i do zmurowania kilkudziesięciu zamków królewskich. W rzeczywistości Polska była zawsze drewniana i pozostała nią aż do najpóźniejszych czasów. Przed wiekiem XVI murował tylko grodotwórczy osadnik niemiecki, pierwszy organizator, fortyfikator i rzemieślnik miast głównych ~~w Polsce~~ na polskiej ziemi. Nietylko w XV ale jeszcze i w XVI i XVII wieku budują się z drzewa nawet wielkopańskie rezydencye, nawet obronne zamki.† Mikołaj Górka wznosi w r. 1426 w Kurniku zamek okazały i bardzo ozdobny — *modo pulchri* — którego twórcą jest cieśla; zamek w Ostrogu, siedziba możnego rodu Gasztołdów, bardzo obronny, piętrzący się pięciu potężnemi basztami, zbudowany już w r. 1538, cały był z sosnowego i dębowego drzewa; tak samo drewniana była świetna i bogata siedziba Krzysztofa Szydłowieckiego w Łukowie; tak samo pałac Zygmunta III w Ujazdowie† Jaworów, rezydencya króla Jana III, stojąca wewnątrz we wszystko, co stanowiło ówczesny komfort mieszkalny, był również dworem drewnianym. Kosztowności i ozdobności takich drewnianych pałaców, które najczęściej niedługo po zbudowaniu padały pastwą płomieni, dziwowali się bardzo cudzoziemcy, zwłaszcza Włosi; nuncyusz Malaspina, przywykły do ciosów i marmurów swej ojczyzny, będąc gościną w takiej wspaniałej a drewnianej rezydencyi, wyraził się o niej dowcipnie, że nigdy w życiu nie widział tak pięknie ułożonego stosu paliwa. „A dlatego też rzadko się trafi w Polsce taki dom — powiada Frycz Modrzewski — któryby przez trzydzieści lat w całości trwał; mało nie wszystkie wygorywają a zaś znowu je budują."

Tę przewagę albo raczej tę wyłączność architektury drewnianej w Polsce oddaje dobrze słownik starych aktów i zapisków, w którym *architector* oznacza zawsze tylko cieślę; architekt zaś w dzisiejszem znaczeniu tego słowa nosi nazwę *murator* albo *lapicida*, jakby wyraźna wskazówka, że budowniczym polskim *par excellence* był cieśla. Polska zaczęła się gęściej mu-

~~Drewniany był pałac Zygmunta III w Wieszowie [illegible], którego [illegible] podziwiała [illegible] z roku 1663;~~

† i tegoż króla zamek w Niepołomicach, podziwiany przez Laboureura dla wspaniałej ciesielskiej roboty: *magnifique charpenterie*.



rować dopiero w XVI w., którego ostatnie dziesięciolecie wraz z pierwszą połową XVII w. jest porą najbardziej ożywionego budowniczego ruchu. Nawet główne miasta nasze ozdabiają się dopiero w tym okresie gęściej wspanialszemi dziełami kościelnej i świeckiej architektury, a wszystkie niemal głośne i mniej głośne zamki, dochowane dotąd w całości lub ruinie, siedziby możnowładczych rodów, powstały w XVI lub XVII wieku. Z tej to pory datują się zamki jak Brzeżany, Grzymałów i Mikulińce Sieniawskich, Baranów i Gołuchów Leszczyńskich, Brody i Podhorce Koniecpolskich, Buczacz i Paniowce Potockich, Chmielów i Szydłowiec Szydłowieckich, Dobromil i Międzybóż Herburtów, Dubno Ostrogskich, Działoszyn Męcińskich, (Danków Warszyckich,) Jazłowiec Jazłowieckich, Janowiec i Lubartów Firlejów, Krasiczyn Denhofów, Krupe Zborowskich, Krzyżtopory i Ossolin Ossolińskich, (Krzepice Wolskich,) Krasiczyn i Dubiecko Krasickich, Łaszki Mniszchów, Łańcut i Wiśnicz Lubomirskich, Mir, Biała, Ołyka, Birże i Nieśwież Radziwiłłów, Olesko Daniłowiczów, Pomorzany Sieniеńskich, Przecław Ligęzów, Pieskowa Skała Szafrańców, Pińczów, Książ i Mirów Myszkowskich, Rożnów Tarnowskich, Różanka Paców, Szamotuły Górków, Staresioło i Zasław Zasławskich, Sidorów Kalinowskich, Smoleń i Ogrodzieniec Bonerów, Świerz Cetnerów, Tęczyn Tęczyńskich, Zamość Zamoyskich, Zbaraż Zbaraskich, Załoźce Wiśniowieckich, Żółkiew Żółkiewskich i wiele innych; w tej samej również porze powstały najznaczniejsze pałace miejskie, jak np. w Krakowie pałacowe domy, zamieszkane przez Lubomirskich, Myszkowskich, Kmitów, Tarnowskich, Zamoyskich, Maciejowskich, Kazanowskich, Radziwiłłów, Ostrogskich; w Warszawie pyszne pałace Adama Kazanowskiego, hetm. Stanisława Koniecpolskiego, kanclerza Jerzego Ossolińskiego, okazałe dwory Sobieskich, Denhofów, Działyńskich, Sapiehów i t. d.

Wszystkie zamki budowane w ciągu XVI i w pierwszej połowie XVII w. były obronne, a podzielić się dadzą na dwa typy, t. j. na zamki ściśle zawarte, w których obronność była głównym celem a pomieszkanie jako takie miało znaczenie drugorzędne, i na zamki, które łączyły równorzędnie oba te cele i były nietylko silnemi warowniami ale zarazem stanowiły wielkopańskie rezydencye, pełne komnat i sal reprezentacyjnych. Jako wzór pierwszego typu służyć nam może zamek Herburtów pod Dobromilem, który obmyślany był prawie wyłącznie na pomieszczenie

załogi w czasie niebezpieczeństwa, podczas gdy sam jego właściciel miał osobną rezydencyę w znacznej odległości; jako wzór drugiego typu uważać można Krasiczyn Krasickich, ~~lub~~ Baranów Leszczyńskich lub Łaszki Mniszchów. Zamki i zameczki pierwszego typu zazwyczaj ubogie bywały pod względem architektonicznym. Zbudowane z skromnego materyału, z cegły i dzikiego kamienia, nie miały najczęściej ani zewnątrz ani wewnątrz nic, coby wymagało talentu architekty i dłoni artysty; zamki drugiego typu były wspaniałemi dziełami nietylko fortyfikacyjnej~~ch~~ ale i architektonicznej sztuki. Obwarowane według najlepszych wzorów ówczesnych mistrzów fortecznej inżynierji, były zarazem świetnemi pałacami, bogatemi w cios, marmur, alabaster, dekoracyjne rzeźby a niekiedy w polichromiczne lub sgraffitowe ozdoby malarskie, których ślady zachowały się w niektórych aż do naszych czasów, jak np. w Krasiczynie i Krzyżtoporach.

Dziedzińce.

Takie zamki ~~miewały bogate i bardzo obszerne kaplice, (Krasiczyn, Brzeżany)~~, powstawały prawie wyłącznie według planów architektów włoskich, a cechą ich konieczną były duże dziedzińce, t. zw. places d'armes i cours d'honneur, otoczone za włoskim wzorem do koła arkadami ‡ ~~(Baranów, Brody)~~, ~~lub~~ gdzie (zaś) arkadowań nie było, (tam wewnętrzne fasady ~~wewnętrznego~~ czworoboku) strojne ~~mi~~ bywały w rzeźbę i bogatą plastykę form architektonicznych. ~~na wewnętrznych fasadach czworoboku~~. Dziedzińce zamkowe musiały być obszerne, od ich też przestrzeni, ujętej dokoła w mury, zależały rozmiary i kosztowność zamków. W niektórych zamkach zajmował dziedziniec obszar bardzo znaczny; z ruin dotąd zachowanych zamku w Ogrodzieńcu domyślać by się można kilkumorgowej przestrzeni wewnętrznego, głównego dziedzińca. Służył taki dziedziniec za majdan czyli punkt zborny załogi a przy uroczystych sposobnościach za widownię obchodów, festynów, t. zw. tryumfów, zjazdów i igrzysk rycerskich, którym z osobnej loggii przypatrywały się damy. Taka loggia ~~bywała~~ bogato ozdobna w rzeźby figuralne i ornamentacyjne, zachowała się dotąd w zamku Krasiczyńskim, a wiemy z opowieści Daleyrac'a, że także w zamku brodzkim Stanisława Koniecpolskiego, ku bardzo obszernemu dziedzińcowi znajdował się wspaniały balkon na kolumnach kamiennych, z którego można się było przypatrywać temu, co się działo na dole – była to więc loggia tego samego co w Krasiczynie rodzaju. Zbytek posuwał się niekiedy tak daleko, że pokrywano baszty zamkowe miedzią w ogniu złoconą; wiemy np. z opisu Francuza anonima (de P.) z r. 1688, że wszystkie cztery baszty zamku żółkiewskiego miały hełmy złociste,

Ganki i loggie.

‡ jak np. w Baranowie, Brodach, Dubnie, w Brzeżanach, gdzie Ulryk Werdum (1670) zachwycał się galeryą ażurową z mistrznemi kolumnami z kamienia, obiegającą na okół cały dziedziniec zamkowy;

a tak samo w zamku Krasiczyńskim baszta t. zw. Królewska miała kopułę z gładkiej miedzi.

Rozmiary i kosztowność.

W budowie takich zamków zamiar szedł nieraz zawsze ponad siły — zdaje się, jakgdyby każdy z tych możnowładców, co chciał stworzyć dumny monument dostojności swego rodu i swego społecznego stanowiska, szedł za wskazówkami Sebastyana Petrycego, który w swojej Ekonomice pisze, że potężnym tego świata „przystoi zamki stawiać mocne dla obrony i z podziwieniem ludzkiem w wielkości, w wysokości, z drogiej materyi, jako z ciosanego kamienia, marmuru, alabastru, aby swoją wielmożność wszystkim pokazać, któraby wzbudzała przeciwko nim cześć i bojaźń. Dla wielmożności mają z kosztownej materyi budować, wielkie słupy stawiać, ganki szerokie sklepiać." Wysilano się też istotnie na ogromne przestrzenie objętego murami terenu, na którym mieściły się niekiedy osobne amfiteatra do widowisk i areny gonitw do pierścienia, jak np. w zamku laszeckim Mniszchów, przesadzano się w gigantycznych grubościach murach — magistralne mury zamku w Mirze miały sześć łokci grubości — w olbrzymich wielkościach sal, których w Nieświeżu było 12 a które w Laszkach miały po 40 kroków szerokości a po 60 kroków długości; w bezmiernej liczbie pokojów i komnat pomniejszych, których jasnowiecki liczył 105. O zamku Ossolińskich Krzyżtoporze mówią podania, że budował się 30 lat, kosztował 5 milionów, miał jadalną salę z sufitem szklanym, na którym była sadzawka z rybami, a liczył tyle okien, ile dni w roku, tyle pokojów ile tygodni, tyle sal ile miesięcy, i tyle baszt ile kwartałów — szczegóły legendarne, których najnowsze badania zachowanych dotąd ruin wprawdzie nie stwierdziły, ale które uważać trzeba przecież za odległe wiekami echo podziwu, jaki budziła swego czasu wspaniałość tej magnackiej rezydencyi. Zamki i pałace polskie, budowane prawie wyłącznie przez Włochów, górowały architekturą nad niemieckimi — Jerzy Ossoliński w Dyaryuszu podróży swojej do Ratysbony (r. 1636) pogardliwie mówi o pałacach panów rakuskich, „że wszystkie te fabryki barziej na austerye albo na staroświeckie klasztory wyglądają, aniżeli na pałace." To też do zbudowania każdego takiego zamku polskiego potrzeba było ogromnego kapitału, do jego konserwacyi ogromnej fortuny — wzniesiony raz nadmiernym wysiłkiem pożerał stale wielkie sumy, najczęściej też niósł za sobą ruinę i sam ulegał ruinie. Nietyle jednak upadek fortun i nietyle burze wojenne poniszczyły wielkopańskie narze

† Niż to ~~wspaniałych~~ zamków polskich ~~gorzej~~ obrócił w ruinę nie Tatar, nie Szwed, nie Kozak, ale deszcz, wpadający do środka przez dach dziurawy — patrzył na to już hetman Żółkiewski, który poleca w swym testamencie „opatrować" zamek, żeby się nie psował", dodaje: „Wszak nie trzeba nic dalej, jeno żeby nie ciekło, a jeśli się gdzie dachówka zepsuje, o inszą nie trudno."

zamki, co niedbalstwo i zaniechanie najtańszych choćby i najskromniejszych środków konserwacyi. †

Klęski publiczne i katastrofy wojenne, które od połowy XVII w. przez długi okres lat nieprzerwanym szeregiem nawiedzały Polskę, robiąc z niej niejako jedno wielkie pobojowisko, wstrzymały ruch budowniczy; nastały czasy, o których pisze ich świadek a sam budowniczy, że tak rzadkie stały się już mury w Polsce, iż „komin z gruntu murowany tak wielkiej jest wagi, jak colossus w Rzymie albo pyramis egipska (r. 1659)."

Rezydencye zbytkowe.

Dopiero w ostatnich dziesiątkach lat XVII wieku zaczyna się Polska murować dalej, ale teraz już w nadziei spokojniejszych czasów zamiast warownych zamków powstają pałace i wspaniałe otwarte rezydencye. Prym co do czasu i co do świetności bierze pałac zbudowany przez Króla Jana III w Willanowie. Niedługo później powstają liczne rezydencye wielkopańskie tego nowego w Polsce typu, gdzie dotąd nie wyobrażano sobie siedziby magnackiej bez baszt, strzelnic, fos i wałów, najeżonych działami. Są to pałace na wzór will włoskich i chateaux francuzkich, najczęściej dzieła wyższej architektury, wyposażone hojnie w wszystkie kosztowne warunki komfortu, elegancyi i zbytku. Ponura groza warownych murów ustępuje miejsca lekkości i wdzięków architektonicznej linji, powaga mas kokieteryi form dekoracyjnych. W porze od ostatnich lat XVII wieku aż do ostatnich XVIII powstają te świetne sielskie rezydencye, które wyglądają na polskiej ziemi, pod jej szarem niebem i wśród mizernego otoczenia dworków szlacheckich krytych słomą i lepianek chłopskich, jak gdyby je magiczna różdżka przeniosła powietrzem już gotowe wprost z ojczyzny duków włoskich i markizów francuzkich — powstają rozłożne wille i pałace, jak Arkadya i Nieborów Radziwiłłów, Białystok Branickich, Jabłonna i Korsuń Poniatowskich, Klemensów Zamoyskich, Królikarnia Tomatisa, Lachowce Jabłonowskich, Łabuń Stempkowskich, Poryck Czackich, Puławy i Wołczyn Czartoryskich, Rydzyna Sułkowskich, Słonim Ogińskich, Tynna Gozdzkich, Tulczyn i Zofijówka Potockich, Werki Massalskich, Wiśniowiec Wiśniowieckich itd. Równocześnie mnożą się także pałace królewskie i magnackie w stolicach; w Warszawie powstają pałace Krasińskich, Zamoyskich, pałac Saski i Błękitny, Łazienkowski, Brühlowski, Bielińskich, Branickich itd.; w Wilnie Paców, Słuszków, Sapiehów. Nie wszystkie one równe sobie rozmiarami i stopniem wykwintności, ale wszystkie są charakterystycznym wyrazem swego czasu, wymowną cechą współczesnych usposobień, figurą nowych potrzeb, nowych dróg kultury i nowego smaku. Tak wszystkie wspanialsze zamki obronne tak i te pałace i wille stworzyła dłoń cudzoziemca: Locci, Belotti, Solari, Chiaveri, Fontana,

Folino, Merlini, Schlüter, Pöppelmann – oto imiona głównych architektów ostatniej pory, z Polaków zasłynął nieco tylko jeden Gucewicz, autor pałacu w Werkach.

Urządzenie wewnętrzne.

Zamki polskie XVI i XVII wieku miały urządzenie wewnętrzne równie bogate i pyszne, jak wyniosłe i dumne były ich fasady, baszty i wieże. Zbytek wszakże, jaki się roztaczał w ich salach i komnatach, był jeszcze niedawny w Polsce, zrodził się dopiero na schyłku XVI a wybujał do niezwykłych rozmiarów w XVII i XVIII. Bardzo było skromne i poważne przedtem urządzenie domów szlacheckich, senatorskich a nawet czasowych pozastołecznych siedzib królewskich. Jakżeż od tego przepychu magnackich zamków, o którym poniżej będzie mowa, odbija ulubiony przez króla Zygmunta Augusta dworzec Knyszyński, w którym według inwentarza z roku 1564 nie masz ani marmuru ani jedwabiu, wszystkie kominy prostej murarskiej roboty, wszystkie okna z pospolitych błon szklanych, zwykłe drzwi zamiast podwojów i to na kowalskich wieszach żelaznych, zamykane na takież wrzeciądze, zasuwki i skoble. Cały sprzęt to ławy goło, obiegające do koła ściany i stoły długie a wązkie. Nawet w komnacie, w „której Król Jmć sypiać raczy," nie masz nic więcej, a jedyny zbytek, jeżeli nazwy tej użyć tu można, to „chłodniczek ochędożny" z tarcic zbudowany w ogrodzie. Najokazalsza jest stajnia dla 500 koni królewskich. Łazienki zato mają tylko piecyk polewany, kocieł z blachy i kominy gliniane. Dopiero później bogatsza szlachta szła z magnatami, magnaci z monarchami w zawody; niektóre zamki widocznie wzorują się na zamku wawelskim a ich wewnętrzna dekoracya jest naśladownictwem komnat monarszych. Fantazya artysty i bogactwo materyału składają się na architektoniczne i ornamentacyjne ustrojenie sal i pokojów. Marmur, złoto, cyprys, heban, różane drzewo a znacznie później mahoń, złotogłów, jedwab i szpalerowe tkaniny flamandzkie i włoskie służą za materyał dekoracyjny.

Sufity.

Przepyszne są sufity czyli jak je zwano podniebienia, które kasetami, różycami, dekoracyą rzeźbiarską i malarską przygniatają najwyższe nawet sale. Na zamku brzeżańskim Sieniawskich jeden sufit ozdobiony był olbrzymim obrazem bitwy pod Żurawnem, drugi obrazem wiktoryi wiedeńskiej, trzeci kasetowany i suto złocony, czwarty malowany w różne „osoby," piąty rzeźbiony dawał niejako wyobrażenie niebieskiego stropu, bo obsiany był złocistemi planetami, a pośrodku zwieszała się zeń na dół piramida „z osobami," szósty w dziesięciu kasetach wymywał ~~obrazy~~ sceny z wojny chocimskiej, siódmy wypełniony był portretami sławnych w historyi mężów itd.; w

Ossolinie obok sufitów ozdobionych figuralnemi malowaniami jest sufit o trzynastu belkach z balasami a po środku i po obu końcach każdego belka zwieszają się rzeźbione i złocone bukiety kwiatów, liści i owoców, w kasetach zaś belkowania mieszają się na przemian złociste sztukaterye i widoki miast i portów morskich; w Stuchowie nad wielką salą był sufit przepysznie rzeźbiony, którego dekoracya składała się z 2500 róż mniejszych lub większych, za których wykonanie zapłacono snycerzowi około 12000 zł, suma na one czasy (przed r. 1600) równająca się pokaźniejszej szlacheckiej fortunie; w Krasiczynie jeden z sufitów naśladował słynną powałę z głowami wawelskiego zamku, w Podhorcach Niderlandczyk Jan de Baan ozdobił sufity obrazami swego pędzla.

Meluzyna.

Z takiego bogatego pułapu zwieszała się zazwyczaj potężny pająk czyli t. zw. korona z grubo złoconej miedzi, najczęściej roboty wrocławskiej, lub z barwistego szkła weneckiego; niekiedy zaś miejsce takiej korony zajmowała t. zw. Meluzyna (zapożyczona od Niemców Leuchterweibchen), wyobrażająca albo popiersie fantastycznej postaci niewieściej, zakończonej olbrzymiemi rogami jelenia i trzymającej w obu wyciągniętych dłoniach świeczniki lub też skomponowaną na temat Judyty z głową Holofernesa lub Amora z łukiem, jak np. w zamku dubieckim Krasickich lub we dworze złotkowickim Korniaktów. Pawiment czyli podłoga, jeżeli nie miały jej stale pokrywać kobierce, zrobiony był z dębowych, misternie wiązanych desek, a celowali w ich wyrobie i układaniu stolarze dzikowscy i kieleccy, albo też z płyt marmurowych dwoistego koloru.

Kominy.

Olbrzymi komin był niezbędny w każdej sali. Wysilało się nań niekiedy dłuto znakomitego rzeźbiarza a za materyał służył marmur lub pośledniejszy a obfity w Polsce alabaster. Szczątki takich wspaniałych marmurowych kominów oglądać było można do niedawna w spalonej części zamku krasiczyńskiego, było ich kilka w zamku żółkiewskim, słynął z nich pałac wojewody Krasińskiego w Warszawie, gdzie kominy otoczone były posągami, miały one wysoką wartość artystyczną w zamku brzeżańskim Sieniawskich, bo wyszły z pod dłuta znakomitego Pfistera, twórcy grobowych pomników Sieniawskich i pomnika Ostrogskich w Tarnowie.

Do bogatej dekoracyi sali w marmurze, złocie, malowaniu i rzeźbie dostrajać się oczywiście musiały

Obicia i szpalery.

ściany a do ścian sprzęty. Ściany obijano najdroższemi materyami i t. zw. szpalerami. Używano do obicia złotogłowia jak np. w pałacu Adama Kazanowskiego; adamaszku i aksamitu, skóry gdańskiej tłoczonej i złoconej, jak w Żółkwi; perskich altembasów na złotem tle wzorzystych, jak w Brzeżanach; olbrzymich kobierców wschodnich, t. zw. dywańskich, jak w Krasiczynie; a w końcu także szpalerów i stref. Szpalery były to opony z kosztownej jednobarwnej materyi lub z mniej kosztownego brokatelu, złożone z podłużnych pionowych brytów odmiennego koloru. Wybierano zazwyczaj kolory czerwony i żółty, czerwony i granatowy, czerwony i niebieski. Materyę na takie opony zamawiano umyślnie we Włoszech, gdzie bryty adamaszkowe wyrabiano już z herbami zamawiającego, jak np. dla Krasickich do Krasiczyna, dla Matczyńskich do Warszawy itd. Obijano pokoje także płóciennemi koltrynami, malowanemi ręcznie w drzewa, kwiaty i zwierzęta, ale wartość ich zależała od wykonania, które nie zawsze miewało zalety artystyczne; używano tedy koltryn tylko do poślednieszych pokojów. Ale rzadkością, kosztownością i wysokim artystycznym walorem górowały nad wszystkiemi przytoczonemi rodzajami opon t. zw. dziś niewłaściwie gobeliny, to jest tkane według kartonów wykonanych dłonią prawdziwego malarza-artysty flamandzkie arrasy. Nazywano je u nas najczęściej także szpalerami, bo to była zbiorowa nazwa opon ściennych, a nie brakło ich w żadnej wielkopańskiej rezydencyi. Bywały między niemi okazy pierwszorzędnej

Gobeliny.

technicznej i artystycznej doskonałości. Podziw Francuzów, obeznanych przecież dobrze z temi utworami artystycznego tkactwa, wywoływały gobeliny w pałacu warszawskim Kazanowskiego: były one pełne figur tkanych jedwabiem na tle złotem, a jeden z nich wyobrażał bankiet królewski. W inwentarzach Janusza Radziwiłła spotykamy wielką ilość opon, z których niedokładnego nawet opisu wypływa, że były to przednie arrasy, nic innego bowiem nie może się ukrywać pod pozycyami, jak np. „szpalery, na których są wojska wyrobione,” „skrzynia, w której obicia holenderskiego sztuk 22”, „obicia holenderskiego sztuk 5” itd; ściany zamku nieświezkiego opięte były gobelinami, wyobrażającemi pamiętne wypadki z historyi rodziny Radziwiłłów, była też między niemi „wielka sztuka szpalerowej roboty manufaktury krajowej,”

która przedstawiała przegląd wojsk pod Zabłudowem pod wodzą hetmana Mikołaja Radziwiłła. Ściany zamku Krasiczyńskiego obok opon w właściwem tego słowa znaczeniu, z których 150 brytów atłasowych i adamaszkowych żółtego i błękitnego koloru zdobiły jedną salę, podczas gdy druga obita była strefami kitajkowemi o barwach czerwonej i zielonej – obwieszone były także gobelinami z herbem gospodarza; w opisie rezydencyi Wielopolskich w Tropi spotykamy szpalery z scenami z historyi Herkulesa, w Ogrodzieńcu Firlejów obicia z herbownemi lewartami, w Żółkwi szpalery przetykane złotem.

Sprzęt zbytkowne.

Tak świetnie i bogato udekorowane sale musiały posiadać także sprzęt odpowiedni. Nie było jednak przepełnienia; przeciwnie lubowano się w wolnych przestrzeniach, poprzestając na ściśle potrzebnej ilości sprzętów. Dokoła dużych sal obiegały ławy pokryte zazwyczaj wschodniemi kobiercami, których reszta, jak to zobaczymy, niebrakło nawet w skromnych dworkach szlacheckich; potężne stoły marmurowe, hebanowe, a niekiedy całe srebrną blachą powleczone, jak np. w zamku żółkiewskim; zamczyste rzeźbione almarye, sepety i skrzynie sadzone, włoskie lub niemieckie, stanowiły umeblowanie stosownie do użytkowego przeznaczenia każdej sali lub komnaty. W magnackich dworach sprzęt był wielce zbytkowny, tem kosztowniejszy, że sprowadzać go musiano z daleka, głównie z Gdańska, który dostarczał wytwornych mebli, rzeźbionych i intarsyowanych, przedewszystkiem zaś szaf i krzeseł obijanych skórą. Sprowadzano jednak meble, zwłaszcza lekkie i mniejsze, także i z najdalszych stron cudzoziemskich. Podskarbi kor. Daniłowicz w swim warszawskim domu, który miał cztery piętra, wyniosłą kopułę i cały ginął w kolumnach, „jak by w lesie jakim", według słów współczesnych, miał meble i galanterye włoskie, francuskie, a nawet hiszpańskie. W pałacu Adama Kazanowskiego, urządzonego alla moda e più commodo, jak się wyraża w r. 1643 Jarzemski w swim opisie Warszawy, i gdzie było „pięknie jak w raju," Laboureur, świadom dobrze zbytków paryskich, olśniony był bogactwem i bezprzykładną świetnością urządzenia; zdawało mu się, że przeniesiono go we śnie do jakiegoś zaczarowanego przybytku. Szafy w tym pałacu były rzeźbione i w całości wyzłacane, stołki złocistą skórą pokryte; wszędzie złoto, marmur, kosztowne galanterye. W Radziwiłłowskim Nieświeżu, którego skarbiec mieł mieścić w sobie owych legendarnych dwunastu apostołów lanych z szczerego złota a wysokich na dwie stopy, jedna z sal cały niemal sprzęt miała ze srebra „najpiękniejszej starożytnej roboty"; duży stół, o-

ogromny pająk u pułapu, wysokie gierydony, ramy zwierciadlane, wilki i ekrany kominowe były z lanego lub kutego misternie srebra. W brzeżańskim zamku były krzesła złotem i srebrem przetykane lub też sztucznie słoniową kością sadzone, inwentarz Ogrodzieńca Firlejów wymienia krzesła aksamitne z srebrnemi ozdobami i rzezane; meble krasiczyńskie ozdobione były szczodrze złotem i srebrem; krzesła miały ćwieki, kaptury i gałki srebrne, łóżka poręcze srebrne. Podwoje w salach i reprezentacyjnych komnatach zrobione były z rzadkiego drzewa, zdobne intarsyami; obramienia z rzeźbionego marmuru wieńczyły t. zw. nadproża czyli sopraporty również rzeźbione, a w niektórych zamkach artystycznie malowane, jak np. w brzeżańskim, gdzie nad każdym kominem i nad każdemi drzwiami umieszczone były obrazy i sopraporty dobrego pędzla, jak np. sopraport ~~z portretem~~ z portretem monarchy, sopraport z opadniętym przez brytany odyńcem, sopraport z kogutami itp.

Sale stołowe.

Najważniejsza a zarazem też najprzestronniejsza sala w zamku bywała sala jadalna czyli stołowa, bo jak się wyraża autor Krótkiej Nauki Budownictwa z r. 1659, „w niej hospitalitas, wesoła krotofila, dobra kompania, zabawa z przyjacioły, w niej zwykłe zażywanie największe dobrego mienia i okazałej magnificencyi mieszka — a tak słusznie ma być wesoła i ozdobna i do okazania pompy sposobna." Była to widownia hucznych i tłumnych bankietów, więc też najdostojniejszym w niej sprzętem była „służba", czyli po dzisiejszemu serwis lub kredens. Taka służba miewała olbrzymie rozmiary, składała się z licznych ~~półek~~ przegród otwartych i zamykanych, piętrzyła się półkami i uginała pod ciężarem sreber, najczęściej augsburskiej i norymberskiej roboty.

Służby czyli Kredensy.

Srebra.

Nie dość bowiem, że na magnackich stołach jadano z szczerego srebra, oprócz użytkowego serwisu gromadzono w sali stołowej całe skarbce przepysznych sreber dekoracyjnych: mis, prawd, pucharów, roztruchanów, dzbanów, nalewek, świeczników itp. Zamiłowanie w srebrach, gromadzenie wspaniałych naczyń najprzedniejszej roboty, przybierało w dawnej Polsce cechy prawdziwej namiętności. Kiedy Stefan Potocki, starosta feliński, zięć hospodara Mohiły, wybiera się na swoją awanturniczą wyprawę do Wołoszczyzny, składa swoje srebra dla bezpieczeństwa w podziemiach podhajeckiego zamku, a z ich spisu dowiadujemy się, że w depozycie tym było 22 skrzyń srebrnego serwisu najkosztowniejszej roboty, 10 puzder srebrnych łyżek, 40 drogich konwi, około 200 pucharów i roztruchanów itd. Hieronim

Sieniawski, starosta lwowski, pożyczając 30.000 zł. daje w zastaw srebra stołowe, a jeśli się zważy, że zastaw musiał przewyższać wartością swoją przynajmniej o całą ~~częś~~ trzecią część sumę pożyczoną, że zastawione srebra były tylko pewną zbędną częścią jego kredensu, i że w owych czasach za taką kwotę można było kupić znaczne już dobra ziemskie, będziemy mieć wyobrażenie o rozmiarach tego zbytku. Po podkomorzym przemyskim Wojciechu Boboli (1631) pozostaje sto mis szczerosrebrnych, mnóstwo dzbanów, nalewek, puharów, między niemi także szczerozłote i z górnego kryształu. Inwentarz sreber w zamku dubieńskim księcia Konstantego Wasyla Ostrogskiego, wojewody kijowskiego, spisany w r. 1616, obejmuje przeszło 600 sztuk srebra, przeważnie dużej wagi i misternej roboty złotniczej; bo kutych au repoussé, figuralnie rzeźbionych, pstro-złocistych i rytowanych. Są tam stoły, wanny i baryły, całe z szczerego srebra. Trzeba atoli przyznać, że zbytek ten łączył się w wielkich domach polskich z pewnym szlachetniejszym bo ~~arty~~ estetycznym niejako instynktem, z pobieżnych bowiem nawet opisów, jakie podają inwentarze, wnosić można, że te kosztowne naczynia kredensowe miały nietylko wartość kruszcu, ale i wyższą może od niej wartość artystyczną; w inwentarzu np. Urszuli Sieniawskiej znajdujemy nalewki i puhary z jeleniem, kieliszy z Fortuną, z lwami, z orłem trzymającym herb litewski, z Salwatorem, z Samarytanką, z Kurcyuszem, z Wenerą, z satyrem, który orła trzyma, z głowami męzkiemi i białogłowskiemi itp., bliskiem jest tedy przypuszczenie, że były to arcydzieła sztuki złotniczej, współcześnie tak wysoce rozwiniętej we Włoszech i Niemczech. W sali stołowej pałacu Kazanowskiego znajdowała się baryła srebrna, obejmująca 40 garncy wina, przepasana złocistemi obręczami, na której siedział Bachus również z szczerego srebra, a nadto była w tej sali srebrna fontana, z której podczas biesiad wybijał się na kilka łokci w górę ~~wodot~~ winotrysk. Niekiedy ustawiano na służbie wśród sreber także barwiste, o fantastycznych formach szkła weneckie z Murano – „choć z Murania ma kryształy," mówi w jednym wierszu swoim Wespazyan Kochowski – porcelany chińskie i fajansy włoskie, wówczas w Polsce dla rzadkości i trudności dalekiego transportu równie drogie a może droższe od sreber, zapewne owe vasa ~~ind~~ porcellana indica, które ks. Baranowski wysyła z Rzymu królowi Zygmuntowi III; znajdujemy je też ~~nietylko~~ po zamkach ~~ale~~ i po znaczniejszych dworach, jak np. w Tropi, w

Szkła i farfury.

12

Nieświeżu, w Ogrodzieniu, gdzie obok naczyń z górnego kryształu, oprawnych w złoto i „Kokosów," t. j. kubków z kokosowego orzecha, na kredensach stały farfury i szkła tak drogocenne, że je przed najazdem szwedzkim wraz z najdroższemi klejnotami zakopywano w ziemi.

Dekoracya malarska.

Co nas w urządzeniu zamków uderza, to fakt, że podczas gdy pod architektonicznym względem mają wyłącznie lub przeważnie piętno włoskie, to dekoracya ich wewnętrzna, główne sprzęty, srebra i galanterye są pochodzenia niemieckiego lub flamandzkiego. Ossolińscy posługują się niemieckim malarzem Justem Ammanem zamek Sieniawskich w Brzeżanach dekorują sztukaturami i rzeźbami wrocławianin Pfister, podhoreckie sale i komnaty zdobi pędzlem Jan de Baan, a w warszawskim pałacu Kazanowskich zostają Jurzemski „holendrowe malarze w szerokich pludrach" jak malują obrazy. Gdańsk był pośrednikiem między polskimi amatorami zbytku a utworami niemieckich rękodzieł artystycznych; Wrocław, Norymberga i Augsburg, z którymi kupiectwo naszych stolic utrzymywało częste relacye, miały zawsze bardzo wydatne pole zbytu w Polsce. Mimo dwóch Francuzek na tronie polskim w XVII wieku nie traci u nas przewagi artystyczny przemysł niemiecki; dopiero z końcem XVIII wieku wypiera go z pałaców zwycięzko smak i artystyczna produkcya Francyi.

Kaplice.

~~Jak już wspomnieliśmy~~. W każdym większym zamku była kaplica, a jeśli część zamku, poświęcona codziennemu życiu i czysto świeckim celom, uderzała bogactwem i świetnością sprzętu i dekoracyi, o ileż bardziej godziła się wspaniałość przybytkom modlitwy w społeczeństwie tak pobożnem. W dwóch dochowanych dotąd a znanych nam kaplicach, dochowanych jednak tylko w szkielecie pozbawionym po największej części bogatej niegdyś dekoracyi w obrazach, sprzętach i ~~[illegible]~~ aparatach, w zamku Krasickich i w zamku Sieniawskich, widzimy dziś jeszcze, ile kosztu łożono na ich artystyczne urządzenie. Kaplica zamkowa w Krasiczynie do dziś dnia imponuje bogactwem rzeźb i ornamentacyj, a mianowicie intarsyami w drzewie; kaplica w Brzeżanach, przeznaczona zarazem na mauzoleum rodziny Sieniawskich, pokryta jest rzeźbami świetnego dłuta Jana Pfistera, które całą swą bujność okazały przedewszystkiem w kopule i dekoracyi prawego skrzydła, obsypując ją rozetami i puttami, festonami kwiatów i owoców, ka-

plica w zamku oleskim, który już w r. 1664 był na poły ruiną, miała bogatą marmurową posadzkę, sklepienie z „rzezaniem bardzo pięknem, z wierzchu złocistem", jak się wyrażają lustratorowie, ołtarz misternie rzeźbiony, ławki wykonane subtelnie snycerską robotą i pozłacane całe do koła. Nie tylko w pierwszorzędnych zamkach magnackich znajdowały się takie bogate kaplice, spotykamy je także w domach możniejszej szlachty. W dworze Wielopolskich w Tropi była kaplica mała, ale po amatorsku wypieszczona, klejnot modrzewiowej siedziby. Jak wiemy z inwentarza, spisanego r. 1637. kapliczka ta miała strop kasetowany i suto rzeźbiony, kaset było 16 a każdą wypełniał obraz religijnej treści. Ołtarz uderzał bogatą snycerską robotą i ozdobiony był posągami z alabastru, na ścianach wisiało przeszło sto miniatur pargaminowych, ławki czyli t. zw. formy były rzeźbione i złocone — ornaty, mszały, kielichy prawdziwie przednie i kosztowne.

II

O ile ~~tu~~ wspaniałość wielkich zamków świadczyła o ~~dostojnym~~ zmyśle monumentalności i o wyższym instynkcie kultury, o ile była szczerą a twórczą potrzebą potężniejszych indywidualności, pragnących stwierdzenia siły i dostojności swego rodu i stanu, a nie wypływała z pospolitego naśladownictwa lub z próżności, o tyle była dodatnim objawem społecznym w danym czasie i danej warstwie — kwestya wszakże, czyli z tą zewnętrzną świetnością, z tym materyalnym zbytkiem szedł także w parze wzgląd na wyższe, idealne strony życia, nie zawsze i nie całkiem da się rozstrzygnąć na korzyść czasu i ludzi. Dopiero na szarym końcu inwentarzy tych wielkich rezydencyj idą

Biblioteki.

biblioteki, jeżeli tak nazwać można pewną ilość przygodnie zebranych książek. Czytamy wprawdzie, że na zamku brzeżańskim była „biblioteka portretami adornowana," ale nie wiemy, czy były w niej książki; że Adam Kazanowski miał w swym pałacu warszawskim bibliotekę w różnych językach, że w Ogrodzieńcu Firlejów według słów wojewodziny smoleńskiej Petroneli Firlejowej było „niemało ksiąg rozmaitych i drogą oprawą," kupionych za nieboszczykowskie pieniądze w cudzych krajach i w ojczyźnie," że to była biblioteka wielka, „z której Szwedzi niemało pobrali"; że w Dąbrowicy były rękopisy „wybornem pisaniem, kosztownie oprawne" — ale są to niemal wyjątki, i nie mamy też

wskazówek, któreby świadczyły, że zakładano biblioteki z zamiłowaniem, systematycznie i z celem. W wspaniałym zamku zbudowanym przez wojewodę Marcina Krasickiego, który, jak się wyrażało jego epitafium: Krasiczynum mundo admirandum fecit, biblioteczka bardzo szczupła; jest w niej zaledwie sto dzieł przypadkowo zgromadzonych, kilku klasyków starożytnych i kilku historyków polskich, dowiadujemy się zato, że niektóre księgi oprawne są w srebro i spoczywają w skrzyni aksamitnej także srebrem okutej.

Dzieła sztuki.

To samo da się także powiedzieć o dziełach wszelkiej sztuki. Nie brak i tu wskazówek, że dzieła dłoni ludzkiej, których znaczenie polega nie na materyalnej ale na czysto idealnej wartości, że utwory sztuki jako czystej sztuki były w przerażającej mniejszości wobec tego nieprzebranego mnóstwa złota, srebra, klejnotów i bajecznie kosztownych sprzętów. Nie masz wprawdzie wątpienia, że między owym przepysznym „rozlicznym statkiem", między temi skarbami w złocie, srebrze i bogatych tkaninach, które na 150 wozach w r. 1655 wywieźli łupieżczy Szwedzi z zamku Lubomirskich w Wiśniczu, znajdowały się i dzieła sztuki, obrazy i rzeźby, ale nie masz także wątpliwości, że stanowiły one tylko najdrobniejszą cząstkę zdobyczy. Hetman Krzysztof Radziwiłł ma rodzaj domowego muzeum a syn jego Janusz w listach swych prosi krewnych, aby „obsyłali Kunszt-Kamer ojca sprzętem jakim"; w zamku nieświezkim jest galerya obrazów, biblioteka, muzeum, zbiór wspaniałych zbroji, gabinet przyrodniczy itd., inwentarz zamku brzeżańskiego mówi o „obrazach włoskich"; w pałacu Kazanowskiego były posągi marmurowe i liczne płótna; pałac Jerzego Ossolińskiego mieścił w sobie całą kolekcyę bronzów artystycznych, posągi królów, spiżowe statuy sprowadzone z Rzymu, mozaiki figuralne, popiersia marmurowe Cezarów rzymskich a w kaplicy „przechodził wszystko obraz rzadkiej piękności, w którym mistrz pokazał całą swą sztukę," jak zapewnia Jarzemski, nie wymieniający malarza, w którym domyślać się należy któregoś z najsłynniejszych mistrzów włoskich. Bogaty był w płótna zamek żółkiewski, a musiały to być przeważnie rzeczywiste dzieła sztuki, skoro autor inwentarza, sam malarz, Siemiginowski, który zwykł przy każdym lichszym obrazie wyraźnie zaznaczać, że rzecz nic nie warta, taką krytyczną uwagę tylko przy nieznacznej stosunkowo części całego zbioru wypowiada. Obok pewnej ilości „szmelcowanych" a więc

emaliowanych, może limuzyńskich wizerunków, były w Żółkwi portrety, batalje, widoki, _nature morte_ w bardzo wielkiej ilości, a między temi płótnami górował jeden _Depositionis Christi_, który musiał wyjść z pod pierwszorzędnego pędzla, skoro autor inwentarza dodaje przy nim uwagę: obraz na desce, _oryginał najpyszniejszy_." Między obrazami spotykamy tam także scenę myśliwską włoskiego mistrza Bassano. Wojewodzina smoleńska Firlejowa zapisuje w swoim inwentarzyku następującą pozycyę: „obrazów nieboszczyków przodków i rozmaitych sztuk _gwałt_ drogich i kosztownych, starodawnych obrazów niemało w Ogrodzieńcu i Dąbrowicy" – ale czy pod tym „gwałtem" obrazów domyślać się można konterfektów ubogiego pędzla domorosłych malarzy dworskich czy też dzieł wyższej wartości, to kwestya otwarta.

Mikołaj Wolski, marszałek w. kor., posiadał liczny zbiór płócien włoskich w zamku swoim krzepickim, a że wiele było na nich kobiecych nagości, kazał je wkrótce przed śmiercią swoją popalić, „aby _ad libidinem_ i do grzechu nie pobudzały", na ściennych zaś malowaniach w jego ~~[illegible]~~ komnacie sypialnej ~~malarz~~ jakiś domowy artysta ~~musiał~~ miał nymfom „sukienki wymalować i _inhone-states_" pokryć."

Galanterye i cacka.

Ale wszystko, coby się dało przytoczyć z dzieł sztuki, zdobiących zamki i pałace aż do schyłku XVII wieku, niknie wobec niesłychanego bogactwa przedmiotów grubego zbytku, obliczonych na ~~liny~~ materyał i nagły efekt, na chwytającą za naiwne oczy pompę, na egzotyczną osobliwość, na sztuczkę i niespodziankę. Są to same, starożytne dziś dla nas galanterye i bibeloty, figielki, zabawki i cacka, niekiedy bardzo dowcipne i misterne, zawsze bardzo kosztowne, który o przeszło całe stulecie bliższy tym czasom Jezierski nazwie „sposobami fałszywej wyniosłości, drewienkami, szkiełkami i ozdobnemi pstrociznami." Jakoż trudno sobie wyobrazić bogatszej pstrocizny nad to, co nam wylicza wielce ciekawy inwentarzyk zamku w Ogrodzieńcu z roku 1663. Spotykamy tam obfitość takich rzeczy, jak „zwierciadło, w którem z jednej strony widzi się wielka rzecz każda nad podobieństwo, z drugiej także nad podobieństwo mała," „perspektywa z słoniowej kości, w której się pchła jako rak widzi," „dziateczka nad zamiar maleńkie kosztowną robotą," „mysz rozmyślną robotą, która jako żywa biegała, kukułka, która jako żywa kukała," „szkatuła w srebro oprawna, która sama grała," „słoniowa kolebka z dzieciątkiem" itd., a to wszystko wśród całej Golkondy klejnotów, pereł, złota, najdroższych szat, złotolitych makat, kobierców itp. W pałacu Kazanowskiego leżą rozsypane po wszystkich stołach czary złote i kryształowe, kindżały i noże wschodnie nabijane drogiemi kamieniami, z potężnych szaf oszklonych bije blask precyozów i najdroższych galanteryj, osobny skarbiec pełen sreber, rzędów sadzonych rubinami i olśniewającej

złotem broni; jest tam zegar, który co minuta wyrzuca gałkę złotą, jest wspaniała ptaszarnia pokojowa, są klawicymbały, pozytywy, lutnie, wiole, harfy w najkosztowniejszem wykonaniu, a to wszystko odbija się zewsząd w olbrzymich weneckich zwierciadłach. Trudno byłoby i najzapartszemu nawet chwalcy przeszłości zataić to przed sobą, że cały ten zbytek, cała ta świetność materyalnej głównie natury, nie bogaciła kulturalnego mienia narodu, nie szła na rachunek cywilizacyjnego dorobku; rujnowały się na niej olbrzymie fortuny; całe szkuty złotej polskiej pszenicy brał Niemiec gdański za jedną osobliwą błyskotkę, tak jak dziś jeszcze Europejczyk bierze od murzyna kość słoniową za szklane paciorki, a nic charakterystyczniejszego nad fakt, że istniał specyalny rodzaj towarów, zwany przez Włochów _roba per Polonia_, obliczony na próżności ~~nai-~~ ~~wości~~ i lekkomyślności klas bogatych, na ciemnotę i łatwowierność ubogich. Dopiero w dobrych sto lat później odsłonią się oczom górujące warstwy narodu szerzej i jaśniej wszystkie cele kultury, rozpocznie się cywilizacyjna „rewaloryzacya walorów,” dopiero w dobrych sto lat później stworzy Ks. Załuski swoją niezrównaną bibliotekę, kupi dziedzic tulczyński za 10.000 dukatów Madonnę Rafaela, wyłoży kanclerz Dominik Radziwiłł 60.000 czerwonych złotych ~~z~~ na bibliotekę i gabinet przyrodniczy, powstaną Puławy i Nieborów, przyjdą na świat Działyńscy i Ossolińscy.

Jak już nadmieniliśmy, aż do drugiej połowy XVII w. wszystkie niemal siedziby wielkopańskie były zamkami warownemi czyli jak mawiano zawartemi; nie było wielkich i wspaniałych rezydencyj i dworów nieobronnych, otworzystych, bo te, które już w XVI i w pierwszej połowie XVII w. istniały, były wyjątkami. Do

Rezydencye wiejskie.

takich wyjątków należały podmiejskie pałace albo raczej wille jak np. Łobzów królewski, jeszcze w r. 1596 według świadectwa sekretarza kardynała Gaëtaniego bardzo świetny i z uroczym ogrodem, jak włoska willa Bonerów w Balicach, _opus inter miracula reponendum_, jak Wola Justowska Decyusza, _castellum elegantissimum_. Z tych epitetów łacińskich, z których pierwszy pochodzi od Sarnickiego, drugi od Starowolskiego, wnosić można, jak się wydawały świetne i wspaniałe współczesnym i jak dalece uważano je za rzadkości i osobliwości godną admiracyi. Różanka Paców, o której się wyraża w swoim epigramacie Royzyusz: _Pacius has coelo sublimes extulit aedes_, była także więcej pałacem włoskim aniżeli zamkiem. Z czasem, kiedy zaczęły powstawać

Parki i ogrody

zamiast zamków obronnych wspaniałe a zarazem wesołe pałace i rezydencye wiejskie, poczęły się rozbrajać i stare zamki, jakby zrzucały z siebie pancerze, w których im duszno i ciasno było przez długie lata. Zakładano tedy i przy zamczyskach obszerne ogrody; opasały się zielonym wieńcem drzew i krzewów groźne baszty. Istniały już i w XVII wieku rezydencye z wielkiemi i po amatorsku urządzonemi ogrodami, jak np. pałac t. zw. Kazimierzowski Władysława IV, otoczony parkiem włoskiego stylu z „drzewami jakby baszty sklepionemi," z parterami kwiatów, fontanami, posągami Neptuna, Herkulesa itp., z delfinami wyrzucającemi z paszcz wodotryski itd., jak Kruszyna Denhofów, gdzie w r. 1646 świtę marszałkowej de Guébriant uderzył piękny ogród, ozdobiony parterami, szpalerami i pawilonami, jak Radziejowice Radziejowskich z bardzo obszernym i kosztownie założonym parkiem, pełnym cienistych alei, sztuk wodnych, kwiecistych teras, itp., jak Podhorce Koniecpolskich, w których Stanisław Oświecim już przed r. 1650 podziwiał „fontany, groty i kaskady na wszystką Polskę sławne"; jak Żółkiew, gdzie według opisu bezimiennego francuzkiego turysty (księdza F. de S.) z roku 1688 był ogród zamkowy z pawilonami, całemi ze szkła, i z trzypiętrową wieżą, z której rozlegał się widok na całą okolicę, a nadto olbrzymi park o gęstych gajach i rozległych trawnikach, po których bujały sarny i jelenie. Były to wszakże rzadkie jeszcze osobliwości w Polsce, inauguracye okresu, w którym powstać miały parki i ogrody, na wielkie rozmiary, z bogatą inwencyą dekoracyjnych środków i prawdziwie artystyczną kompozycyą planu. Taką inauguracyą był park wspaniały w Laszkach Mniszchowskich, którego konfiguracyę i rozkład przechował nam rysunek oficera artyleryi Kleina z r. 1734. Ogród ten miał śliczne partery i kobierce kwiatowe, których rysunek nie ustępował najlepszym tego rodzaju francuzkim kompozycyom z końca XVII i z początku XVIII wieku, a więc z czasów słynnego Le Nôtre, posiadał wielką fontannę, trzy basenie, wodotryski, labirynty, groty, tajemnicze ustronia, ermitaże itp. Długie, potężne aleje tworzyły zasadniczą artykulacyę tego przepysznego parku, oplatała go misternie skombinowana sieć chodników, które miały ujście w rondach i półkręgach, ozdobionych świątyniami, łukami, posągami itd., oranżerye, pawilon bilardowy, amfiteatr, dwie kręgielnie, i obszerna arena, urządzona na gonitwy do pierścienia urozmaicały całość; po monumentalnych schodach, ozdobionych posągiem Neptuna, schodziło się do

rzeki Strwiąża, który przepływał przez całą szerokość ogrodu a ujęty był w kamienną balustradę.

Ale porą najświetniejszego rozwoju wyższej sztuki ozdobnego pejzażowego ogrodnictwa, porą, z której się datują najświetniejsze kreacye tego rodzaju, są ostatnie dziesiątki lat XVIII wieku, szczytem zaś zbytku i wielkopańskiej fantazyi jest Zofijówka Szczęsnego Potockiego, stworzona podobno kosztem piętnastu milionów, opiewana przez Trembeckiego i Delilla, stawiona jeszcze w pierwszej połowie XIX w. jako *la merveille de l'Ukraine* — owoc posępnej raczej melancholii aniżeli poetycznej wyobraźni, tragiczna sielanka, smutny kwiat, rzucony na grób własnych illuzyj. Te wszystkie rozkoszne parki i pałace z drugiej połowy XVIII wieku, te wszystkie rezydencye wyliczone już przez nas poprzednio: Białystok, Łabuń, Słonim, Jabłonów, Wołczyn, Puławy i tyle innych, to już świat całkiem nowy, całkiem obcy, świat prawie improwizowany, odcięty od przeszłości, odcięty od społeczeństwa, odcięty nawet od domowych tradycyj tych ludzi, którzy go stworzyli. Już i te wspaniałe zamki magnackie, które powstały w ostatnich latach XVI i w pierwszej połowie XVII wieku, nie wyrastały z siły, z kulturalnego gruntu społeczeństwa, nie wiązały się organicznie z swoim światem, ale przecież o tyle były mu bliższe i o tyle pożyteczne, o ile były zarazem obronne, o ile miały dwie racye bytu: praktyczną potrzeby i etyczną służby. Zbytkiem były owe bogate, złotem i srebrem nabijane zbroje szlachty polskiej, bo dość było na samem żelazie, ale w tych zbrojach bito się przecież i zwyciężano; zbytkiem była wspaniałość zamków magnackich, bo dość było na samych basztach i wałach, ale te zamki stawiały przecież opór najeźdźcom i wytrzymywały oblężenia. O wielkopańskich siedzibach XVIII w. i tego powiedzieć nie można. Były niejako celem same sobie; nie było najczęściej między niemi a ich panami wewnętrznej relacyi smaku, szczerze odczuwanej estetycznej czy też cywilizacyjnej potrzeby i prawdziwego ukontentowania. Gdyby ten zbytek, niekiedy tak lekkomyślny i gorszący, miał przynajmniej grunt jakiś swojski; gdyby wypływał z wyrafinowanej sztuki życia, jak np. w współczesnej Francyi, z szczerego, głębokiego amatorstwa, gdyby ta elegancya zewnętrzna łączyła się była z elegancyą umysłów, lub gdyby była nareszcie schyłkową patologiczną manią, tak zrozumiałą w narodach bardzo

starej kultury i bardzo bogatych środków, ale już przeżytych i przekwitłych – miało by to wszystko swoje znaczenie historyczne i swoją logikę społeczną. Ale w narodzie młodym, ubogim, surowym jeszcze i mało oświeconym, był to tylko kontrast szyderczy, a dlatego bolesny, że zbiegał się z najtragiczniejszą dobą naszych dziejów.

Francuszczyzna.

Przepyszne te rezydencye, pełne najkosztowniejszych mebli i fraszek, przeładowane tem wszystkiem, na co tylko zdobyć się mogły zbytek paryzki i złoto polskie, pełne pasożytów i przeliczny gawiedzi dworskiej, znane są zanadto dobrze z pamiętników, opisów a nawet obszernych monografij, i do nich też odsyłamy czytelnika, poprzestając na kilku najgłówniejszych rysach. Jak w XVI i pierwszych latach XVII wieku Włochy, jak później przez cały okres czasu Niemcy, tak teraz głównie a nawet wyłącznie Francya wyciska swoje piętno na zbytku wielkopańskim. Paryż staje się Mekką polskiej elegancyi. Boule i Josephe dostarczają mebli; manufaktury Gobelinów i Sèvres zdobią ściany i kredensy; Riesener, Caffieri i Falconet modelują te kandelabry, zegary i złocone bronzy, które wypełniają pałace. Lebrun daje kartony do sufitów i dekoracyj, Boucher maluje sopraporty, Meissonier komponuje ensemble i szczegóły urządzenia, jak np. dla marszałka Bielińskiego, Le Nôtre jest wyrocznią w sztuce zakładania ogrodów, Rousseau i Delille uczą pojmowania piękna przyrody. Przesadzanie się w tworzeniu parków i ogrodów jest jedną z głównych cech wielkopańskiego gustu w tych czasach. Nie masz rezydencyi bez kosztownego parku. Wołczyn, Białystok, Powązki, Puławy etc. przewodzą temu amatorstwu, które w stosunkowo krótkim czasie przechodzi rozmaite fazy smaku, od natury przeinaczonej w dworską dekoracyę, od strzyżonych ścian szpalerowych i ciętych w sztuczne formy drzew Wersalu do szerokich planów, do dalekich perspektyw, do swobodnych grup drzew i rozległych płaszczyzn zielonych według nowatorskich projektów Anglika Kenta. Najsłynniejsze ogrody tego czasu, przedewszystkiem francuzkie, jak Beloeil księcia de Ligne, jak Montreuil pani de Polignac, Rincy księcia Orleańskiego, Le petit Trianon królowej francuzkiej itp. – mają swoje kopię i swoje parodye w Polsce, tylko że tych drugich znacznie więcej. Bywają między temi bajecznie niekiedy kosztownemi ogrodami dziwactwa i wybryki, prawdziwie dziecinne igraszki, jak w Powązkach Czartoryskich, jak w słynnej Arkadyi, jak w owej małpiej Kolonji Ks. podkomorzego Poniatowskiego

na Solcu)
(która kosztować miała 200.000 dukatów, jak nareście w owym pełnym najkomiczniejszej sentymentalności i najniedorzeczniejszych konceptów jardin moral et emblematique wojewody bełzkiego Borcha. Nie dość na grotach z 3.
muszli, na pustelniach, na tkliwych symbolach i allegoryach w gipsie i malowanem drzewie, na barankach i sielankach à la Watteau, ~~są~~ jeszcze takie fantazye, sztuczki i niespodzianki, jak np. w Powązkach owe lepianki o słomianych strzechach, których wnętrza olśniewają ~~bogatym~~ a nieprzeczuwanym zbytkiem: „wierzch podobny do chaty, wnętrze do świątyni" — mówi o nich poeta-dworak. Krasicki dowcipnie wyszydza tę sentymentalno-sielankową modę słowami Modnej Żony: 4.

Niech będą z cyprysów gaiki,
Mruczące po kamykach gdzieniegdzie strumyki;
Tu kiosk, tu meczecik, holenderskie wanny,
Tu domek pustelnika, tam kościół Dyanny,
Wszystko jak od niechcenia, jakby od igraszki,
Belwederek maleńki, klateczki na ptaszki.
A tu słowik miłośnie szczebiocze do ucha,
Synogarlica jęczy a gołąbek grucha,
A ja sobie rozmyślam pomiędzy cyprysy
Nad nieszczęściem Pameli albo Heloisy...

Zbiory artystyczne i naukowe.

Amatorstwo ogrodów, jakkolwiek zbytkiem odbiegające od prawdziwej miłości przyrody, było mimo wszystko rysem dodatnim w życiu wielkopańskiem; dodatniejszym jeszcze był moment artystyczny, ozdabianie pałaców dziełami sztuki i zbiorami, chociaż i tu więcej było mody i próżności, aniżeli szczerego pokochania. Puławom zawdzięczamy jedno z najbogatszych muzeów polskich, bo one to były jego płodnym zawiązkiem; płótna Rafaela, Giorgiona, Domenichina, Holbeina i bogata kolekcya innych arcydzieł wielkiej i małej sztuki, które dziś podziwiamy w muzeum ks. Czartoryskich, są kulturalnem wzbogaceniem Polski. Tulczyn Potockich był także bogaty w rzeźby i obrazy; była tam Madonna z św. Janem Chrzcicielem Rafaela, były płótna Giulia Romano, Tycyana, Rubensa, Van Dyka, Teniersa itd, były starożytne ~~brązy~~ [rzeźby rzymskie,
33/3 był bogaty gabinet numizmatyczny, nie brakło biblioteki o 10.000 tomach. W Nieświeżu podziwiać mogli współcześni całą galeryę pierwszorzędnych dzieł sztuki, między któremi miał się znajdować Chrystus Leo-

‡ podskarbi litewski Tyzenhaus posiadał bogaty zbiór płócien z pod znakomitego pędzla, Wincenty Potocki wielką kollekcyę sztychów i oryginalnych rysunków, między któremi, jak zapewnia Bernouille sam Rubens reprezentowany miał być przeszło 3500 okazami; Braniccy zatrudniając na swoim dworze w Białymstoku niepospolitego malarza Mirysa;

nardo da Vinci; ‡ Arkadya Nieborowska słynęła z bogactwa swego artystycznego skarbca, posiadała zbiór starożytnych kamei, waz etruskich, płaskorzeźby, lapidarium złożone z autentycznych kolumn, kapiteli, ~~rzeźb~~ skulptur przywiezionych z Morei. Ale nawet dzieła wielkiej sztuki albo służyły celom jakiejś dekoracyjnej fikcyi; w Arkadyi np. z starożytnych greckich kolumn i okruchów rzeźb budowano sztuczne ruiny, albo ginęły w całej powodzi cacek galanteryi i osobliwostek, w pstrej mieszaninie sentymentalnych „pamiątek," a co gorsza, w otoczeniu takich szczególnych zabytków, zbieranych z naiwną wiarą w ich wartość i autentyczność, jak np. kamień z grobu Cyda i Chymeny, trawka z pola Fingala, gałązka z miejsca, gdzie stała Troja, sandały Montezumy, szczypta popiołu Abelarda i Heloizy, grzebień Bianki Capelli, pantofle pani Maintenon i tym podobnych „muzealiów," które sprawiają, że niektóre ustępy katalogu Gotyckiego Domku w Puławach czyta się jakby utwór humorystyczny jakiegoś dowcipnisia, który chciał wyśmiać manię antykwarską. Dalszym modnym zbytkiem były nadworne teatra, opery i balety.

Teatr nadworne.

Utrzymywał taki teatr nadworny wojewoda ~~ziem~~ ks. Adam Czartoryski w Puławach, hetman Ogiński w Słonimie, kanclerz lit. Sapieha w Różanie i Dereczynie, hetman Branicki w Białymstoku. Grywano przeważnie rzeczy francuskie; w Białymstoku, „Wersalu podlaskim," także włoskie.

Dworzanie i służba.

Po tem wszystkiem, co wiemy o rezydencyach magnackich ~~XVIII~~ ubiegłych wieków, łatwo sobie wyobrazić, co kosztowało ich utrzymanie w całym ruchu i wymaganej świetności reprezentacyi. Dość przytoczyć szczegół, że na utrzymanie rezydencyi w Puławach wydano w r. 1793 około półtora miliona zł., co mając na względzie ówczesną wartość pieniędzy, równa się pewnie czterem milionom dzisiejszym. Jeden z autorów cudzoziemskich, opisujących stosunki polskie w ostatnich latach XVIII w., ex-jezuita Vautrin, opowiada, że znał pewnego magnata litewskiego, którego dwór zjadł w jednym roku 7000 korcy żyta, 4600 korcy pszenicy, 15.000 sztuk drobiu, 3600 garncy masła i 60 wołów, nie dziw też, że z majątku jego w przeciągu dwóch lat poszło w zastaw wsi dwanaście. Najpoważniejszą część olbrzymich wydatków, jakich wymagało utrzymanie rezydencyi magnackiej, pochłaniała służba. Już same wielkość i obronność zamku wymagały licznej służby zbrojnej; zbytek i zamiłowanie świetności reprezentacyjnej podwajały lub nawet potrajały tę liczbę, niebezpieczeństwo publiczne, trwoga tatarska, zajazdy i prywatne wojny możnowładzców doprowadzały ją do

rozmiarów, rzec można, nieprawdopodobnych. Służba wielkopańska miała swoje stopnie hierarchiczne a dzieliła się na szlachecką i nieszlachecką. Uboga szlachta dostarczała zazwyczaj kontyngensu zbrojnej czeladzi i t. zw. służby rękodajnej. Sługa rękodajny — manu stipulatus — stąd brał swoją nazwę, że podaniem ręki ręczył za dotrzymanie warunków i terminu swojej ugody służbowej; był to niejako sługa za kontraktem, mógł pozywać i być pozywany w razie jego niedochowania. Obok świadczeń rozmaitych in natura, pobierał płacę w gotówce czyli t. zw. suchednie, który to termin powstał z utartego powszechnie zwyczaju, że służbie wypłacano należytość czyli jak zwykle mawiano „myto" kwartalnie w okresach suchedniowych, t. j. około św. Łucyi, Popielca, Zielonych Świątek i św. Krzyża. Starszemi stopniami służby u wielkiego pana nie gardziła szlachta znakomitego imienia i senatorskiego nawet rodu; traktował ją też służbodawca z wyjątkowemi względami. Kanclerz Albrecht Radziwiłł zostawił nam wiadomość o dwóch wspaniałych weselach, które wyprawił swoim sługom a mianowicie rękodajnemu Zawiszy, który pojął pannę służebną kanclerzyny, i drugiemu Czarlińskiemu, który również poślubił pannę z jej fraucymeru Rożnowną; oba te wesela trwały przez dwa dni, a w godach wzięli udział ~~nietylko~~ nuncyusz i senatorowie a nawet dwór królewski zaszczycił je swoją obecnością. Nie łatwo jednak było zostać starszym dworzaninem, powiernikiem i towarzyszem samego pana. Trzeba było posiadać ku temu zalety umysłowe, fizyczne a nawet rodowe — Kromer w swoim opisie Polski wymienia cztery konieczne warunki takiej kandydatury: statura, forma, elegantia et genus.

Stosunek wzajemny pana i sługi nie zawsze jednak bywał tak patryarchalny i na obopólnem szacunku i przywiązaniu oparty, jakby to sobie ~~dziś~~ wyobrażać można było po ~~tym~~ przytoczonym przykładzie z Radziwiłłowskiego dworu — zbyt często tyraństwo pana lub zdradziecka niegodziwość sługi doprowadzała do krwawych zatargów i mamy bardzo liczne przykłady, że dobry pan padał ofiarą sług zuchwałych i chciwych. Despotyzm i okrutna samowola niektórych możnowładców, którzy uważali się za udzielnych książąt, za panów życia i śmierci swoich poddanych i podwładnych, musiała niekiedy wywoływać gwałtowną reakcyę; przybierała ona bowiem cechy istnej cezaromanii i jeszcze ku końcowi XVIII wieku zdarzały się wypadki, że taki na pół szalony pan skazywał na śmierć i rzeczywiście tracił sługę, jak np. ów niewymieniony po nazwisku

magnat-morderca, o którym opowiada pod r. 1645 w swym pamiętniku Albrecht Radziwiłł lub jak ów chorąży wielki litewski, który jak to wiemy z pamiętników Matuszewicza, kazał stracić oficera swojej nadwornej milicyi, lotaryńskiego szlachcica, za bardzo błahe przewinienie. Sprawiedliwość każe atoli przyznać, że były to wyjątki, rzadsze w Polsce niż np. na dworach książątek niemieckich, i że w regule panowie bywali lepsi niż słudzy. Wiemy z testamentów i z aktów sądowych, że panowie hojnie wynagradzali długoletnią, wierną służbę, że opatrywali ją na całe życie, zapisywali na własność całe wioski, powierzali im opiekę nad swojemi osieroconemi dziećmi, i na wzajem liczne są wypadki, że sługa okrutnemu nawet panu, znienawidzonemu powszechnie, służy do śmierci z rozczulającą wiernością, jak np. ów Jegort, sługa takiego gwałtownika i tyrana jak Dyabeł Łańcucki.

Jak licznym bywał w wieku XVII dwór wielkopański, o tem da wyobrażenie kilka dorywczo wybranych przykładów. Hetman polny kor. Stanisław Lubomirski trzyma dwóch marszałków, dwóch kapelanów, czterech sekretarzy, czterech krajczych, 60 sług starszych rękodajnych, ⌈ wojewoda lubelski Rafał Leszczyński, jak się o tem dowiadujemy z listu posła francuskiego hr. d'Avaux (r. 1635) musiał po śmierci żony sprawić 2000 szat żałobnych, aby w nie ubrać swój dwór cały; w Bukaczowcach Jerzego Kalinowskiego (+ 1636) było 27 dworzan szlachciców, nadworna kapela, nadworny chirurg, malarz, pasztetnik, cała rzesza kluczników, kredencerzy, ogrodników, rzemieślników, wielka liczba hajduków pod wodzą osobnego „pana kapitana" i kompania węgierskiej piechoty z czterema szyprami; wojewodzina trocka Tyszkiewiczowa w testamencie swoim wylicza i obdarza legatami 20 dworzan szlacheckich, Zofia Kostczyna, starościna malborska 20 szlachciców i 20 szlachcianek, a oczywiście w obu tych wypadkach liczba tym sposobem ostatniej wolą obdarzonych obejmuje tylko najstarszych i najbardziej zasłużonych domowników i stanowi tylko pewną część całej służby. Liczba dworskiej służby nie umniejsza się wcale z biegiem czasu, zbytek ten kwitnie aż do końca XVIII wieku. Ks. Karol Radziwiłł ma w r. 1792 na swoim dworze w Nieświeżu marszałków, sekretarzy, koniuszych, szatnych, stołowniczych zastęp cały, przeogromną rzeszę dworzan z wyższej szlachty, dalej dozorców skarbu, regentów i kancelarzystów, archiwistów, rewizorów i aż pięciu lekarzy i felczerów. To niejako sztab dworski, najwyższy stopień hierarchji. Z kolei

⌈ 20 pokojowców, 10 spiewaków, między nimi nawet trzech trzebieńców dyszkantowych, około 20 muzykantów, a do tego całą rzeszę dworzan zmniejszych, z których każdy miał osobną swoją służbę, dalej szlacheckich aplikantów, koniuszych, regentów itp a poza tem całą armię służby pospolitej, nie szlacheckiej, kozaków, hajduków, dragonów itp. Nie tak znacznej fortuny Krzysztof Opaliński na w Sierakowie między swoją służbą baronów niemieckich; samych pokojowców szlacheckich jest na jego dworze 24.

idą baletmajstry, malarze, maszyniści, baletnicy (jest ich 20) i orkiestra złożona z 40 muzykantów. Stajnią opiekują się oprócz wymienionych już koniuszych trzej podkoniuszowie, 26 masztalerzy, 24 forysiów, 24 furmanów, 15 mulników itd., służbę podrzędniejszą spełnia 6 kamerdynerów, 6 kamerlokajów, 18 lokajów, 14 hajduków, 14 strzelców itd. bez końca — a trzeba wiedzieć, że był to już czas upadku dworu nieświeżskiego, ~~który~~ i że stan ten daje tylko słabą miarę tego, czem ten dwór był za czasów swojej świetności, przed klęskami, które ~~ze~~ podkopały fortunę jego pana. Za czasów saskich i pod panowaniem Stanisława Augusta zmniejsza się nieco służba ~~szlachecka~~ kontuszowa a zwiększa się za to znacznie służba liberyjna; kostium czyli t. zw. barwa nieszlacheckiej czeladzi dworskiej staje się prawdziwą maskaradą; przybywają nowe rodzaje służby i nowe, przedtem nie spotykane nazwy: pajuków, laufrów, paziów, szwajcarów, kamerdynerów itp, których obowiązki do najdrobniejszych szczegółów a ubiory aż do ostatniego guzika opisał nam ks. Kitowicz, najobfitsze źródło w tym przedmiocie, na które nam tu tylko wskazać wystarczy. Lepiej jednak od niego, lepiej od wszystkich pamiętnikarzy tej pory i lepiej niżbyśmy to sami na ich podstawie uczynić mogli, odmalował nam książę biskup warmiński ten zbytkowny, do śmieszności posunięty, ~~w~~ w ostatnich latach XVIII wieku już dobrze ku istnej parodyi chylący się zwyczaj utrzymywania licznego na wzór wielkopański dworu:

Jaśnie wielmożny tyran, bożek okoliczny,
Dla większej wspaniałości raczy mieć dwór liczny,
Ztąd wyższe urzędniki, niższe posługacze:
Pan koniuszy, co bije, masztalerz, co płacze;
Pan podskarbi, co kradnie, piwniczny, co zmyśla,
Sługa pieszy, dworzanin, co ma pacholika,
Pokojowiec przez zaszczyt wspaniałemu sercu,
A dlatego, że szlachcic, bierze na kobiercu.
Pan architekt, co plany bez skutku wymyśla,
Pan doktor, co zabija, sekretarz, co zmyśla,
Pan rachmistrz, co łżó w liczbie, gumienny, co w mirze,
Plenipotent, co w sądzie; komisarz, co bierze
Więcej jeszcze niż daje, a złodziejów mniejszych
Kradnąc, sam jest użyty do usług ważniejszych.
Łowczy, co je zwierzynę, a w polu nie bywa,
Stary szafarz, co panu wiecznie potakiwa,

Pan kapitan, co żydów drze, kiedy się prószą,
Żołnierze, co potrawy na stół w gali noszą,
Kapral, co więcej jeszcze kradnie niż drągani,
I dobosz, co pod okna cap-strzyk tarabani,
A kiedy do kościoła jedzie z gronem gości,
Bije w dziurawy bęben werbel jegomości.

Wojsko nadworne.

Ale olbrzymi koszt łożony na zbyteczną służbę niczem był wobec zwyczaju trzymania milicyj dworskich. W XVII w. żołnierz prywatny był potrzebą nie zawsze publiczną, bo niestety zbyt często fakcyjną i osobistą; z biegiem czasów staje się coraz bardziej tylko paradą. Pierwotnie wojska prywatne składały się głównie z ubogiej szlachty zagonowej i z poddanych chłopów, których ćwiczono i ubierano na sposób niemiecki — agrestes habitu vero Germani — później, zwłaszcza od czasu bezkrólewia po śmierci Zygmunta Augusta i po ucieczce Henryka Walezego aż w głąb XVII wieku poczęli możnowładzcy polscy robić t. zw. „zaciągi," t. j. werbować na Węgrzech i Wołoszczy żołdactwo najemne. Kiedy w czasie bezkrólewia po zgonie ostatniego Jagiellończyka wojewoda sieradzki Łaski toczy prywatną wojnę z wojewodą krakowskim Zborowskim, sprowadza sobie węgierskich hajduków; przed elekcyą Stefana Batorego gromadzi starosta Mężyk w Stężycy 1600 najemnego węgierskiego żołnierza. Tych werbowanych na Węgrzech a osobliwie w Siedmiogrodzie i Słowacyi najemników zwano pospolicie „sabatami," i odtąd niemasz magnata, zwłaszcza na Rusi, któryby ich nie miał na swoim zamku. Rokosz Zebrzydowskiego, wyprawy Mniszchowskie do Moskwy, awanturnicze wojny staczane przez panów polskich, Mohiłowych zięciów, o hospodarstwo wołoskie, prywatne wojny między Dyabłem Stadnickim a Łukaszem Opalińskim, między Herburtem Szczęsnym a Stadnickimi z Leska itd były epoką największego wzmożenia się tych band najemnych, tych bezkarnych, ciemiężczych, na pół dzikich sabatów, trzymanych na żołdzie magnackim. Sapiehowie, Stadniccy, Ligęzowie, Krasiccy, Herburtowie, Potoccy, Jazłowieccy utrzymywali w w tych czasach całe korpusy takiego żołdactwa, z swoją własną i całych ziem ruiną. Obok Węgrów i Słowaków spotykało się w tych najemnych szeregach także rozhultajonych Lisowczyków, Tatarów, t. zw. czeremisów czyli lipków litewskich, Szkotów, Niemców, nawet cyganów. Niektórzy możnowładzcy miewali po kilka tysięcy najemnego

żołnierstwem; stałe kadry w spokojniejszych nawet czasach wynosiły po kilkaset pieszego i konnego żołnierza. Stanisław Lubomirski miał zawsze 200 dragonji niemieckiej i 400 Węgrów na swoim dworze. Jeszcze w XVIII w. każdy prawie zamożniejszy szlachcic miewa po kilkunastu albo przynajmniej po kilku ułanów lub kozaków, zato liczba magnatów utrzymujących stałe wojska nadworne szczuplejsze bardzo, chociaż nie brak i w tych czasach dworów z ogromną stosunkowo siłą zbrojną; w Nieświeżu w r. 1792 była artylerya, chorągiew ordynacka, dragonia, lejbkompania i trzy kompanje piechoty po niemiecku zorganizowanej, razem około 3000 żołnierza.

Wpływ wielkich dworów.

Zamki i rezydencye wielkopańskie rozpadły się w gruzy; tylko mała ich cząstka zachowała się do naszych czasów w całości i z śladami pierwotnego splendoru. Na gruzach ich wzrosła legendarna tradycya, poetyczniejsza i chlubniejsza od prawdy. Miały one momenta zasłużonej sławy, epizody dobrze spełnionej missyi patryotycznej i cywilizacyjnej; ale wpływ dodatni, jakie wywierały na społeczeństwo ubiegłych wieków, pożytek, jaki mu niosły, nie odpowiadał olbrzymim kapitałom, jakie w nich leżały, świetności materyalnej, do jakiej się wznosiły, brzemieniu w końcu, jakim przygniatały lud ubogi, przyczyniający się ~~pracą~~ znojem i groszem do ich blasku. I Rzplitę kosztowały więcej, niż dla niej były warte. O ile były warowne, wstrzymywały do pewnego stopnia zagony najezdźców i dawały schronienie ubogiej szlachcie i najbliższym przynajmniej gromadkom bezbronnego ludu; o ile były tylko rezydencyami, zastępowały poniekąd miasta, bo w każdym wielkim dworze był lekarz, aptekarz, i rzemieślnik. Dawały ubogiej szlachcie chleb łatwy, ale nie uczyły pracy; były może akademią ogłady, ale bardziej jeszcze szkołą serwilizmu i zuchwalstwa. Wpływu społecznego w kulturalnem znaczeniu i w pełniejszej mierze mieć nie mogły, raz dlatego, że ich stosunkowo było zbyt mało, powtóre, że między niemi a całem ich otoczeniem otwierała się przepaść, której wypełnić jedna strona nie chciała lub nie umiała, a druga nie mogła.

I

Dwory i dworki.

Sielskość i rycerskość to główne, niemal wyłączne cechy życia szlacheckiego w przeszłości. Nad ten spiżowy posąg w warszawskim pałacu Kanclerza Ossolińskiego, wyobrażający Polskę w postaci niewiasty z pługiem u stóp a z mieczem w dłoni, nie mogło być trafniejszej alegoryi. Ów zwyczaj drobnej szlachty niektórych okolic kraju, która przy wymierzaniu zagonu używała szabli jako jednostki mierniczej, owa legenda o wielkim hetmanie, któremu kiedy jeszcze był młodzieńcem, wróża spotkany na polu chłopek właśnie co wyoraną pługiem buławę, wróżbę i godło przyszłej dostojności i chwały – to symbolika ziemiańsko-rycerskiej cechy polskiego świata. Sielskość daje wszystką barwę życiu, obyczajom, wczasom i trudom, historyi nawet i literaturze. Jeden z uczonych naszych wykazał trafnie na krakowskim zjeździe Kochanowskiego, jak nasi pisarze i poeci wszystkie swoje obrazy, przenośnie, porównania, czerpali z sielskiej wyłącznie obserwacyi. „Wsi spokojna, wsi wesoła, Któryż głos twej chwale zdoła" – słowa te czarnoleskiego poety służyć mogą za dewizę życiu całej szlacheckiej Polski a mnóstwo jej wariantów spotykamy nietylko w drukowanej literaturze ale i w tych rękopiśmiennych wierszach i wierszykach, które się przechowały po bezimiennych autorach. Warto dla charakterystyki tej dominującej strony polskiego życia w przeszłości przytoczyć tu kilka zwrotek jednej z tych wierszowanych gloryfikacyj sielskiego, ziemiańskiego bytu, którym Karol Szajnocha w swoich Dwóch latach nie wahał się przypisać wagi historycznych dokumentów, stwierdzających powszechną idyllizacyę szlachty ze szkodą jej politycznej i rycerskiej energyi w przededniu wielkiej burzy, co miała wstrząsnąć podwaliny Rzpltej w połowie XVII wieku:

O pompy żadne nie stoję,
Mając spełna wioskę swoję,
Z kmiotkiem sprawa, moja zabawa.

—

To moje wszystkie klejnoty:
Dobra myśl, tańce, zaloty,
Wieniec na głowie; fraszka królowie.

—

Zaprzągszy w pługi sforne woły,
Rad zasiadam z przyjacioły,
Wszystkie tytuły, pełne ampuły.

—

Najdzie w piwnicy węgrzyna,
Chmiel wystały do komina,
Niech przystawiają a w dudy grają.

W kuchni domowa zwierzyna
Sam jeleń nie nowina,
Rybkę mam świeżą, chleb na stół dzieżą.
Czasem też i z kramnym jadam.
Czasem i z książęty siadam,
Choćbym tu przydał: i królam widał.
Lamus pełen wszelakiego
Jest rynsztunku żołnierskiego,
Obrona w zdrowiu jest w pogotowiu.
W stajni Turek wygłaskany,
W stadzie cekiel farbowany,
Jest i siedzenie świetne na ścienie.
Obora tłusta, w stodole
Nie pustki, bo płodne role;
Za okny przysłota, dyeta zgoda.
Karczma we wsi pode dworem,
Łaźnia, browar nad jeziorem,
Granica z lasem, drwa jak za pasem.
Młyn i tracz na bystrej wodzie,
Jarzyny bujno w ogrodzie,
Chmielniki w tyle, aż wejrzeć mile.
Miasto blizko, targ niegłodny,
Kościół we wsi, sąsiad zgodny,
Chłopów gromada — cóż wsi za wada?
Wsi motliwa, bogdaj tobie
Kwitła sława ku ozdobie!
Jam twój, tyś moja, mój skarb chęć twoja!

„Jam twój, tyś moja" — słowa te ostatniej zwrotki to jakby dewiza ścisłej, prawie nierozerwalnej łączności z gniazdową posiadłością. Należał szlachcic bardziej do swojej rodowej wsi niżeli ona do niego, bo kiedy jej już nie miał, ona go jeszcze miała; straciwszy ją, nadal do niej należał, z niej się pisał, choć już po inny wziął nazwisko. Posiadłość ziemska nazywała się przecież także „imieniem" — nie miało się imienia bez „imienia". Tu gniazdowość, rodowość, pierwotność pochodzenia zachowywała się w nazwisku członków jednego i tego samego rodu, rozbitych i rozproszonych po całym obszarze Rzpltej — mamy Herburtów dobromilskich, odnowskich, dziedziłowskich itd. ale wszyscy piszą się z Felsztyna, tak jak wszyscy Ossolińscy z Tęczyna. Rejowie z Nagłowic, Twardowscy z Skrzypna, Wapowscy z Radochonic itp. Znamienna to rzecz, że kobiety nie podały się ~~pod~~ swojem zlokalizowanem nazwiskiem panieńskiem ale

zawsze po pierwotnem rodowem gnieździe, po „imieniu". Fredrówna poślubiona Ossolińskiemu nie pisała się z Fredrów Ossolińska ale z Pleszewa Ossolińska, Jazłowiecka zamężna za Bełzeckim nie z Jazłowieckich Bełzecka ale z Buczacza Bełzecka itd. Zwyczaj ten utrudnia niekiedy zoryentowanie się w rodowodach, bo kiedy chodzi o mniej znane, nie-historyczne osoby, niełatwo dociec, jakie nazwisko panieńskie nosiła czyjaś małżonka i nie bez trudu dochodzi się, że z Krużlowa Balowa, to z domu Pieniążkówna, z Trzcieża Orzechowska to z domu Bolestraszycka.

Nie bez znaczenia dla tej nieprzerwalnej łączności z rodowem gniazdem był zwyczaj staropolski, że nie najstarszy ale najmłodszy syn dziedziczył rodowy majątek – chodziło tu jakby o absolutną bezpośredniość kontynuacyi rodu, chciano niejako, aby właśnie najpóźniejsza, ostatnia latorośl osiadała konarem na pniu dziedzicznym, aby ostatnie właśnie ogniwko zaczepiało o dalszy szereg potomstwa. Dawało też prawo możności powrotu do straconego rodowego gniazda; t. zn. tytuł bliższości, ius retractus, ius propinquitatis, ustalało odkupienie rodzinnego majątku od nabywcy po tej samej cenie, w jakiej był sprzedany. Była też pieleszą ojczysta podwójnie droga; obok realnej wartości miała

4 ark. urok idealny, historyczny, pamiątkowy: hic sacra, hic genus, hic maiorum multa vestigia, mógł o niej powiedzieć z Cyceronem szlachcic starego gniazda. Cała zaś tradycya i gniazda i rodu, cała niejako synteza, cała suma najżywotniejszych i najpierwszych warunków życia i bytu rodzinnego mieściła się w ~~tych~~ ścianach tego szlacheckiego dworu, o którym mówić właśnie mamy.

Bywał zazwyczaj drewniany, bo w zgodzie z swoją ogólną sielską fizyognomią, po za nielicznemi zamkami i pałacami, po za liczniejszemi od nich kościołami i klasztorami, cała Polska, jak już raz zaznaczyć mieliśmy sposobność, była drewniana. Wiemy, że nie mówiąc już o zwykłej szlachcie, senatorowie mieszkali w drewnianych dworach: „w podłem drewnianem budowaniu majętności nasze chowamy", powiada Górnicki. Że stosunkowo wiele wiemy o świetności zamków i ich wewnętrznego urządzenia, zawdzięczamy właśnie temu, że było ich mało, że stanowiły wyjątkowy przedmiot admiracyi dla swoich a wyjątkowy punkt obserwacyi dla obcych, a że dlatego właśnie przez swoich i obcych tak często i stosunkowo tak obszernie były wspominane i opisywane, więc sprawia to na nas złudne wrażenie, jakoby ten splendor wielkopańskich zamków i pałaców dostatecznie gęsto i szeroko roztaczał się po ziemiach polskich, aby im

nadawać jakąś ogólniejszą cechę wysokiej materyalnej kultury.

Jak wszędzie i zawsze, wygoda i bezpieczeństwo były najważniejszemi warunkami domostwa; tylko że wymagania wygody były w Polsce znacznie skromniejsze a wymagania bezpieczeństwa znacznie większe niż gdzie indziej. Hartowniejsza odporność zdrowia i większa śmiałość fizycznego życia redukowały wygodę do bardzo skromnej niekiedy miary, podczas gdy rozmaite rodzaje niebezpieczeństwa, nieznane czasom dzisiejszym i nieznane nawet w przeszłości innym krajom, wymagały w Polsce odrębnych środków ostrożności. Były całe dzielnice Polski, które czy to z powodu swego pogranicznego położenia, czy to w skutek innych szczególnych stosunków lokalnych wymagały po mieszkańcach swoich ciągłej ostrożności i ciągłego pogotowia do zbrojnego odporu napaści. Kresowe położenie, bliskość „paszczęki tatarskiej" i mało co bezpieczniejsze sąsiedztwo takich bezustannie zawichrzonych krajów, jak Wołoszczyzna lub Siedmiogród, a w końcu miejscowa przewaga niesfornych, w każdej sposobniejszej ku temu chwili dziczejących aż do otwartej anarchji żywiołów społecznych — wszystko to sprawiało, że nawet w czasach spokoju żyło się jakby na wojennych czatach. Da się to przedewszystkiem powiedzieć o Ukrainie, Podolu, Wołyniu, o całem województwie ruskiem. Ztąd poszło, że w tych stronach Polski każdy ziemianin mieszkał jakby w małej fortecce. Każdy prawie nieco zamożniejszy dwór szlachecki był obronnym do pewnego stopnia zameczkiem i takąż mu też dawano nazwę. W aktach publicznych XVII w. spotykamy się ciągle z nazwą *fortalitium* w miejscach, gdzie jak dowodnie wiemy, nigdy twierdzy w najszerszem choćby znaczeniu tego słowa nie było, bo tak nazywano dwór szlachecki, skoro był tylko okopany lub obwiedziony ostrokołem, choćby był zresztą cały drewniany. Że istotnie chodziło tu o dwory drewniane i że w ogóle nazwa *fortalitium* oznaczała zwykły dom, nieco lepiej od nagłej nocnej napaści ubezpieczony, wypływa nietylko z opisów bliższych ale i z stałego określenia *fortalitium muratum* tam, gdzie chodziło o siedzibę murowaną, jak niemniej z faktu, że prawdziwie obronny zameczek dla odróżnienia nazywano *arx*.

Z inwentarzy dóbr szlacheckich XVI i XVII wieku, jakie się nam dochowały w aktach sądowych, da się powziąć wyobrażenie, jak wyglądał taki drewniany szlachecki zameczek. Przedewszystkiem cechą jego główną była baszta czyli jak ją niekiedy nazywano, bojnica. Nawet w domach,

które materyałem i bardzo dorywczem wiązaniem ścian przypominały lepsze nieco chaty włościańskie, nawet tam, gdzie ściany te w znacznej swej części splecione były z chrustu i lepione gliną, bywała baszta, oczywiście także drewniana, jak to wiemy np. z inwentarzy ziemi sanockiej z r. 1645 (Pisarowice). Baszta taka służyła bardziej do straży niż do obrony, czuwali na niej zwykle poddani chłopi, którzy na znak czujności musieli śpiewać lub dąć w piszczałki, zwyczaj, który się dochował do naszych czasów u nocnych wart wiejskich. Baszta miewała co najmniej cztery sążnie wysokości a szczyt jej opatrzony bywał w strzelniczkę o sześciu lub ośmiu okienkach. Bywały drewniane zameczki, które miały po kilka baszt; np. w Tustanowicach, majątku Stadnickich, dwór otoczony do koła wysokim wałem, opatrzony był trzema drewnianemi basztami na podmurowaniu; ~~na~~ w jednej z nich była także kaplica, ~~na~~ w drugiej świetliczka z komnatką, a na spodzie „schowanie", w trzeciej większe pomieszkanie i skład broni. Wchodu do tak obwarowanego obejścia strzegła piętrowa brama z izbą i strzelnicą o „trzech wierzchach."† ~~Dalszym ale~~ (Bardzo ważnym,) ważniejszym (może) jeszcze od baszty środkiem obronnym były ostrokół i ~~fosa~~ (okop). Taki okop składał się z fosy i wału; fosa miewała zazwyczaj cztery łokcie szerokości i trzy łokcie głębokości, wał zaś bywał na sześć łokci wysoki. Jako typ takiej obwarowanej siedziby szlacheckiej posłużyć nam może rezydencya wojewodziny mścisławskiej Kiszczyny w Ożomli. Sam dwór drewniany i jego główne podwórze obwiedzione były wysokim ostrogiem czyli częstokołem z silnych dębowych palów, które u góry zaciosane były jakby w groty dzid; u dołu ostrokół ten wzmocniony był podsypem ziemi i podgrodzony silnym płotem, sięgającym po pas człowieka. To był pierwszy okrąg warowny. Za nim szło gospodarskie podwórze, otoczone dokoła t. zw. tynem, to jest bardzo mocnem i wysokiem ogrodzeniem, ociernionem u góry, a po za tem ogrodzeniem opasywały i zamykały cały obszar siedziby wał wysoko usypany i głęboka fosa. Każdy taki zameczek posiadał oczywiście swój arsenał, czasem nawet bardzo zasobny w działka, moździerze, hakownice, muszkiety, w proch strzelniczy, gotowe już naboje i w ołów na kule. Nie zapominano też o prowiancie, którego zapasy w każdym zresztą zamożniejszym domu szlacheckim bywały bardzo obfite a składały się także z żywności, które przez dłuższy czas konserwować się dała, jak np. z solonego mięsa, suszonych ryb, głównie szczuk i pstrągów, kasz rozmaitych itp.

† Dwór drewniany w Horzenicy pod Jarosławiem według krótkiego opisu z r. 1670 otoczony był wałem i fosą a opasywał go nadto dokoła parapet z silnych balów, przerywany drewnianemi basztami; dwór w Wielkich Oczach oprócz wału miał cztery baszty ubijane z ziemi.

Bardzo często spotykamy w ~~takich~~ spisach prowiantowych „suchy chleb na wojnę," t. j. suchary.

Ale nawet i takie siedziby szlacheckie, które nie były zameczkami w rodzaju opisanych powyżej, ubezpieczone były dostatecznie od nieproszonego napastliwego gościa, o którego nie było trudno. Przestrzegano tego, aby jak mawiano, pierwej było <u>Otwórz</u> a dopiero potem <u>Pomagaj Bóg</u>. Obejście dworskie oparywał wysoki płot, silnie grodzony, zamożniejsi zdobywali się na odylowanie pokryte gontowym daszkiem, lub na tzw. zamiot, po dzisiejszemu parkan, złożony z desek wpuszczanych horyzontalnie w dębowe słupy. Silna brama, pilnowana przez wrotnych, strzegła podwórza, drzwi wchodowe z grubej dębiny, okowane, i żelazne ostrowia, t. j. kraty u okien, strzegły samego domu. Brama główna, wiodąca na obejście, miewała najczęściej t. zw. samborza, t. j. po obu bokach bramy i nad nią były piąterka, przeznaczone na mieszkanie wrotnych stróżów, do którego schody prowadziły od wewnętrznej strony podwórza. Niekiedy samborza takie były ~~warowne~~ uzbrojone, np. we dworze w Tropi umieszczone były w bramie dwa działa i trzy moździerze. Mądrym zwyczajem staropolskim przestrzegano, aby dwór był budowany „na jedenastą godzinę," to jest aby jego czoło czyli fasada frontowa miała pełne słońce w tej porze dnia, kiedy ono nie dobiega jeszcze ~~[illegible]~~ samego południa. Tym sposobem wszystkie strony dworu miały słońce o pewnej porze dnia, podczas gdy dwory z czołem na pełne południe, nie mogły go mieć w tylnych, ku czystej północy zwróconych pokojach.

Sam rozkład pokojów mieszkalnych bywał różny, a z lustracyj i inwentarzy nie da się wywnioskować jakaś stała norma lub złożyć jakiś typ przeciętny; nie było go też zapewne; tyle wszakże da się powiedzieć, że niemal powszechną regułą był podział domostwa na dwie równe połowy, przedzielone sienią bardzo obszerną. Do sieni wchodziło się z ganku, o którym wiemy, że bywał „balasisty," sama zaś sień i rozmiarami swemi i przeznaczeniem uchodziła prawie tak samo za pryncypalną część domu jak sala stołowa. Czem w zamkach zawartych był dziedziniec, służący za punkt zborny, za majdan, tem w dworze szlacheckim była sień. Tu odbywały się sąsiedzkie sejmiki, tu gromadziła się czeladź w razie alarmu, tu gotowała się wyprawa łowiecka lub zajazdowa, tu wreszcie na sianie spali pokotem goście w czasie wesel, festynów, pogrzebów. Ściany sieni służyły do wieszania broni i sieci myśliwskich, a wyzierał już zeszłej czajki? olbrzymi komin murowany. Z sieni prowadziły drzwi w trzech kierunkach, naprzeciw wejścia głównego do ogrodu,

sadu czy też wirydarza, na prawo i na lewo do pokojów. Jedna ze stron czyli połowic domu była pańska, druga w przeważnej części czeladnią. Po stronie pańskiej najobszerniejszą i najgłówniejszą była izba stołowa, po niej szła świetlica, nazwana później bawialnią a jeszcze później salonem; podrzędniejsze już i często poufne znaczenie miały salki, izby, komnaty, pokoje, alkierze, przybocki, komory. O ile te rozmaite nazwy dawniej ~~były~~, a o ile uzasadnione odmiennością rozmiarów, formy lub przeznaczenia, nie łatwo dziś oznaczyć stanowczo. O komorach wiemy, że były to małe izdebki, przeznaczone na chowanie rozmaitych ruchomości i zapasów pod ścisłem zamknięciem, i nazwa ta w tem samem znaczeniu szczęśliwie dotąd przechowała się u ludu; alkierze nie zawsze znaczyły to samo, czemu dziś tę nazwę dawać zwykliśmy. Nie bywały ~~ne~~ to ani t. zw. dziś nisze ani alkowy — bardzo często nazywano tak nawet duże i jasne pokoje, bo liczące 6 do 8 okien, jak tego dowodzą lustracye. Alkierz odpowiednio do swej nazwy, pochodzącej od niemieckiego Erker, bardzo długo, bo aż w głąb XVII wieku, oznaczał izbę narożną, która zamykała przestrzał pokojów, a ujęta była ścianami wykuszu albo w ogóle tej części domu, który wysuwał się czy to na rogach czy też z boków budowania naprzód i tworzył rodzaj wyskoku. Oprócz nazw wymienionych ~~wspomnionych~~ miały pokoje każdego większego dworu jeszcze inne specyalne nazwania, bądź to od urządzenia i koloru obicia lub malatury, bądź od użytku, do jakiego służyły; były pokoje przyjacielskie czyli t. zw. złożenia, t. j. pokoje gościnne, pokoje białogłowskie, pokoje czerwone, zielone, ~~itp~~ farfurowe itd.

Jak się przedstawiały dwory zamożnej szlachty w XVI i XVII wieku na zewnątrz, o tem brak wystarczających wskazówek. Nie mamy też ani dochowanych zabytków architektonicznych ani rycin z onych czasów; wszystkie te drewniane dwory padły ofiarą pożaru, gdy i manji nowatorstwa, która w ostatnich latach ~~drugiej połowie~~ XVIII wieku opanowała zamożniejszą szlachtę. To, co dochowało się do naszych czasów, sięga zaledwie XVIII lub ostatnich lat XVII wieku. Architektura dworów szlacheckich rozwijać się musiała, jak wszędzie i zawsze, najpierw pod wpływem głównego materyału, którym było drzewo, dalej pod niemniej decydującym wpływem klimatu, warunków życia, kultury i bezpieczeństwa, a te były całkiem odrębne w Polsce. Mógł też i powinien się był wyrobić styl rodzimy polski; czy się jednak wyrobił, czy istniał w XVI i XVII wieku, jest to pytanie, na które nie mamy jasnej odpowiedzi. Doszukiwanie się śladów tego stylu w zachowanych formach

ludowego budownictwa, restytucye i architektoniczne hipotezy dzisiejszych autorów polegają ~~polegają~~ na bujnej fantazyi a małej znajomości starego świata polskiego. Jedyny typ starych, dochowanych dotąd dworów, powtarzający się stosunkowo dość często we wszystkich niemal dzielnicach polskich, owe barokowe dwory z łamanemi dachami o dwóch kondygnacyach i z narożnikami o stromych, jakby wieżyczkowych lub basztowych kopułkach lub hełmach, są tylko naśladowaniem w drzewie pałaców polskich z ostatnich lat XVII i 3/ XVIII wieku; naśladował w nich mały szlachcic wielkiego pana, domorosły cieśla Mansarda i Lepautre'a. Zdaniem naszem pochodzą one z bardzo już późnych czasów, już dobrze z XVIII wieku, a prototypu ich szukać należy w pałacach warszawskich tego rodzaju, jak nieistniejący już dziś pałac marszałka w. kor. Bielińskiego, zbudowany przez Fontanę, lub również już tylko z rycin znany pałac Lubieńskich na Królewskiej ulicy. Mimo tego nieswojskiego pochodzenia architektura tych dworów i dworków tak była w Polsce ulubiona, tak się często powtarza całą swoją artykulacyą, tak zresztą pod siekierą polskiego cieśli i pod wpływem naiwnego przeniesienia form i ornamentacyi z kamienia i muru na drzewo przybrała cechy jakiejś swojskiej oryginalności, w końcu tak długą ma za sobą tradycyę, że posiadła niejako indygenat i dziś prawie słusznie uchodzić może za wzór ozdobniejszego budownictwa sielskiego. Atoli ściśle rzecz biorąc, ten właśnie typ budownictwa nie zgadza się z najistotniejszą może cechą starodawnego dworu polskiego, a to dlatego, że jest niejako dośrodkowy, zewnętrznie pomyślany, że dyktuje z góry formę i przestrzeń, że tworzy stałą zamkniętą całość, do której nic dodać i z której nic ująć nie można, że zatem daje za wiele albo za mało. Tymczasem dwór staropolski powstawał odśrodkowo, rozwijał się i uzupełniał od wnętrza na zewnątrz, a nie przeciwnie; nie był nigdy od razu gotów i dlatego ani z góry pomyślanej architektury ani zamkniętej, organicznej niejako artykulacyi posiadać nie mógł. Stawał się powoli, robił się, rósł, aż się stał i wzrósł w pełnię. Miał swoją biografię, jak człowiek, a tą historyą jego życia czytała się w jego przystawkach, dobudówkach i przebudówkach. Nie był prędzej skończenie gotów, zanim nie mieścił wśród swoich ścian trzech pokoleń. Miał sto lat wzrostu i dojrzewania.

Dziad go zaczął, wnuk dopiero ukończył. Bez wszelkiej przesady mógł o nim śpiewać Wespazyan Kochowski:

Tu ojciec z dziady, krewnych gromady,
 I mali wnukowie
Dzieciństwa doszli; tu w czydzie rośli
 Przy swej starszej głowie.

Nie miał też dwór staropolski prawie nigdy architektonicznej jedności, musiał być do pewnego stopnia nieforemnym aglomeratem, ale improwizowanym układem swoich mas i członków nabierał malowniczości, a że był szczerym wyrazem życia, potrzeby, obyczaju, smaku kilku pokoleń, miał charakter. W regule dwór drewniany nie miewał piętra, twierdzenie jednak, z jakiem się ostatniemi czasy spotykamy w naszej fachowej literaturze, jakoby go nie miał nigdy, jest fałszywe. Bardzo często spotykamy się w starych lustracyach i inwentarzach z pokojem lub komnatą górną, a o niektórych dworach wiemy stanowczo, że miały cały szereg piętrowych izb, jak np. o dworze drewnianym Wielopolskich z XVII wieku w Tropi, gdzie na piętrze była sala, izba stołowa i kaplica, a więc cała reprezentacyjna część domostwa. Jeszcze wcześniejszy ~~inwentarz~~, bo z r. 1582 inwentarz Modlnicy Wielkiej pod Krakowem, własności niegdyś Salamonów, a później sekretarza królewskiego Stanisława Fogelwedera, zapisuje dwór drewniany z piętrem, mieszczącem w sobie salę o sześciu, alkierz o czterech oknach, izdebkę, kilka komor, spiżarnię i ganeczek. Z tegoż samego inwentarza wnosić można, że jakkolwiek domostwa szlacheckie w regule obchodziły się bez architektonicznych ozdób i na zewnątrz poprzestawały ściśle na tem tylko, co dyktowała praktyczna potrzeba, zdarzały się przecież dwory, w których i fantazya budowniczego i zmysł estetyczny dziedzica szukały pola do popisu. ⌈ Spotykamy też często w dawnych opisach i lustracyach wzmianki o „gwiazdach" i „karzochach" zdobiących szczyty i przyczółki domostwa, o dachach „z czterema wierzchami"; autor znanego pamiętnika Pozobut budując dom w Zarośliu (w r. 1683) ozdabia go malowaną kopułą i gałkami z blachy; niedokładny nawet opis dworu w Modlnicy dostarcza nam niewątpliwych wskazówek, że była to budowa o bogatszej artykulacyi i że uderzać musiała malowniczą sylwetą, wynika bowiem z podanych szczegółów, że piętro było mniejsze od parteru, co już zaznacza pewien zamiar form architektonicznych, że pewną część piętra obiegał ganek, że dach był z pewną misternością skomponowany, bo miał pięć szczytów i

⌈ Ulryk Werdum, w opisie podróży swojej po Polsce w latach 1670–2, często przytacza dwory szlacheckie drewniane, które oryginalnością lub ozdobnością swoich form zwracały jego uwagę, jak np. piękny dwór o pięciu szczytach pod Mławą, dom dwuszczytowy w Mikoszycach, dwory w Korzenicy pod Jarosławiem, w Wielkich oczach, ~~itd.~~ Pilaszkowicach itd.

wieżyczek i „jakoby pięć przegród", że zatem dach ten należał do rzędu owych polskich dachów „wysokich, piętrzystych", jakie Górnicki w swoim <u>Dworzaninie</u> przenosi nad płaskie dachy włoskie, bo te „nigdy tej piękności i tego kształtu i pożytku nie mają", co dachy swojskie. Fakt, że takie strome, wieżyczkami i lukarnami przerywane dachy były jedną z charakterystycznych cech ozdobniejszych dworów drewnianych XVII wieku, stwierdza się także na zamku samborskim, który był tylko wielkim drewnianym dworem albo raczej grupą dworów odosobnionych, opasaną obronnym „płotem witym między dębowemi kołami" i wysokim parkanem z kilku również drewnianemi basztami. Otóż według lustracyi z r. 1596 wszystkie dachy na tych dworach i bramach zamkowych były ozdobione gankami czyli galeryami, wieżyczkami, „baniami i baniczkami", złoconemi gałkami i powietrznikami. Ksiądz Chmielowski w swoich <u>Nowych Atenach</u> mówi o polskich dachach „zawijanych i podartych"; Kitowicz na schyłku XVIII wieku widział jeszcze drewniane domy szlacheckie, z fantazyą budowane, we dwa piętra, „przyozdobione zewnątrz galeryami, wystawami, gankami i przysionkami."

Że wyższy, poetyczniejszy urok pięknej siedziby wiejskiej nie był obcy duszom w ojczyźnie Reja i Kochanowskiego, w takim na wskróś sielskim narodzie, tego dowodzić nie potrzeba. Istniał zawsze pewien ideał wiejskiego mieszkania z wszystkiemi powabami natury, dostatku, wygody i ładu, do którego wszyscy tęsknili, wielu dążyło, choć mało się zbliżyło. Taki wdzięczny ideał sielskiego siedliska i jego otoczenia przekazał nam w zachowanym z XVII wieku rękopisie kasztelan brzeski Jakób Ponętowski, który kreśli nam jakby wypieszczony w imaginacyi śliczny obrazek prawdziwie rozkosznej siedziby ziemiańskiej: „Niech ma szlachcic dwór swój, a gotowy, rzędnie rozmierzony, na moc zbudowany, a ochędożny, na zdrowym placu, na widoku, a kształtnie postawiony, w nim gmachy różnej miary, żonie, dzieciom do wczasu sprawione, zimie ciepłe, lecie chłodne, zawsze k'temu chędogie. Do tego niech by było złożenie przyjacielowi, schowanie sprzętom, mieszkanie czeladzi. Wśródku podwórza woda, kuchnia rzędna, przy domu a kuchenka w mieszkaniu. Niże spiżarnia sucha, piwnica chłodna, lodownia pewna, łaźnia pobok, przy wodzie, stajnia na stronie, psiarnia najmniej w półmilu. Zegar wierny na domu. Dom rzemieślniczy, tamże i gospodarski; za nim blech, w bok sadzawki; a coby snadnie złowne; niech płynie pod dwór rzeka w

pewnych brzegach zawarta, bystra, przezornie sprostowana, za nią niech będzie ogród w kwadrat wymierzony, od niej a kęs z południa ku słońcu nachylony, suchy, równy, wyniosły, porządnie ogrodzony, pergolami okraszony, w kwadraty rozdzielony, fontanami polany a ziół rozlicznych pełny. Za ogrodem sad w cynek najmniej w dwadzieścia rzędów drzew młodych a już rodnych, gładko z płonki, bujno z koron wybieżystych. Chciałbym jeszcze ptasznika, chciałbym ziółkom, drzewkom schowanie. Tamże też wirydarz ze swych ziółek i przewoźnych. Przeciw temu wszystkiemu niechby stanął zwierzyniec, ciemny, zielony, cichy, wymierzony po sznurze, podzielony łąkami i na krzyż i od płotu; tamże drogi w kwaterach a ścieżka przez pośrodek; las lipowy przeciwko, tamże zaraz pasieczka."

Mamy w tym opisie wzorowy a raczej idealny typ dworu polskiego; jest to dwór zamożnego ziemianina pomyślany w całej doskonałości; dwór, jaki powinien i mógł być, ale jaki zapewne rzadko bywał. Jest w tym opisie wszystko, co należało do przyjemności i wygody, jest nawet więcej, niż zależało od ~~majątku~~ możności i od woli, bo są także topograficzne wszystkie korzyści położenia. Najgłówniejszych przeciw warunków siedziby wiejskiej, przytoczonych przez Pone̜towskiego, nie brakło zapewne w żadnym dostatnim dworze szlacheckim – na niektóre, już naprawdę zbytkowne, jak np. na ptaszarnię i zwierzyniec, pozwolić sobie mógł tylko bardzo zamożny ziemianin. Miał Stanisław Lubomirski w Łańcucie trzydziestu sokolników i raroźników, miał przed nim w tym samym Łańcucie Stanisław Stadnicki, zwany Dyabłem, bardzo liczną i sławną swego czasu ptaszarnię, która spłonęła przy zdobyciu łańcuckiego zamku przez Łukasza Opalińskiego; szlachcic średniej fortuny miewał zapewne sokoła i parę rarogów, ale najczęściej jedyną ptaszarnią jego był niewinny na podwórzu gołębieniec, chyba że wyjątkowo był takim amatorem i mistrzem w łowiectwie, jak p. Jan Chryzostom Pasek, który miał w Olszówce „ptasi zwierzyniec, kratami drutowemi nakryty, a w nim ptactwo omni generis, które tylko mogło się znajdować w Polsce ale i insze cudzoziemskie." Zwierzyńce bywały częstsze; w skromnych rozmiarach spotykamy je przy wielu domach szlacheckich, jak np. w pierwszych latach XVII wieku w Ozimli i Wojutyczach w ziemi przemyskiej, gdzie trzymano po 30 jeleni. Wielcy panowie utrzymywali zwierzyńce, w których mieściło się po kilka set sztuk zwierzyny, jak np. wojewoda poznański Jan Ostroróg w Komarnie i Wojnowie, Zamoyscy

w Zamościu. W takich zwierzyńcach trzymano najrozmaitsze rodzaje zwierza, z wyjątkiem żubrów, turów i dzików; w jedynym tylko zwierzyńcu zamoyskim znajdowały się żubry.

To samo, co o zwierzyńcach, da się powiedzieć i o ogrodach; mało zapewne było takich dworów szlacheckich, przy których by utrzymywano je na sposób wymagany przez Ponętowskiego. Ma on na myśli trojakie ogrody przy dworze: ogród spacerowy czyli t. zw. dziś park, ogród owocowy czyli sad, i ogród kwiatowy albo raczej botaniczny, tj. wirydarz. Do rzadkości niewątpliwie należał dwór, przy którymby znajdowały się trzy takie odrębnie utrzymywane ogrody; był zwykle tylko jeden, łączący na skromną miarę wszystkie te trzy rodzaje pod jedną nazwą wirydarza, ale mamy też dostateczne świadectwa, że wirydarz taki uważany był za konieczny warunek wiejskiej przyjemności i gospodarskiego pożytku i stawał się często przedmiotem amatorstwa. Z wielką lubością i niemal entuzyastycznie prawi nam Rej o wirydarzach, przeprowadza dobrane małżeństwo „w nadobnych przechadzkach po sadkach, po ogródkach," gdzie pan i pani „grzebią, ochędażają, oprawują, szczepią, ziółeczka sadzą", opiewa rozkosz wiosennej pory, kiedy to szlachcic z żonką i czeladką „wineczka i różyczki sobie przesadzają, ziółek, rzodkiewek, sałatek, rzeżuszek, meloneczków, ogóreczków, majoranku, szałwijki, więc włoskich grochów, wysokich koprów, brzoskwiniowej, morelowej, maronkowej kosteczki" doglądają.

Po za tą sielanką Reja widnieje w bardzo bliskiej perspektywie kuchnia; więcej tu apetytu niż idyllicznego uczucia; wszystkie te specyały tak pieczołowicie wyliczone, spodobają mu się jeszcze lepiej na talerzu niż na grządkach — w każdym razie jest w tem już coś z tej poezyi jarzynnego ogrodu, która Mickiewiczowi podyktowała prześliczny ustęp w Panu Tadeuszu. Ale i ten sam Rej ma na myśli wirydarz polski, kiedy na innem miejscu składa rymy o „gaju zielonym, różą obsadzonym, gdzie kierz biały, kierz czerwony nadobnie się mienią, gdzie rozmaryny, majorany, szpikanardy, lewendy, izopy, lilije i piwonie w swoim rzędzie stały, a między nimi fijołeczki, stokroć piękna i lilium konwalium" — z wielu zaś innych, nie o wiele późniejszych źródeł dowiadujemy się także, że nie same tylko jarzyny królowały w wirydarzach szlacheckich, nie same tylko gruszki i „jabłeczka, dobre smażone, dobre pieczone, dobre w gęś nadziane, dobre w kaszy, dobre suszone"

ale że inne nawet „cudzoziemskie drzewka" i krzewy, jak wino, figi, pomarańcze w kwietniu odkrywano lub z piwnic wynoszono do wirydarza, że bywało tam wiele dla czystego amatorstwa, dla oka i dla fantazyi. Gostomski poleca w swojej _Ekonomice_ „ogródek pięknie zasiać ziółmi pachnącemi, róży nasadzić, a nietylko ogrodnych ale i polnych i dąbrownych," każe pamiętać wcześnie o ziołach wonnych i aptecznych, o „dzięgielu, biedrzeńcu, kadzidle, macierzance, ślazach, kopytniku, bugniach, rumnie i inszych." Z praktycznych wskazówek zawartych w memoryale ekonomicznym Zawackiego (r. 1616) wiemy, że w marcu siano rutę, sadzono i uszlachetniano róże, wywodzono brunatne fiołki; „z których gospodynie sok, olejek, cukier, wódkę, ocet, konfekt do swej apteczki czynić mają," w kwietniu zasiewano zioła pachnące i lilije, „tak dla wódek jak dla wieńców" itp. Słupski w swoich rymowanych _Zabawach Orackich_ (r. 1618) każe „umiejętnemu ogrodnikowi pańskie zioła sadzić, w rozmierzone kwadraty wirydarzom radzić, czynić sztuki foremne, kompasy z bukszpanu, w które sadzą rozkoszne kwiaty tulipany." Od poetów naszych _XVII_ wieku dowiadujemy się, że w wirydarzach takich oprócz ulubionych róż, „tych ogni samorodnych, szkarłatnych opon albo gwiazd ogrodnych" bywały także rozmaite „kwiaty pańskie, narcyzy, hijacynty, lilije albańskie", a w końcu, że nie brakło dworom cienistego wieńca drzew starych, że dokoła domów „tu wyniosłe ~~sosny~~ topole, lipy rozłożyste, tu jawory, tu dęby stały wiekuiste." W każdym wirydarzu musiał być koniecznie chłodniczek, po dzisiejszemu altana, zwany z włoska także pergolą; sklecony z drzewa, ocieniony był dzikiem winem, bluszczem a czasem też i pospolitą fasolą. Nietylko jednak na najbliższem otoczeniu siedziby poprzestawało zamiłowanie przyrody; jakkolwiek rzadsze i znacznie trzeźwiejsze niż nasze dzisiejsze, wybiegało przecież po za zielone obejście dworku i obejmowało dalszy także krajobraz. Spotykamy u niektórych naszych ziemian-poetów z _XVI_ wieku rozwinięty już zmysł pejzażu, jak np. u Andrzeja Zbylitowskiego, który w swojem _Życiu szlachcica na wsi_ (1597) tak nam maluje widok z swojego okna:

Jeśli zaś moje oczy wejrzeniem wesołem
Ucieszyć kiedy zechcę, ujrzę ano kołem
Stoją Tatry wysokie i długie Bieszczady,
I ~~po~~ bory gałęziste i szczepione sady,
I u samej wsi widać gaje jaworowe,
I wesołe dąbrowy i drzewa bukowe;

I rzeka tuż pod górą, na której dwór leży,
Szum wdzięczny po kamieniach czyniąc bystro bieży,
A po niej trafty płyną i z zbożem komięgi,
I ciosane wańczosy tuż pod same brzegi,
Młyn na niej stoi...

II

65/5 Urządzenie wewnętrzne domu, to co dziś nazywamy umeblowaniem, bywało w bardzo zamożnych nawet dworach przez długi czas, aż pod koniec XVIII w., wcale skromne i poprzestawało na najniezbędniejszych użytkowych sprzętach. Prawie nie znano t. zw. mebli fantazyjnych, sprzęcików wytwornych, na upodobanie samego oka obliczonych. Sień i izba stołowa to dwie główne części każdego wiejskiego domostwa, obiegały dokoła ścian ławy, w innych komnatach były zydle. Ławki i stoły z gołego drzewa, co najwięcej malowane a to najczęściej na zielono. Mieszkiwał w drewnianym dworze wprawdzie niejeden także senator i pan znacznej fortuny, a wtedy w komnatach jego spotkać się można było z podobnym zbytkiem, jaki już znany z zamków i pałaców magnackich, ale na tem miejscu mówimy tylko o mieszkaniach szlachty średniej zamożności i niewysokiego hierarchicznego stanowiska. U takiej szlachty rzadko się znalazł sprzęt zbytkowny, a za taki już uchodziły krzesła gdańskie, karła kordybanowe i w ogóle meble wyściełane i droższą materyą lub skórą obite. Tylko niektóre sprzęty odznaczały się wyższą sztuką stolarską, a niekiedy bywały nawet bardzo kosztownej roboty, a mianowicie służba czyli po dzisiejszemu kredens, almarya czyli szafa, sepet czyli skrzynia, późniejszy już nieco kantor czyli sekretarz, sanctuarium pana, i apteczka, sanctuarium pani domu. Na te sprzęty nie żałowano kosztu; bywały one „sztukwarkowe" i sadzone, t. j. ozdabiane intarsyami w różnokolorowem drzewie, rzezane czyli rzeźbione, niekiedy malowaną ornamentyką pokryte, a zawsze misternie i silnie okute i mocno zamczyste. W takich niekiedy potężnych rozmiarów sepetach chowano najcenniejsze ruchomości, garderobę, futra, srebra i klejnoty, a co było większej objętości a mniejszej ceny, na to miał schowanie osobny w bezpośredniem pobliżu domu zbudowany, dobrze ubezpieczony a nocą przez psy i wartowników strzeżony świerzeń, t. j. mówiąc słowami inwentarza z r. 1630, „Komora na podwórzu mocno w oble drzewo zbudowana, obwarowana na kształt skarbnicy." Świerzeń, który niekiedy był także jedynym murowanym budynkiem przy dworze, nazywany także klecią i lamusem.

Z pułapu świetlic zwieszała się mosiężna korona czyli pająk a czasem też Meluzyna z rogami jelenia, może trofeą myśliwską samego gospodarza; niekiedy zaś bardzo skromny świecznik drewniany o dwóch skrzyżowanych listwach, na których końcu tkwiły woskowe, czyli t. zw. jarzące świece. — Sam pułap nie bywał gładko wyprawiony ale miewał belkowanie oparte na ozdobniejszym od belek siestrzanie ciesielskiej roboty, na którym wycinał majster czasem datę budowy, czasem jakąś pobożną dewizę, czasem domorodny naiwny ornament z herbem dziedzica. Okna były liczne — było ich niekiedy po 8 i 10 w izbie stołowej i w świetlicy — ale małe i z bardzo drobnemi błonami czyli szybkami z krajowego szkła o zielonawej barwie, wpuszczonemi albo w drzewo albo w ołów; u możniejszych szybki okienne były z białego, czystego i gładkiego szkła i miały nazwę weneckich a kosztowały drogo i sprowadzać je trzeba było z daleka. Podłoga czyli tło albo pawiment, bo i tych nazw używano, bywała drewniana z prostych tarcic sosnowych, w wykwintniejszych dworach z dębowych, bo jak się wyraża autor Nauki Budowniczej z r. 1659 „naszym kowanym nogom najlepsza dębina." Dopiero w czasach saskiej dynastyi spotykamy w lustracyach domów szlacheckich posadzki „w arkusze" lub „w tabulatury", a więc rodzaj parkietów. Drzwi bywały w przeważnej części pomieszkania jednoskrzydłowe i najprostszej roboty; drzwi dwuskrzydłowe czyli podwójne, jeśli nadto były wytworniejsze, t. j. nie ciesielskiej ale stolarskiej roboty a w dodatku jeszcze fladrowane, t. j. z szlachetniejszego drzewa i o widocznych słojach, jeśli miały klamki żelazne pobielane, zamki wewnętrzne, to znaczy w drzewo wpuszczane, i zawiasy żelazne — czego inwentarze nigdy nie omieszkają, dla pewnej rzadkości zaznaczać wyraźnie i osobno — należały już poniekąd do rzeczy wyższego komfortu i elegancyi, bardzo często bowiem były od siekiery i obracały się na drewnianych wieszach a zamykały się na wrzeciądz również drewniany lub na zasuwę wiejskiej kowalskiej roboty. Olbrzymie kominy w sieniach i izbie stołowej; piece w komnatach, miały także swoje stopnie wytworności; zazwyczaj były tylko murowane albo nawet z gliny lepione; zdarzały się jednak często kominy z alabastru i kamienia a piece z kafli polewanych i malowanych, najczęściej gdańskich, a wtedy były prawdziwą ozdobą i osobliwością mieszkania. Ale najdostojniejsze miejsce miał komin, szanowane ognisko, symbol rodzinnego życia, „przyjaciel duszy szlacheckiej," jak go Rej nazywa. Piec dawał tylko ciepło i był głuchy i niemy; komin dawał i ciepło i

i światło i gadał do człowieka, a gdy się skojarzył z „grzeszną, tą rodzoną ciotką naszą,” i z pogadanką w poufnem kole, jakiemże był źródłem ziemskiej szczęśliwości!

Myliłby się przecież, ktoby sobie wyobrażał, że przy tak nielicznych stosunkowo i skromnych sprzętach wnętrze szlacheckiego dworu wyglądało nago i ubogo. Przeciwnie, komnaty sprawiały wrażenie bogatsze a do pewnego stopnia nawet zbytku i cieszyć musiały gościa bardzo malowniczą dekoracyą, a to dzięki tej nieprze-branej niekiedy obfitości opon, szpalerów, makat, kobierców i koltryn, w których się miłowano, a których nie brakło w żadnym dostatniejszym nieco dworze szlacheckim. Ściany w pryncypalnych pokojach nigdy nie były gołe; są wskazówki, że niekiedy były malowane w festony, kwiaty, drzewa lub nawet z wyższą pretensyą kompozycyi figuralnej; jak np. w drewnianym dworze Szczęsnego Herburta w Buniowicach, który świetlice swoje kazał ~~pokoje~~ ozdobić malowanemi symbolami i allegoryami historyczno-moralnej treści. Była to jednak dekoracya wyjątkowa, nie każdemu domowi przystępna, dla braku malarzy nie łatwa; kto lubił tedy malowane ściany, ten uciekał się do t. zw. koltryn (z włoskiego coltre, coltrina), które były tem, czem są dzisiaj tapety papierowe. Były to płótna malowane klejowo lub olejnie w ornamenta, kwiaty, widoki a nawet osoby. Kupowano je już gotowe, a sprowadzano pierwotnie z Włoch, jak sama nazwa świadczy, później atoli przeważnie z Gdańska, Wrocławia i Norymbergi. Najpiękniejsze i najbardziej cenione w XVI i XVII wieku były zawsze przecież koltryny włoskie a zwłaszcza neapolitańskie i bergamskie. W inwentarzach niektórych dworów wielkopolskich, ogłoszonych przez Józefa Łukaszewicza, znajdujemy bliższe opisy takich malowanych obić płóciennych, w dworze w Rąbinie ~~np.~~ w powiecie kościańskim były np. obicia „w desenie mory i w kwiaty fioletowe,” obicia „na płótnie ad instar chińszczyzny w różne osoby malowane” itd. Obok koltryn używano do pokrycia ścian także sukna, zielonego lub czerwonego, jak to widzimy z inwentarza dworu w Trepi, częściej zaś szpalerów albo stref, t. j. brytów materyi o dwóch rozmaitych kolorach, pionowo od pułapu do pawimentu zawieszanych, niekiedy adamaszkowych, częściej atoli pośledniejszych i tańszych brokatelowych.

Ale koltryny i strefy były stałą dekoracyą, musiały być dostosowane do wysokości, rozmiarów i formy komnaty, co utrudniało ich użycie w razie zmiany miejsca zamieszkania, mniej też odpo-

wiadały

wiadały smakowi i obyczajom szlacheckiego ogółu, którego siedziby w wewnętrznem urządzeniu miały zawsze coś z improwizacyi i obozowej dorywczości, przenoszono więc nad nie makaty, kobierce i kilimy, które łatwo zawiesić i łatwo zdjąć się dały. Makat i kobierców miewał najskromniejszy nawet dom szlachecki w obfitości, w zamożniejszych liczba i rozmaitość ich bywała wprost zdumiewająca. Po śmierci starosty trembowelskiego Piotra Ożgi (1623) który nie zaliczał się wcale do magnatów, pozostało ich 288; na zamku dubieńskim wylicza inwentarz około 150 wielce kosztownych adziamskich, t.j. perskich kobierców, w bardzo znacznej części jedwabnych i złotem przetykanych. Makaty pochodziły ze wschodu, a tak były ulubione i zwyczajne w Polsce, że mimo wybitnych cech swego pochodzenia dotąd u nas i zagranicą mają nazwę staropolskich, tak samo jak i pewne rodzaje wielce dziś rzadkich i niezmiernie kosztownych jedwabnych z złocistem tłem kobierców, które że w Polsce było ich najwięcej i że stąd dostawały się do innych krajów Europy, zachowały dotąd w inwentarzach zagranicznych nazwę kobierców staropolskich, chociaż niewątpliwie pochodziły z warsztatów perskich a zakupywane były przez Ormian polskich głównie w Chorassanie i Stambule. Kiedy jeszcze w połowie XVI wieku dwa takie kobierce w posiadaniu francuzkiego marszałka de Saint-André (deux tapis velus persians à tout d'or, qui estoient hors de prix) były niesłychaną w Paryżu osobliwością i znalazły w współczesnych zapiskach osobne miejsce jako okazy wyjątkowego zbytku — w Polsce nie było już może zamożnego domu, w którymby nie znajdowało się po kilka takich kobierców. Najrozmaitsze były rodzaje i nazwy kobierców wschodnich używanych w Polsce; w inwentarzach i testamentach z XVII w. spotykamy całą terminologię, dziś już dla nas zagadkową: kobierce i kilimy melikbaskie, dywańskie, sołchackie, turkmańskie, angurskie, słupiaste, perdy, czatmany, wieleńce, potawniki itp.

Temi to makatami i kobiercami, wśród których niewątpliwie znalazła się niejedna sztuka, pochodząca z swojskiego kobierniczego warsztatu, bo wiemy, że wyrabiano już w XVII wieku makaty i kobierce w Brodach Koniecpolskiego i Nieświeżu Radziwiłłów, a także i we Lwowie, ozdobione były ściany i pokrywane stoły i ławy szlacheckiego dworu, który tym sposobem nabierał ciepła, barwy, miękkości i wygody. Dodajmy do tego, że chociaż mówiąc słowami poety XVII wieku: „nie wisiał lanszaft nowy na tych ścianach Rubensowy, konterfektów też nie wiele i nie dzieła Dolabelli," to konterfekty przodków, jakiekolwiek były, przecież były, a zawieszone nad drzwiami izby stołowej, nadawały

jej tę czcigodność, jaka się należy starożytnym trudycyom domu i rodziny. Daleko wszakże świetniejszą aniżeli te portrety antenatów z buławami, których najczęściej nigdy nie miewali w ręku, dzieła domorosłego naiwnego pędzla, daleko bogatszą dekoracyą ścian była broń niekiedy bardzo kosztowna, której cały arsenał bywał zawsze po dworach szlacheckich. Były to złociste szable, buzdygany, półzbrojki, kołczany, szyszaki i tarcze, rycerski splendor szlachcica, często o tyle dostojniejszy i cenniejszy, że był na-seryo wojenną trofeą gospodarza i jego synów. Bywały domy szlacheckie, których ściany były niejako wojenną historyą całego stulecia; widzieć na nich można było pamiątki zdobyczne z całego szeregu wypraw, począwszy od tureckiego buńczuka zerwana i srebrnego tatarskiego jarzyka, od bogatego bojarskiego bechtera i złocistej moskiewskiej ikony aż do szpady szwedzkiej i niemieckich bandoletów — a jeśli gospodarz był np. kiedyś Lisowczykiem, miewał i w skrzyniach rzeczy bogate z dalekiego nawet Zachodu, z nad Renu i z Belgii; bardzo też często spotykamy w inwentarzach i testamentach ustępy o „zbiorach przez długie lata po cudzych ziemiach szablą nabytych," o bardzo kosztownych rzeczach w złocie i srebrze: *in praeliis grandibus ab externis hostibus strenue acquisitis*. Wyprawy wojenne prawie aż po sam wiek XIX, ~~nie~~ jak na całym zresztą świecie tak i u nas, nie były tem, czem są dzisiaj; łup i otwarta grabież w kraju nieprzyjacielskim były uznanym przywilejem żołnierza; dla wielu wojna bywała środkiem dorobku, niebezpiecznem ale obiecującem przedsiębiorstwem, a zdrowie i życie było kapitałem, od którego wymagano wysokiej lichwy.

I dwór szlachecki miał swój zbytek; próżność i naśladownictwo łatwo przekraczały jego progi. Urastał często po nad środki; „dwór — wroga machina, wieś skryłby rozjazdem, jako drobną sikorkę pod bocianiem gniazdem," wyraża się o tem jeden z starych poetów naszych. Śmieszne strony takiej fałszywej wystawności wyszydzili aż do zbytku nasi satyrycy, ale dosadniej może od nich, bo z realniejszego, niejako rachunkowego punktu widzenia odmalował nam całą tę sprzeczność między prawdą a pozorami w listownym traktaciku jakiś szlachcic-anonim XVII w., jeden z tych bystrych i rozumnych obserwatorów swego czasu, którzy niestety pisywali nie do druku ale dla przyjaciół a zachowali się swemi utworami nie w literaturze, ale w rękopiśmiennych *Collectaneach* i *Miscellaneach*. „Nie proporcya to — mówi nasz bezimienny szlachcic — kiedy dwór wielki a chłopów na wsi mało; więc kiedy w wielkim dworze jeno sam pan z woźnicą a kiedy mu piwa każe nalać, to go nie usłyszy. Mieszkanie ma być szlacheckie według wsi i według poddanych. Limonie, oliwki, salsesany, cukry, dobre to rzeczy, ale

kto nie ma 1000 kóp żyta, dobry mu ogórek, kiełbasa, chrzan, rzodkiew i rzeżucha. Nie proporcya to aksamitna delia a karazyjowe portki i chłopiec bosy; do aksamitnej delji trzeba kilku pacholarzy i ochędostwo inaksze. Nie proporcya to: na gumnie pięć brogów żyta a dziesięciu kręciwąsów w izbie; według gumna mają być pacholarze, barwa i honor. Kiedy kto ma 1000 kóp żyta, może chować trzech pachołków i chłopiąt dwoje. A ile set kóp owsa, tyle koni chować; na jeden folwark kareta o jednej skrzyni a na dwa folwarki niech będzie kolebka o dwóch skrzyniach, a na trzy folwarki niech za kolebką wózek parą koni idzie. Nie proporcya to dać łamane serwety na stół a piwo zgniłe; ma być wino do łamanych serwet. I to nie proporcya dać wino na stół a muzykę dudy; do wina ma być regał a dudy do piwa." Ale z tych wszystkich „nieproporcyj," wytkniętych przez anonima, największą była niewątpliwie ta zgraja „kręciwąsów," ta czeladź szlachecka, o której już Rej powiada: „A ty niedbasz, kiedyby kilku wąsatych chłopów z liściami kołnierzami przed tobą stało a izby ci czterzej rzeźnicy dzierżyli." Poznaliśmy już służbę wielkopańską — szlachecka różniła się od niej nietylko liczbą i jakością, ale także stosunkiem swoim z domem i rodziną. Tak samo przecież jak dla magnata, służba i dla szlachcica bywała zbytkiem, ruiną i plagą. Gdzie jej było najmniej, tam jej było jeszcze nad potrzebę. „A trzeba dla pychy kilkadziesiąt chować, gdzieby kilku wygodnie mogło posługować" — mówi poeta tych czasów.

Nie z czystej wszakże próżności urósł zwyczaj chowania licznej służby. Brak bezpieczeństwa i gospód w podróży, brak dróg i mostów, który zniewalał mieć pod ręką ludzi do podniesienia wywróconej karety lub do wydźwignięcia jej z przepaścistego trzęsawiska, brak bezpieczeństwa w domu, dalekim od miasta, dalekim od pomocy ludzkiej, trwoga przed zajazdem, przed opryszkiem, przed złym sąsiadem itp. — wszystko to było pierwotnie powodem trzymania bardzo licznej służby nawet w skromnych zresztą domach szlacheckich. Z potrzeby zrobił się zbytek, z rzeczywistego pożytku reprezentacya, ze służby świta. Już nie dla siebie chowano tych próżniaków ale dla cudzego oka. Ci dwaj łysoszowi hajducy, których specyalnym obowiązkiem było z początku popychanie ugrzęzłej lub podnoszenie wywróconej karety, stali już potem na tylnej desce sztywnie, nieruchomo, ubrani w dziwaczne kostiumy, i trzymali się jedwabnych kutasów dachu, bez celu, dla czystej parady; ci dwaj pachołcy, co w noc ciemną z pochodniami towarzyszyli podróżującemu panu, już potem w jasny dzień, w potrójnej i poczwórnej liczbie, w

strojach kozackich lub ułańskich eskortowali powóz po bezpiecznej i gładkiej drodze i po ulicach miasta.

W każdym zamożniejszym domu musiało być parę rękodajnych szlachciców, kilku hajduków i pachołąt, nie mówiąc już o pospolitej roboczej czeladzi. Rekrutowała się ta służba najczęściej z bardzo dwuznacznych żywiołów, a gdy nietylko żaden magnat i karmazyn ale i żaden choćby miernej fortuny szlachcic nie obchodził się bez niestosunkowo licznej czeladzi, gdy żadna chorągiew nie obywała się bez służebnych ciurów, żaden towarzysz bez pacholików — była klasa ~~[illegible]~~ tak ~~mnoga~~ pokaźna, oplatywała cały kraj od końca do końca tak gęstą siecią, była nareszcie takim znacznym czynnikiem w chronicznej swawoli polskiej, iż rzecby można, iż stanowiła osobny stan Rzpltej; jakiś *tiers etat* pasożytniczy, awanturniczy, koczowniczy, stały odpływ i przypływ tego świata, który w zabawnej łacinie autor nosił nazwę: *golota et odardi*. Znalazła też nawet w pierwszej połowie XVII wieku swego dziejopisa, swego „czarnego Plutarcha", (swoje *Gniazdo Niecnoty*) a jest nim autor rękopisu *Liber Generationis* czyli *Liber Chamorum*. Jedyna ta w swoim rodzaju księga, dość niesłusznie jako paszkwil okrzyczana i dlatego dotąd drukiem nieogłoszona, zajmuje się z małym wyjątkiem tylko samemi postaciami z klasy służebnej; jest to herbarz hultajski, galerya oczajduszów, którzy przez awanturnicze koleje, przez manowce infamji dochodzą do mienia i stanowiska, z hazardem gardła dobijają się krescytywy i podszywają się w końcu pod szlacheckie tytuły i pod szanowne nazwiska, a z których każdy ma za sobą *curriculum vitae* jakby wyjęte z jakiejś pikaryjskiej powieści lub z niemieckiego *Schelmenromanu*. Nie dziw też, że z takiej warstwy społecznej rekrutowana służba nietylko ciężarem i frasunkiem, ale i niebezpieczeństwem była dla służbodawcy, który zdać się musiał niekiedy na ich łaskę lub niełaskę — trafnie też dawano sługom szlacheckim nazwę *domini dominorum*. Wielki pan mógł mieć służbę karną i posłuszną, bo szlachcic służący u magnata mógł się spodziewać i doczekiwał się też często stałej poprawy losu, wyforytował go pan na urzędnika, na podstarościego w ekonomji królewskiej, na wicesregenta w grodzie, na czopowego poborcę, na gubernatora dalekiego i mało kontrolowanego klucza, co już było drogą do fortuny — ileż ich tym sposobem powstało! — wyrobił mu intratne wójtostwo, dał wioskę za bezcen w dzierżawę, opatrzył w testamencie. Co więcej: nie-szlachcic w służbie magnata mógł nawet *per fas* lub *nefas* — a to

częściej pierwszym niż drugim sposobem – wyjść za możną protekcyą swego służbodawcy na szlachcica, czego dość liczne bywały przykłady, zwłaszcza w pierwszych latach XVII wieku, kiedy to trzej potężni magnaci ~~polscy~~ książe Jerzy Zbaraski, kasztelan krakowski, Sebastyan Lubomirski, kasztelan wojnicki, i Mikołaj Ligęza, starosta biecki, „zwyczaj mieli, że żadnego szlachcica tylko chłopy za sługi trzymali", jak to z oburzeniem szlacheckiej duszy zapisuje autor cytowanego co dopiero Liber Chamorum. Sługa zwykłego szlachcica nie miał takich widoków, nie bardzo też dbał ~~ani~~ o służbę ~~ani~~ u pana. Stąd stosunek bez respektu poufały, bardzo familiarny, którego wiele przykładów spotykamy w literaturze satyrycznej i pamiętnikowej. „Chędożej pan sługi nosi niż samego siebie – powiada pisarz z ostatnich lat XVI wieku, – służba z panem równo do stołu, do misy, w karty, kostki, do pełnej, do woza, do koni, a upiwszy się panu nałaje, czasem z nim i za łeb idzie, mówiąc: żem tak dobry jako i ty."

Nie zawsze przecież i nie wszędzie ta familiarność miała ~~miała~~ tak niemiłe powody i skutki; trzeba przyznać, że w wielu wypadkach była wynikiem patryarchalnych tradycyj, objawem zacnego obyczaju, który czeladź łączył z domem węzłem niejako rodzinnym, czynił uczestnikiem wspólnego ogniska. Najgorszy nawet sługa miał to sobie za obowiązek osobistego honoru, stanąć przed innymi w obronie czci pańskiej, najgorszy nawet pan znieważenie swojego sługi uważał za obrazę własnej osoby. „Kto się o psa i o chłopca nie ujmie, ten się i o żonę nie ujmie" – mówi stare przysłowie polskie. Był zwyczaj pozwalania sługom szlacheckiej kondycyi na tańcowanie z pannami domu, traktowano ich uprzejmie przy gościach u siebie, w gościnie u drugich. „Znamy się doma, znajmyż i u ludzi" – przysłowie to brano nieraz zanadto dosłownie; poeta Wacław Potocki bardzo się zgorszył, kiedy pewna pani będąc u niego w Łużnej na obiedzie, podawała najsmaczniejsze kąski swojej służbie, powtarzając za każdym razem to przysłowie.

Służba domów szlacheckich była wyłącznie polska, podczas gdy magnaci utrzymywali licznych cudzoziemców; wyjątek stanowił chłopiec Węgrzynek a i ten najczęściej nie bywał Węgrem ale Słowak. Zdarzał się przecież i tu wyjątek, a to bardzo osobliwego rodzaju. Oto jak na ścianach komnaty szlacheckiej wisiały trofea wojenne martwe, tak i w izbie czeladnej znaleźć można było niekiedy zdobycz wojenną żywą. Pojmał szlachcic żywcem Tatarzyna i chowając go w swoim dworze

ułaskawił jak wilka; Lisowczyk miewał czasem Niemczyka, którego uwiózł z sobą gdzieś aż z nad Renu, jak np. ów pan Baltazar Wesołkowski (r. 1631), który zeznaje: „iż kiedym na cesarskiej służył przed dwunastą lat, tedy *in palatinatu Rheni* między inszemi miasty Frankenthal miasto wysiekliśmy i z gruntu znieśli, w pień wszystkich powycinali; z tego miasta *jure belli* wziąłem tego Filipka chłopięciem i przywiozłem go do Polski, tak z sobą na jednym koniu." W Bukaczowcach na Rusi są między czeladzią dworską Tatarowie, niewolnicy i niewolnice, Greczynek, Turczynek, „mohilewski dyaczek, którego na wojnie wzięto." Ku wielkiemu podziwieniu całej ziemi przemyskiej Andrzej Fredro (z r. 1599) trzyma sobie murzyna.

Skreślony tu w najgłówniejszych rysach obraz szlacheckiego dworu nie byłby zupełny, gdybyśmy pominęli najbardziej znamienną jego cechę, to jest ową z natury czasów i rzeczy wynikającą uniwersalność i samoistność jego całego bytu. Był on zamkniętym w sobie i dla siebie organizmem, państewkiem po swojemu udzielnem, małym i ciasnym ale w całości swej okrągłym światkiem. Aby w nim życie było znośne, musiał być ile możności niezawisłym od zewnętrznego świata, wystarczającym sam sobie. Miast wielkich było bardzo mało, miasteczka były mizerne i nic w nich dostać nie było można, chyba w czasie jarmarku, drogi opłakane, w pewnych porach roku wprost nie do przebycia. Wszystko robiło się w domu. W każdym znaczniejszym dworze musiał być rzemieślnik, posiadający przynajmniej najkonieczniejsze rudymenta swej sztuki, rzemieślnik od biedy lub samouczek, szewc, krawiec, kowal, kołodziej, cieśla. W każdym dworze palono gorzałkę i wyrabiano najrozmaitsze nalewki, w każdym był t. zw. mielcuch, w którym warzono domowe piwo. Stół zaopatrywał się na miejscu, czego nie dał las, pole, ogród, obora, i podwórze, tego się nie jadło. W domu robiło się płótno, wyprawiała się na surowo skóra, mełły się krupy i mąki, wylewały się świece, gotowało mydło, syciło się miody, tłoczyło woski, suszyło się mięso i ryby, sporządzało się leki, fabrykowało się atrament a nawet proch strzelniczy. Apteczka domowa musiała starczyć za farmaceutę i lekarza a składała się prawie wyłącznie z ziół swojskich; jedynym ale wielce kosztownym, na wagę złota cenionym egzotycznym i kupnym lekiem była owa słynna dryakiew (*theriacum coelestis*), generalny medykament na wszystko i dla wszystkich, cudowne *arcanum* weneckie, w którego skład wchodzić miało według powszechnej wiary 64 najdroższych i najrzadszych ingredyencyj a między niemi i cząstki węża z tego samego rodzaju co ongi wąż z pod Krzyża

zbawiciela.

Apteczka była dumą pani domu, ale niemniejszą chlubą jej była zapewne spiżarnia, a przedewszystkiem tak zwana podręczna, schowanie suche i chłodne obok piwnic, w których pię-trzyły się, mówiąc słowami Reja, „te wszystkie nadobne pożyteczki, które dobra gospodyni bez wielkiej pracy a na poły z krotofilą może uczynić": kasze najrozmaitsze, o których dziś już wieść zaginęła: manna, tatarczana, kilkora, pszenna, owsiana, żytna, jajeczna; małdrzyki przypiekane, placki ochędożne, osuszki, kiełbie, suche ryby, udźce, „owa te rzeczy, o których mówi wspomniany już autor Zabaw Orackich, że ich nieuwarzonych wnet dać można na niemało talerzy," dalej konfekty, jako gruszki, orzechy włoskie, brzoskwinie itp. w cukrze i miodzie, przeróżne potrawy „wiatrem i słońcem wędzone," śliwy węgierskie „w wiązanych snopkach słomianych i wiśnie w równiankach na słońcu suszone", octy winne, miodowe, piwne, agrestowe; jabłeczniki, gruszeczniki, wiśniaki; „jagody bzowe ustałe, co niemi małmazyę farbują" — wszystko roboty domowej, „bo tylko to Polsce przystało, co się w Polsce rodzi," i można się obejść bez Gdańska, który cudzoziemskie ~~rzeczy~~ z Lizbony, z Antorfu (Antwerpji), tak jak przedtem z Genuy albo Wenecyi" sprowadza. W tym ~~ważnym~~ dziale gospodarstwa domowego odgrywała bardzo ważną rolę stała figura każdego wiejskiego dworu, zwana „panią Starą" albo dworką, pierwsza pomocnica i alter ego pani, rodzaj marszałka w spódnicy, stateczny prototyp późniejszych klucznic i szafarek.

To samo co o fizycznych, powiedzieć by można i o moralnych i społecznych potrzebach. ✝ Była jurysdykcya własna, był taras i gąsior dla złodziejów, była siła zbrojna do obrony domu i do przymusowego przeprowadzenia woli pana, była, jeśli się mieszkało nad spławną rzeką, własna flotylla, szkuty, tratwy, dubasy, komięgi, spławiające pszenicę i materyał ~~do~~ leśny do Gdańska; była poczta własna, którą sprawował kozak konny, bywała biblioteczka niejako samorodna, bo pisana w domu, dość bowiem rozpowszechnionym zwyczajem zamiast kupować przepisywano ~~nie~~ wiersze, oracye, broszurki (już) drukowane, ale zdarzały się na odwrót po większych dworach wiejskich miniaturowe drukarenki, trochę dla zabawki trochę z chętki naśladowania magnatów, którzy jak np. Herburt w Dobromilu, Rzewuscy w Podhorcach, Ogińscy w Słonimie, Potoccy w Poniowcach i Tulczynie itd utrzymywali całe oficyny drukarskie. Czego się nie miało i mieć nie mogło w domu i z własnego przemysłu, to się kupowało raz lub najwyżej dwa razy do roku w jakiemś wielkiem mieście, przywożąc z Gdańska w zamian

✝ Gdzie nie było kościoła, tam w znaczniejszych przynajmniej dworach, była kaplica z kapelanem; gdzie nie było kapelana, tam pan albo pani domu spełniali tędzie funkcyę duchowną, przewodnicząc codziennie zbiorowej modlitwie rodziny i domowników.

za pszenicę, nabywało się od Włocha, Niemca, Szkota, ~~żyda~~ Ormianina i żyda na jednym z pobliskich jarmarków, które odbywały się bardzo często i po najnędzniejszych nawet mieścinach, a bywały bardzo ludne i obfite w najrozmaitsze, nawet rzadkie i kosztowne towary. Pomagał także w utrzymaniu stosunków z zewnętrznym światem kwestarz-zakonnik, żołnierz przewożny, co wybierał stacye w sąsiedniej Królewszczyźnie, wędrowny rzemieślnik a to najczęściej kuśnierz, zegarmistrz i malarz i wędrowny handlarz, jak np. Szkot z swoim pudłem t. zw. materklasów, t.j. najprzeróżniejszych drobiazgów i fraszek, winiarz węgierski z próbkami, Ormianin z koniem, rzędem, kobiercem i ofertą małmazyi, a w końcu żyd, nasz „wieczny żyd,” ze wszystkiem i po wszystko, co było do kupienia lub do sprzedania na polskim świecie.

Dwór szlachecki i patryarchalny, homeryczny sposób jego życia trwał najdłużej i z nieprzełamanym konserwatyzmem opierał się do do najpóźniejszych czasów reformie obyczajów, nowatorstwu i modzie. Gwałtowny przewrót politycznych i społecznych stosunków nie obalił go tak łatwo jak obalił zamki i pałace, jego modrzewiowe ściany dłużej niż grube mury magnackich siedzib wytrzymały ową niszczącą falę, co zatapiała starą Polskę i spłukiwała z niej oryginalną obyczajową barwę. Tylko w pewnych okolicach, sąsiadujących z stolicami, objętych sferą ich bezpośredniego wpływu, i tylko w pewnej części szlacheckiej warstwy dokonała się najbliższa przemiana. Bywały aż do końca XVIII w. całe powiaty, w których nie znalazłeś ani jednego murowanego dworu. Ochocki w pamiętnikach swoich opowiada, że w województwie kijowskiem pierwszy murowany dom szlachecki, już pałacem przezwany, powstał około 1750 r., drugim z kolei był dom Ilińskich w Romanowie. Pierwsi, co burzyli starodawne dwory i na ich miejscu stawiali pałace i pałacyki pełne pretensyi i wątpliwego smaku, byli to nowi ludzie, co na gruzach wielkich fortun historycznych i kosztem ich szczątków przyszli do bogactwa, i zaczynając świat od samych siebie, chcieli go mieć nowiuteńkim i oderwanym od starej tradycyi, do której całkiem świeży jeszcze splendor nie dał się nawiązać. Dwory i dworki zostały aż do samego końca XVIII stulecia; jeszcze Kitowicz, Matuszewicz, Krasicki, Niemcewicz i inni w pismach swych świadczą o ich niezmienionej w tych czasach fizyognomii — zostały nawet dłużej, zostały tak długo, że ~~w~~ starsi z dzisiejszego pokolenia powiedzieć sobie mogą, że jeszcze ich dziadowie mieszkali i żyli taksamo.

Ubiory i splendory. I

Czytając o ubiorach i strojach staropolskich w satyrach i pamiętnikach od XVI do XVIII wieku, odnosi się wrażenie, jakoby cała Polska była tylko jedną salą redutową, widownią zmiennej co chwila, pustej maskarady — wrażenie nietylko po większej połowie mylne, ale zarazem wielce niejasne i chaotyczne. Pochodzi to nietylko z przesady każdoczesnej satyrycznej i moralistycznej literatury, ale także, i to może głównie, ztąd, że pozostała nam z tych czasów tylko dziwaczna a nader obfita nomenklatura strojów, która zdaje się mówić bardzo wiele a w rzeczy samej nie uczy niczego. Domyślamy się tylko, nie widzimy, a domyślamy się więcej, niż należy. Dopiero ze schyłku XVIII w. mamy takie po krawiecku dokładne opisy, jak np. Ks. Kitowicza, dopiero z tego czasu posiadamy obfitszy zasób rysunków. Z XVI i XVII wieku pozostał nam bardzo szczupły zapas takich rozstrzygających dokumentów, jakiemi są współczesne ryciny; nasze illustrowane książki z tego czasu posługują się z małym wyjątkiem drzeworytami obcemi lub nie mają ~~z~~ realistycznej wartości; brak nam z tej pory tak pouczających miniaturowych kodeksów, jak np. Codex Picturatus Baltazara Boeheima lub pontyfikał Erazma Ciołka; nie mieliśmy malarzy i rysowników, odtwarzających ludzi i rzeczy na podstawie bezpośredniej obserwacji, żywcem, z natury, jakich np. Niemcy miały w Dürerze, Holbeinach, Burgmaierze, Schongauerze, Ammanie i tylu innych — jedynym materyałem autentycznym są u nas współczesne portrety, nie bardzo licznie zachowane i nie dostatecznie znane, bo dotąd częściowo tylko w reprodukcyach przystępne, pomniki grobowe, obrazy religijnej treści z postaciami fundatorów i bardzo skąpe w końcu ryciny artystów obcych, jak np. Stefanina della Bella, którego sztychy wyobrażające wjazd Jerzego Ossolińskiego do Rzymu w roku 1633 są nieoszacowanem źródłem do historyi kostiumów polskich XVII wieku. Atoli i z tych niedostatecznych nawet źródeł wynika, że dawna Polska nie była krajem jakiejś wyjątkowej orgii kostiumowej, że obok wielkiej rozmaitości i zmienności ubiorów istniał zawsze pewien typ stały, zasadniczy; że obok tego ustawicznego naśladownictwa cudzoziemskiej mody utrzymywała się pewna norma smaku i obyczaju, samoistna i narodowa. Gdyby uwierzyć satyrykom i moralistom naszym, gdyby dosłownie wziąć np. dowcipne powiedzenie Reja, że „w postronnych krajach, gdzie się trafi każdy naród malować, tedy Polaka nago malują a z nożycami a postaw sukna

przed nim i krajże sobie jako raczyszű trzebaby przypuścić, że nigdy nie mieliśmy narodowego stroju, a przecież Polska obok Węgier jest jedynym krajem w Europie, gdzie nie sam tylko lud, jak gdzie indziej, ale i wyższe warstwy społeczne posiadają tradycyjny, czasem i zwyczajem uświęcony kostium narodowy. Straciły go pobratymcze nam narody słowiańskie, straciły np. Czechy, straciła i tyle późniejsza od nas w niwelacyjnym rozwoju cywilizacyi Rossya, gdzie także tylko lud go zachował — w Polsce utrzymał się jako strój uroczysty i reprezentacyjny.

W historyi mody i jej ekscentrycznych objawów Polska nie była wyjątkiem w każdoczesnej Europie a jej kostiumowy obyczaj ulegał tym samym wpływom i warunkom, co w innych krajach. Działały u nas tak samo jak gdzie indziej najpierw położenie geograficzne, dalej wrodzona wszystkim narodom zmienność smaku czyli moda, potem skłonność do naśladownictwa, w końcu stan dobrobytu i kultury. Klimat polski wymagał ubiorów ciepłych, ztąd przestronność, fałdzistość i długość kroju szat wierzchnich, jak delie, kazuki, kopieniaki czyli okopienie, burki, opończe, nasuwienie, ztąd także potrzeba a w dalszej konsekwencyi zamiłowanie i zbytek w futrach najrozmaitszego rodzaju i pochodzenia, od barana do sobola. Położenie geograficzne dało nam za sąsiada państwo ottomańskie z całą jego potęgą wojskową i z całem bogactwem form zewnętrznych, przemawiających do imaginacyi swoją malowniczą świetnością, zrobiło nadto z Polski pośredniczkę komunikacyjną i handlową między wschodem a niektóremi krajami zachodu, ztąd ów silny i przemagający pierwiastek wschodni w ubiorze i obyczaju polskim; bliskie sąsiedztwo Niemiec i fakt, że wszystkie nasze wielkie miasta pierwotnie prawie na wskroś, do pierwszych zaś dziesiątek lat XVI wieku jeszcze przeważnie były niemieckie, zaznaczyły się bardzo stanowczym, może najprzeważniejszym nawet wpływem na polską kulturę a znowu niższość tej rodzimej kultury bardziej sprzyjała naśladownictwu. Dodajmy do tego wielką przyrodzoną jej pochopność natury polskiej do naśladownictwa, jej wyjątkową łatwość przyswajania sobie wszystkich zewnętrznych form choćby najbardziej skomplikowanej cywilizacyi wraz z tem, co w niej bywa nadmiarem i wybrykiem, dodajmy lekkomyślniejsze i naiwniejsze może

niż gdzieindziej lubowanie się w świetności i zbytku, a zrozumiemy łatwo, jak się tworzyła różnemi warstwami czasów i wpływów ta naleciałość cudzoziemska, na pozór tak gruba, że znikać się pod nią zdawała wszelka pierwotność rodowita, że w tak ~~w tak~~ bogatym słowniku ubiorów i splendorów polskich, w tej istnej powodzi nazw tureckich, niemieckich, włoskich, węgierskich nazwa polska należy do rzadkości.

A przecież ta cała cudzoziemska powłoka nie zawsze ~~nie zawsze~~ zrasta się z polskim obyczajem organicznie; nie wyklucza jeszcze całkowicie pewnej niezawisłej, swojskiej oryginalności. Ten poliglottyzm w nazwach ubiorów nie zawsze odpowiadał rzeczy. Jedna i ta sama nazwa oznaczała co innego w Turcji, na Węgrzech lub w Niemczech a co innego w Polsce. Strój „czerkieski" np., o którym tak często spotykamy wzmianki, nie miał w sobie nic zgoła czerkieskiego, powstał on, jak świadczy Pasek, z potrzeby żołnierskiej ubierania się kuso i używania wysokich butów jeździeckich; kontusz polski był czemś zupełnie innem ~~niż~~ jak kontusz turecki lub tatarski; dołoman polski różnił się od dołmana węgierskiego; † to samo da się powiedzieć o delji, o szubie, o bekieszy itp. Nazwa ta sama rzecz inna, tak że budzi się nieraz wrażenie, jakoby nie rzecz samą brano od obcych ale nazwę do rzeczy.

† kazuka polska nie jest wcale identyczną z niemiecką Kasäcke lub z francuzką casaque, od których zapożyczyła nazwy;

Kto robił modę w Polsce? Król, magnat, ~~rzemieślnik~~, student i żołnierz. Dwór, jak wszędzie i zawsze, był wzorem wykwintnego obyczaju ~~w Polsce~~ i stroju, on też był pierwszym rozsadnikiem cudzoziemczyzny w Polsce. Z dworem Bony weszły w modę kostiumy włoskie, Rakuszanki poślubione naszym królom wprowadziły w bliższych dworowi warstwach szlacheckich protegowane na dworze wiedeńskim tradycyjnie od czasów Karola V stroje hiszpańskie; Wazowie dali początek modzie szwedzkiej; dwie Francuzki na tronie dostarczyły modeli paryzkich; Sasi i Stanisław August zaznaczają przewrót w ubiorach i inaugurują porę polskiego rococo, po części w niemieckiej, przeważnie ~~po części~~ w francuzkiej stylizacji. Magnat nietylko modeluje się na każdoczesny wzór monarszego dworu, ale on pierwszy odbywa podróże i legacye do stolic i dworów europejskich i wraca ubrany po niemiecku, po włosku, po hiszpańsku. ~~Rzemieślnik, częściej Niemiec, przywozi z sobą z Wrocławia, Norymbergi rysunki „sztuk kramieckich" i ubiera z niemiecka nietylko mieszczan krakowskich, i lwowskich, poznańskich, ale i szlachtę próżniejszą i skłonniejszą do [illegible]~~. Student polski powraca z Padwy, Bononji, Rzymu i przywozi z sobą nietylko biret i togę doktorską ale już i po ulicy „chodzi po włosku",

pociągające przykładem swoim wszystkich, co mają trochę pretensyi do nauk i sztuk wyzwolonych. Żołnierz wraca z każdej wyprawy wojennej, z każdego obozu z jakąś uderzającą nowością w stroju i przewraca głowę wszystkiej młodzieży — rzec można, że całej szlachcie średnio zamożnej żołnierz dyktuje modę. „A strojów takowych, wszystka ansa i powód z junaków wojskowych; i nie masz, żeby z tego kraju, gdzie wojuje, nowego nie uniósł obyczaju" — rymuje Andrzej Rysiński około 1640 r. Potwierdza to i Starowolski, a Pasek, sam żołnierz, z własnego doświadczenia mówi: „Co ja już pamiętam odmiennej coraz mody w sukniach, czapkach, w butach, szablach, w rzędzikach i w każdym aparacie wojennym i domowym, nawet w czuprynach, w giertach, w stąpaniu i witaniu, o Boże! nie spisałby tego na dziesięciu skórach wołowych!" ~~Nad~~

[a capite] I rzeczywiście, nietylko o stroju ale i o fryzurze decydował najczęściej żołnierz, zwłaszcza jeśli zasłynął szeroko w swojem rzemiośle. Głośny z walecznośći i rozpasanej fantazyi strażnik koronny Samuel Łaszcz, kiedy wpadł na koncept podstrzyżenia sobie włosów wysoko i jakby czubato, zaraz znalazł naśladowców w całej Polsce. „Pierwszy strzyżenia wysoko czupryny wynalazca" — mówi o nim w swoim herbarzu Niesiecki. Łaszcz nie był jednak „wynalazcą" samejże czupryny, tylko reformatorem jej kształtu i rozmiaru; już dawno przed nim chadzali nietylko wojskowi Polacy czubato, a nuncyusz Kardynał Valenti (r. 1604) opisujące postać Kanclerza Zamoyskiego wspomina o jego okazałej czuprynie (capelli canuti col zuffo alla Polacca). Decyusz w swojej historyi czasów Zygmunta I a za nim Stryjkowski i poeta Janicki utrzymują, że za przykładem żołnierskim po wojnie z hospodarem wołoskim Bogdanem a mianowicie po walnem zwycięztwie nad Tatarami pod Łopuszną w r. 1512 Polacy strój swój radykalnie zmienili, zarzucające długie, ciasne szaty i długie w kędziory zawijane lub w warkocze splecione włosy. Później zaczęto podgalać głowę do koła, zwyczaj, który już za bytności Lippomana w Polsce (r. 1575) był nie nowy (ale jeszcze nie) ustalony, ~~który jednak~~ skoro rymopis Stanisław Witkowski ~~(1605)~~ uważał go jeszcze w r. 1605 za nowatorstwo, ganiące „łby wygolone," których pradziady nie znały. † [a capite] Wojny za panowania Zygmunta III wpłynęły bardzo na współczesną modę polską; Starowolski powiada, że za przykładem

† Około połowy XVII wieku golone głowy z ~~[illegible]~~ czubem były już regułą szlachecko-polskiej elegancyi — ils ont sous leur bonnet fourré la tête rasée et ne conservant de cheveux qu'un petit toupet sur le haut de la tête, mówi o członkach legacyi polskiej na paryzkim dworze w roku 1645 pani de Motteville.

żołnierzy w pierwszych dziesięciu latach ~~panow~~ rządów tego Króla trzy razy zmieniał się krój szlacheckich ubiorów. Zaznaczyły się pod tym względem wybitnie wojny szwedzkie, dalekie wyprawy Lisowczyków na zachód Europy, kampanie Czarnieckiego. Do ważnej roli, jaką odgrywa szlachcic-żołnierz w historyi kostiumowej przyczyniać się musiała okoliczność, że po magnacie przez pewien czas on był jedynym peregrynantem, jedynym bywalcem *par excellence*, a to nietylko pod własną ale i pod obcą chorągwią, wiadomo bowiem, jak często i chętnie zaciągała się szlachta, zwłaszcza uboższa, w służbę cudzoziemską, głównie rakuską. Fakt to zresztą stwierdzony, że jak stosunki pokojowe i handlowe, tak samo i wojny zbliżają do siebie narody i są dobrym przewodnikiem obustronnych wpływów; świadczy u nas o tem wpływ wschodu na ubiór i obyczaj, który w czasach pokoju podtrzymywany głównie przez Ormian polskich, podsycał się każdoczesną wojną z Turcyą, jak tego najpóźniejszy i już ostatni objaw spotykamy w czasach Jana III.

Ani rzecz sama nie wymaga, ani rozmiar niniejszej rozprawy nie pozwala na to, abyśmy wchodzili w szczegóły i za starszymi autorami podawali całą terminologię staropolskich ubiorów. Zanadto tej terminologii poświęcano uwagi i miejsca, zbierając ją skrzętnie z literatury ubiegłych wieków, głównie z satyrycznej, a bez pożytku, rzecz raczej zaciemniając niż wyjaśniając. Z kilku tablic, na których Matejko według starych portretów, pomników i drzeworytów zestawił nam grupy kostiumowe z wszystkich epok przeszłości polskiej, z sztychów Della Belli, z tylu późniejszych rysunków Norblina itd. więcej się nauczyć można niż z całego tomu, który temu przedmiotowi poświęcił tak zasłużony zresztą Gołębiowski. Iść za ~~tym~~ przykładem tego autora znaczyłoby topić rzecz w szczegółach, zaciemniać obraz drobiazgami. Cały ten słownik kostiumu polskiego jest zresztą, jak już nadmieniliśmy, przeważnie zagadkowy; aby wiedzieć, zkąd jaka nazwa pochodzi i co oznacza, co więcej, aby dociec, jak właściwie pierwotnie i poprawnie brzmiała, trzeba być znawcą oryentalnych i wszystkich prawie europejskich języków, tak dalece wszystkie prawie nazwy materyj i szat przemieniły ~~się~~ i powykrzywiały się w ustach polskich. Któż np. z łatwością odgadnie, że polski *inderak* to niemiecki *Unterrock*, polski *kwef* to francuzka *coiffe*, polska *rędzal* to weneckie *zendad*, polski *szustokor* to francuzki *juste-au-corps* a *pandyspary* to *point-de-Paris*? Na domiar

niejasności i bałamuctwa kilka niekiedy odmiennych nazw oznacza rzecz jedną i tę samą; zda się też czasem, jakoby moda wpływała raczej na nazwę niż na sam kształt ubioru. „Zda się coś inszego, a też jest po staremu — powiada bezimienny autor broszury z r. 1650 (Co Nowego) — tylko nazwiska nowe mylą rzeczy i mydlą oczy. Co bowiem za naszych czasów była gunia, to teraz kilim, co była łata to dziś karwasz, co kurta to dołman, co delijka to nasuwień itp." Poprzestać musimy tedy na uwagach ogólniejszej natury i na podniesieniu najwłaściwszych rysów i znamion.

Jednym z takich głównych znamion czasów jest fakt, że w dawnej Polsce, jak zresztą do pewnego stopnia i w innych krajach aż po koniec XVIII wieku, kaprysy i ekscentryczności mody, kosztowność i wzorzystość tkanin, malowniczą rozmaitość i żywość kolorów, błyskotliwość ozdób i obfitość klejnotów nie jest kostiumową cechą i przywilejem samych tylko kobiety ale w równej mierze panuje w strojach męskich. Nie ma pod tym względem różnicy między mężczyzną a kobietą, odnosi się nawet wrażenie z niejednego inwentarza garderoby męskiej zwłaszcza z pierwszej połowy XVII wieku, jakoby próżność i zamiłowanie zbytku u mężczyzn były większe niż u kobiet, bo przybywa mężczyźnie jeszcze dalszy powód do zbytku, obcy kobiecie, a mianowicie broń, która, jak to zobaczymy, przybiera cechę często dekoracyjną, z orężą staje się strojem. Czytając nadzwyczaj szczegółowy opis przepysznych strojów legacyi polskiej, przybywającej do Paryża po Maryę Ludwikę, odbiera się wrażenie niepojętej nam dzisiaj próżności męskiej — opis ten nie ustępuje w niczem dzisiejszym ~~antykwarem~~ pobalowym sprawozdaniom z toalet damskich, zamieszczanym ~~po balach~~ w ~~dziennikach~~ żurnalach poświęconych elegancyom mody. Te same futra, te same jedwabie i złotogłowia, te same złote ozdoby i tę samą obfitość klejnotów spotykamy u mężczyzn i u kobiet.

Futra najrozmaitszych rodzajów stanowiły najkosztowniejszą część garderoby. Najcenniejsze i najbardziej ulubione były obok gronostajów i normurków, tj. rodzaju ciemnych, w niebieski kolor wpadających futer lisich, bobry, rysie i sobole, te ostatnie najbardziej pańskie i wytworne. Sobol był niejako symbolem bogactwa i dostojności — „pomknij się lisie, siedzi tu sobół" — powiada Rej. Zdobił on delje męskie, delijki i dołomanki białogłowskie, ferezye, kontusze; robiły się z niego szłyki, kuczmy i kołpaki; on to

paradował na tych „darmolegach", t. j. przesadnie dużych kołnierzach, co do których Kochanowski pragnie zasięgnąć ~~informacyi~~ rady cudzej, kołnierz li to ~~na~~ u delii, czy delija ~~na~~ u kołnierza." Łukasz Opaliński w swojej polemice z Barclayem używanie soboli uważa za główny zbytek polski (est hic luxus inter maximos qui Poloniam urgent) i powiada, że szata podbita tem futrem kosztuje przeszło 2000 talarów. Handel sobolami kwitnął też w Polsce, za jej to pośrednictwem drogie to futro w znacznej części szło do innych krajów Europy. Główny targ na sobole odbywał się w XVI wieku w Lublinie na św. Szymon i w Poznaniu na św. Łucyę. Hurtownie sprzedawano je na t. zw. soroki lub benty; w jednym soroku mieściło się 40, w bencie 15 skórek. ~~W ostatnich latach~~ Sobole z predylekcyą używano na upominki dla dostojnych osobistości, dygnitarzy, posłów i monarchów; królowa Bona kupując sobole dla siebie i na upominki zapłaciła raz za ośm soroków 3500 zł., a gdy w czasie tym dukat liczył niespełna dwa złote, więc jedna skórka wypadała na 6 dukatów, co znaczyłoby na dzisiejszą monetę 250 do 300 koron austryackich. Król Stefan Batory przesłał księciu Mantuańskiemu w upominku dwa soroki soboli, Zygmunt III podarował w r. 1596 kardynałowi Caëtani bent soboli wartości 500 szkudów włoskich. Z opisu Laboureura wiemy, jak wyglądał taki upominkowy bent soboli. Trzy tuziny sobolich skórek związane były główkami za pomocą jedwabnego sznurka, który przesuwał się przez worek z zielonego atłasu; główki sobolowe u góry worka opierały się o dzwonek srebrny, tak że za pociągnięciem sznurka można było wsuwać i wysuwać skórki. Taki bent soboli, przesłany przez Władysława IV. w upominku pani de Guébriant, wart był około 700 talarów, a daleko cenniejsze były ~~[illegible]~~ dwa soroki soboli, które tenże król przez posła Zawadzkiego ofiarował w upominku królowej angielskiej. Cena szuby sobolowej wynosiła niekiedy 2000 szkudów.

Nie istniały w Polsce leges sumptuariae jak w innych krajach; w miastach tylko uchwalano wilkierze przeciw zbytkom. Raz tylko, a to w r. 1590, kiedy w oczach szlachty stanęło bardzo groźne niebezpieczeństwo „nawałności tureckiej," myślano o ukróceniu zbytków. Rozprawiano o tem, „aby zbytek wszelki z Polski wygnać, jedwabie wywołać, w prostem sukmie chodzić; safian precz, bryze precz, białogłowskie stroje precz — wszystko to tylko była mowa, do skutku nic nie przyszło"—

powiada Bielski. Gdyby zresztą ustawy takie przyszły były do skutku, nie zapobiegłyby były zbytkowi w Polsce, tak jak nie zapobiegły mu w krajach, gdzie istniały w prawnej mocy. Najutratniejszym zbytkiem w strojach polskich był może zbytek w materyach, używanych na szaty, raz dlatego, że wielkie sumy gineły na materyał bardzo krótkiej trwałości i bardzo względnej wartości, powtóre, że wielu drogich tych tkanin nie wyrabiano u siebie, tak jak np. we Francyi, & we Włoszech i na całym wschodzie, ale musiano je sprowadzać z obcych i dalekich krajów, co koszt podnosiło w trójnasób. Materye na suknie męzkie i kobiece, jeśli chodziło o tkaniny jedwabne, były przeważnie pochodzenia włoskiego lub wschodniego, złotolite zaś przez długi czas niemal wyłącznie wschodniego. Najpospolitsze zatem i najdroższe były aksamity, adamaszki zwane także kamchami, atłasy, tabiny, t. j. materye jedwabne t. zw. morowe, czyli jak mówiano „w wodę", bo mieniły się jakby falami (strugi), brokaty, telety (włoskie teletta), t. j. jedwabie przetykane srebrem itp. Kolory tych materyj były najczęściej bardzo żywe i świetne, rysunek ich wzoru zamaszysty i efektownie stylizowany; oko nie bało się jeszcze jaskrawości a smak przesady — bywały jednak pory, w których za przykładem dworu zarzucano na pewien czas barwne kostiumy a ubierano się w ciemnym kolorze. W ostatnich np. latach panowania Zygmunta Augusta, kiedy ten król zwykł był ubierać się czarno, między szlachtą bliższą dworowi i stolicy „czerń się zagęściła", jak się wyraża Górnicki, który zdaje się żałować dawniejszej malowniczej świetności ubiorów, ale jako człowiek dobrego smaku przestrzega przed nadużyciem przesadnej barwistości, „bo nie zda mi się, aby dworzanin miał się pstrzyć zbytecznie." ~~Jakoż~~ z czasem mitygują się na kostiumach polskich kolory, przycicha papuzia jaskrawość, utrzymuje się wprawdzie karmazyn ale już coraz częściej spotykamy (w inwentarzach szatnych) kolory miarkowane, jak ~~pieprzowy, oliwkowy~~, brzoskwiniowy, rubinkowy, burszynowy, kaporowy, rozmarynowy itp. W ostatnich latach XVII wieku wchodzi znowu w modę kolor czarny i przez dłuższy czas przeważa w strojach szlacheckich. „Wszyscy się czernią jęli, chodzi jak w żałobie szlachta," mówi o tej modzie ~~Wacław Potocki~~ tenże sam rymopis.

Altembasy czyli złotogłowia utrzymywały się zawsze a były niejako szczytem przepychu i bogactwa; szata z altembasu ocieknęła cała czystem złotem, z pod którego błyszczącej powłoki przebijał wzorzyście ton jakiś kolorowy. Sprowadzano złotogłów z początku wyłącznie ze wschodu, później także z Włoch

Radziejowski zwracał jeszcze w Gdańsku uwagę Francuzów, towarzyszących Maryi Ludwice, płomienistą barwą swego stroju — drap de soie couleur de feu à fleurs d'or — ale

Żartuje sobie poeta Potocki z szlachcica, co miał na grzbiecie „korzenną szkatułę" i można nim było „zaprawić ryby," miał bowiem na sobie pieprzowy kontusz, cynamonowe portki, oliwkowy żupan, & czapkę goździkową."

[ark 7.

i Francyi, z Genuy, Lukki, Florencyi i Lugdunu. Żupan męzki, suknia niewieścia, uszyta z prawdziwego złotogłowia, przestawały być zmiennemi artykułami mody, zbyt były kosztowne, aby ulegały jej kaprysom; wiemy, że dziedziczyły się z dziada i babki na wnuka i wnuczkę. Taka suknia damska z złotogłowia kosztowała w r. 1535 przeszło 100 dukatów, co najmniej zatem 500 do 600 dukatów dzisiejszych czyli około 6000 koron. ~~dzisiejszych~~ Nie wstydzono się też chodzić w sukniach i żupanach złotolitych, w których już chodził kto inny; kupowano je nawet po nieboszczykach, jak np. wojewoda smoleński Firlej, który kupuje żupan po spokrewnionym sobie nieboszczyku staroście krzepickim. Tak się lubowano w bogatych szatach, jaka ich zdumiewająca, nieprawdopodobna była mnogość po wielkich domach, tego nam dają przykłady inwentarzy garderob magnackich, z których wiele jeszcze czeka ogłoszenia w druku. W spisie szat, należących do starosty felińskiego Stefana Potockiego i jego żony, z domu Mohilanki (r. 1613), znajdujemy ferezye ~~ferezye~~ po 7000 talarów; jest tam 12 delij po 1000 i 2000 talarów, 30 letników złotogłowowych, aksamitnych, tabinowych, telețowych, podbitych najprzedniejszemi sobolami itp. bez końca. Ale bogactwo futer i materyj, których używano do sukien, zniknie wobec ozdób ze złota i drogich kamieni, któremi suknie te bywały hojnie obsypane. Przy każdej szacie musiały być guzy, ferety, pontały i t. zw. sztuczki z brylantów, rubinów, szafirów. Każdy guz u delji podkomorzego Wojciecha Boboli (r. 1631), kosztuje 130 dukatów; w każdej delji wspomnianego powyżej Potockiego i w każdym letniku jego żony tkwi cały majątek w formie guzów i feretów, z których każdy jest klejnotem; żupan wojewody smoleńskiego Firleja zapina się na guzy z oprawnych w złoto szafirów wielkości „jako połowa włoskiego orzecha" (r. 1663.) Garderoba codzienna i podróżna była wełniana; używano do niej czamletów i rozmaitych sukien, z których najdroższem był niderlandzki falendysz (fein-holländisch); kir i karazya służyły do ubiorów uboższej szlachty, do barwy czeladniej i żołnierskiej; z innych lepszych gatunków wymieniane bywają sukna morawskie, wschowskie, brzezińskie, zgorzelickie, bukowskie.

Ewolucya ubiorów da się w ogóle śledzić tylko z punktu fizycznej potrzeby i społecznego uobyczajenia, dopóty, dopóki ubiór jest tylko odzieżą, skoro jednak odzież staje się strojem, wchodzi w grę moda, a wtedy nie ma już mowy

z normalnym rozwoju kostiumu, ma się już bowiem do czynienia z nagłemi przeskokami, z kaprysem, z fantazyą jakiejś górującej warstwy towarzyskiej a nawet jednostki, której wysokie stanowisko nadało znaczenie i powab wzoru. W Polsce, bardzo pochopnej do przyjmowania cudzoziemskich rzeczy, skłonnej przy tem do pewnej excentryczności smaku i zwyczaju, historya kostiumu przedstawia się jeszcze trudniej. ~~Z~~ Ale z niedokładnych nawet a często aż do zagadkowości niejasnych szczegółów, jakie nam pozostały w literaturze przeważnie satyrycznej, ~~i z~~ nawet z tych nie zawsze dostatecznie pouczających wskazówek, jakich nam dostarczają portrety, da się przecież wysnuć wniosek, że jak to powiedzieliśmy już na wstępie tego rozdziału, bądź co bądź istniał strój polski w samoistniejszem narodowem znaczeniu i że ostatecznie da się, że tak powiemy: wyłuszczyć pewien rudymentalny typ ubioru męzkiego w Polsce, typ pośredni i trwały, mimo mniejszych lub większych zmian w gruncie stateczny, przez wieki zachowany. Jak nie braliśmy na seryo cytowanych słów Reja, tak też nie możemy brać dosłownie podobnej opinji Górnickiego, który ubolewa, że „my Polacy nie mamy swego własnego ubioru, acz podobno musiał być pierwej, ale nam omierzł, jakośmy się nowinek chwycili.“ Nie wie już zatem Górnicki, jaki to był strój własny, nie wie nawet na pewno, czy istniał kiedykolwiek na prawdę. Późniejszy od niego wierszopis Stanisław Witkowski (1605) wymienia wprawdzie jako narodowy, swojski, starodawny ubiór Polaków: ochopień, żupicę, kopieniak, kaftan i szary giermak, ale nazwy te istniały ciągle aż po wiek XVIII, a ztąd wniosek, że istniały i rzeczy. Już sam fakt, że współczesnych tak raził strój cudzoziemski, dowodzi, że nie był powszechny, że musiało istnieć pewne coś swojskie, normalne, od którego odbijał, na którem był jaskrawością.

Od XVI do XVIII wieku powtarzają się stale w słowniku i spotykają w używaniu następujące suknie: szuba, delja, kontusz, ferezya i żupan, które też wraz z czapką i pasem składają się na typowy, normalny strój polski; nie wymieniamy spodni, bo te zniknęły pod długą wierzchnią szatą. Szuba była tem, czem są dzisiejsze nasze futra; była długą, bardzo przestronną, miała suto, u dołu ku dłoni aż do przesady rozszerzone albo przeciwnie zwężone rękawy, a krój jej w XVI wieku był całkiem zachodni i nie różnił się prawie niczem od tego rodzaju szaty

w innych krajach. Delija, kontusz i ferezya były również wierzchniemi szatami i wszystkie trzy podbijane futrem. Delja, którą wspomniany Witkowski (*Złota Wolność* r. 1609) pod odmienną nieco nazwą „teleji" zalicza do szat oryginalnie polskich, nie miała pierwotnie rękawów, spinała się ciasno pod szyją i była niejako płaszczem, pokrywającym kostium pokojowy; kontusza nie brano prawie nigdy pod delię, był on bowiem tak samo jak delja szatą zwierzchnią i nie miał ~~aż do XVIII wieku t. zw.~~ wylotów F ~~które stąd powstały~~, że kontusze jak zresztą nieraz i ferezye miały już same rękawy z dwoistej materyi, a mianowicie albo na zgięciu wewnętrznem łokcia a czasem i dalej ku górze i ku dołowi rękaw wierzchni był niejako rozpruty i tylko passamonteryą spięty, tak że w tem miejscu wyglądał drugi rękaw a raczej druga materya innego koloru, zazwyczaj bogatsza ~~i barwniejsza~~ od wierzchniej, albo też, co było jeszcze pospolitszą i stalszą modą, tylko ta część rękawa, które pokrywała samo górne ramię, była z tej samej materyi, co kontusz, cała zaś reszta z innej odmiennego koloru. ~~Z czasem przecięto wierzchni rękaw aż po samo ramię i spuszczono go dołem, odsłaniając drugi rękaw, z całej odmiennej barwy.~~ Ferezya tem się różniła od szuby, że była obciślejsza i zrobiona do stanu, długością swoją sięgała do połowy golenia a niekiedy prawie do samych kostek, była podbita i obramowana na zewnątrz futrem, a zdobiły ją, zwłaszcza w pierwszej połowie XVII wieku, sute szamerowania, t. zw. potrzeby i pętlice. Żupan był suknią pokojową, pozostawał sam, gdy zdjęto szubę, delję lub ferezyę. Bywał bardzo długi, niekiedy dłuższy od szat zwierzchnich, z pod których wązkim rąbkiem wystawał; jeżeli nie był najkosztowniejszym, to zawsze najświetniejszym i najżywszym w kolorze a używano nań materyj litych i jedwabnych, złotogłowia, tabinu, adamaszku, genueńskiego aksamitu.

Czapka była zwyczajnem nakryciem głowy; F ~~kapelusze i kłobuki spotykało się rzadko, przy stroju zwyczajnym nigdy, a choć~~ Czapka polska przebywała liczne odmiany, od litewskiego niewo zwężonego u góry kołpaka z nauszznicami z czasów jagiellońskich aż do magierki Batorego i do malowniczej zbyt prędko zarzuconej czubatej ~~czapki~~ kuczmy z pierwszej połowy XVII wieku, ale zawsze zachowała pewien typ pośredni i zawsze była cała z futra lub z (t. zw. opuszką z) ~~futrem~~ futra rysia, bobra, sobola, zwłaszcza gdy chodziło o strój uroczysty. Spodnie, jak już nadmieniliśmy, nie odgrywały ważnej roli w kostiumie polskim XVI i XVII wieku, bo nie widać ich było z pod szat zawiesistych; tylko w ubiorach żołnierskich i jeździeckich tego czasu, z konieczności kusych, „portki"

F tej formy, jaka się ustaliła dopiero w XVIII wieku a dochowała się do dzisiaj. Nie są też wyloty kontuszowe ani wschodniego, jak mniemano, ani też specyalnie polskiego pochodzenia, chociaż ~~tylko~~ jedynie w dzisiejszym narodowym stroju polskim utrwaliły się jako odwieczny zabytek przebrzmiałej niegdyś ~~mody~~ w Europie mody. Nietylko bowiem w Polsce ale i we Francyi, Niemczech, Hiszpanji itd aż do drugiej połowy XVII wieku przecinano rękawy szaty wierzchniej i opuszczano je luźnie z ramion, aby tym sposobem odsłonić rękawy szaty spodniej, zwykle bogatszej i barwniejszej. Bywało także,

F zawoje, fantastyczne (birety i) kapelusze a zwłaszcza tkane złotem i perłami czepce męzkie, jakie widzimy na miniaturach (krakowskiej) księgi ceilowej Baltazara Behema lub Pontyfikału Erazma Ciołka, nie weszły ~~nigdy~~ w kostiumowy obyczaj szlachecki i używane były tylko w najwyższych kołach dworskich w pierwszych latach XVI wieku. Widzimy je na niektórych wizerunkach Zygmunta Starego lub takich dostojnych osobistości, jak np. Krzysztofa Szydłowieckiego

i „nadragi" były ważną częścią moderunku i mało się różniły od dzisiejszych. Buty w XVI wieku nosił tylko szlachcic pospolity albo wojskowy, do stroju pańskiego służyły jeszcze w XVII wieku trzewiki lub półbutki z barwistego kordybanu. Zapisuje wprawdzie Vanozzi, że zastał Jana Zamoyskiego w butach po polsku podkutych, ale to właśnie, że go ten szczegół uderzył, dowodzi pewnej jego rzadkości (w r. 1596) — jakoż w ogóle dopiero w XVIII w. „poznać było pana po cholewach." Skórznie i baczmagi, „owe kowane buty krzywe i wysokie", które budziły magnam admirationem Francuzów Henryka Walezego, używane bywały głównie na koniu, przy wjazdach i kawalkadach, w podróży i na łowach; śmiano się też w Polsce z Niemca, „że cały w bucie chodzi." W ciągu XVIII wieku polski strój ulega ciągłym i znacznym zmianom; powstają nowe nazwy na stare rzeczy, a stare nazwy na odwrót oznaczają rzeczy nowe; delja przybiera nazwę bekieszy i czujki, ferezya nazwę kierei, kontusz z zamkniętemi rękawami nazywa się czechmanem; jedną i tę samą suknię nosi się to długo aż po kostki, to kuso tylko do kolan, to ze stanem to bez stanu, to buchasto to obcisłe, to fałdzisto to gładko; zmieniają się kolory, bramowania, galony etc., o czem wszystkiem opowiada nam z dokładnością krawca Ks. Kitowicz, źródło tak przystępne i tak powszechnie znane, że przytaczać za nim szczegółów nie widzimy potrzeby.

Trudniejsza znacznie sprawa, kiedy chodzi o ~~ustalenie~~ zestawienie jakiegoś stalszego typu strojów niewieścich. Źródeł graficznych mamy tu jeszcze mniej, źródeł satyrycznych jeszcze więcej, te ostatnie zaś przyganiają tylko samym excentrycznościom żeńskiej toalety, a i tych nawet nie opisują, gubiąc rzecz w powodzi nazw dziwacznych i ogólników moralizujących, z których się nie da złożyć obrazu. Żaden też z autorów narzekających na stroje cudzoziemskie, nie powiada i zdaje się nie wie, jak wyglądał strój polski. Tęsknią czasem tylko do starego słowa, nie przeczuwając, że oznaczało to samo, co im się dziś niepodoba. Bielski np. chwali te błogosławione czasy, kiedy to „nosiły nasze panie duszki, paciorze bursztynowe nie złote łańcuszki; na szyi piękny czecheł albo było goło, na głowie toczenię a chomłę na czoło" — ale otóż ten czechel to giezłeczko z kryzą lub bryżą, to koszulka obramiona takiemiż koronkami, jakie się Rejowi wydają czystym zbytkiem; toczenica to nic innego od tkanki czyli siatki ozdobnej perełkami na głowie, a chomła

to prawie zupełnie to samo, co bramka, przepasująca czoło, na której gorszyły Bielskiego zapewne tylko złoto i perły, jakiemi je ozdabiały bogate panie. Zupełnie jak dzisiaj, kiedy ta sama materya, ten sam jej kolor, ta sama rzecz toalety żeńskiej lub męzkiej, mało zmieniona lub niezmieniona wcale, pojawia się jako nowość, a nic w niej niema nowego prócz najmodniejszej nazwy. Rzadko też da się uchwycić w literaturze jakiś szczegół ważniejszy, pomagający do wyobrażenia sobie rzeczy. Takich kilka szczegółów daje nam Piotr Zbylitowski w swojej _Przygania wymyślnym strojom_, bo narzekając, że znalazłszy się w kole dam „żadnej Polki już nie baczył", ale same Weneczanki, Francuzki, Florentynki, poucza, jak się powinny ubierać skromnie a po swojsku, przypuszczać zaś można, że podaje wzory nie z własnej inwencyi ale z rzeczywistego obyczaju, którego się za jego czasów trzymały kobiety unikające cudzoziemczyzny i zbytku. W tych przepisach swoich Zbylitowski jest zresztą dość liberalny i wolny od surowego purytanizmu, tem bardziej więc budzi zaufanie.

Otóż według jego informacyi młoda mężatka może ubierać się w żywe kolory, chodzić „jak dzięciołek pstry", może nosić białą albo czerwoną sukienkę, ale nieco starsza chociaż zawsze jeszcze młoda ubiera się w szaty z czarnego aksamitu lub lekkiego atłasu, nosi czepeczek nadobny na głowie, na szyji kryzę, przy gorsie t. j. przy widniejącej bieliźnie, koronki czyli brzegi. Rękawiska przy sukni nie mają być „tryjé", a gdy pani jest po za domem, niech nie bierze na główkę biretu z piórami ale czepiec z tkaną perłami bramką — „bowiem ci to polski strój; ty też polska pani." Wdowa średniego wieku nie nosi jedwabiu ale wełnę, a mianowicie czamlet i muchajer, ma spodnią suknię czarnego koloru, na głowę zawicie albo czapeczkę również czarną a po wierzchu płaszcz tegoż koloru. Młoda panienka ma być przez włosa, to jest chodzić z gołą główką bez loków, opasaną wianeczkiem z róż albo fiołków, na szyji ma mieć kryzę z rąbku flamskiego, a oprócz spodniczki ma nosić „kształciczek," t. j. stanik czyli gorset, bez rękawów, a więc z ramionami tylko w rękawach koszuli — strój, który do niedawna był, a w niektórych okolicach Polski do dziś dnia jest typowym u dziewcząt wiejskich, co jest jedną z licznych wskazówek, że starożytnych motywów kostiumowych pańskich i szlacheckich doszukać się dziś jeszcze można w ludowych strojach, na co zagranicą folkloryści już dawno zwrócili uwagę. Suknie żeńskie sięgały ~~u góry~~ albo do samej szyji albo do połowy piersi, czyli jak mawiano były „pod gardło" lub „opadłe." Suknie opadłe

nie odsłaniały jednak gołego gorsu a w XVI wieku nawet szyi; tam gdzie już nie sięgała suknia, było giezło, t.j. koszulka z ile możności subtelnej śnieżno-białej tkaniny, haftowana bogato, niekiedy naszywana perłami, z złotą tkaneczką na kołnierzyku i rękawach. Na szyi nosiły damy aż do połowy XVII wieku rozmaitego kształtu kryze (Krause) i obojczyki ~~zwane~~ gorgielami (z włoskiego gorgiere). Rodzaj zawoju z lekkiej materyi, podwika, która to nazwa w potocznej i żartobliwej mowie oznaczała kobietę, przez długi czas obok czepca służyła za strój głowy w domu, przybierając najrozmaitsze formy. Z czasem podwikę zastąpił kwef, która to nazwa z początku obejmowała cały strój głowy i włosów, t.j. i nakrycie i fryzurę zarazem, następnie zaś oznaczała tylko samo okrycie jedwabne, aksamitne, koronkowe, złotem lub perełkami przetykane, w końcu zaś już pod koniec XVIII wieku wyszedłszy więcej sama nazwa aniżeli rzecz z mody i okrywszy się niejako ~~poważną~~ patyną starodawności uchodziło za określenie poważnego stroju głowy u wdów i matron. Poza domem nakrycie głowy kobiet stanowiły tak samo jak u mężczyzn czapki, birety, kołpaczki itd; tak było przeważnie do końca XVI w. — itidem ac mares tectae incedunt — powiada Kromer w swoim opisie Polski. Czapki bywały aksamitne z „wywijaniem", a wywijania te były u bogatych dam sobolowe; letnie czapki i formą i materyą różniły się od zimowych, spotykamy też w inwentarzach kobiecych osobne „czapki od słońca, kitajką podszyte."

W połowie XVII w. następuje radykalny niejako przewrót w stroju elegantek polskich. Dotąd obok oryginalnie polskich ubiorów przeważały mody włoskie i niemieckie, teraz wraz z królową Maryą Ludwiką toruje sobie do Polski drogę moda francuzka, utrwala się następnie z Maryą Kazimirą Sobieską i utrzymuje się zwycięsko przez cały wiek XVIII. Prawdziwą rewolucyą a zarazem powodem wielkiego zgorszenia i gwałtownych satyrycznych wycieczek było odsłonięcie szyi i gorsu, przyjęcie mód paryzkich z lat 1644–1650, wniesionych do Polski przez Maryę Ludwikę i jej fraucymer. Dotąd, jak już nadmieniliśmy, nawet przy wyciętych czyli t. zw. opadłych sukniach szyja i piersi kryły się pod gorgielem, pod koronkami, giezłeczkiem lub przedniczką a strojne były kanakami i pontałami, teraz nietylko szyja była obnażona i jak ubolewa jeden ze współczesnych rymopisów: „zubożała, naga, biedna, przy samych perłach pozostała", ale poczęto obnażać także gors — nowatorstwo w Polsce

przedtem niesłychane, zuchwałe, skandaliczne, które na „modnochodne” panie sprowadziły cały grad pocisków satyrycznych i moralizatorskich.

Chodzi druga jak mamka, piersi pokazuła,
Jakoby ustawicznie dziecię karmić miała.

Równocześnie wzbogaca się toaleta niewieścia czterema również sensacyjnemi w starosarmackim świecie nowościami: fryzurą à la Fontange, pudrem, muszkami i ogonem czyli t. zw. ruchem u sukni. Nowości te miały z początku mało zwolenniczek, nie wychodziły po za koła dworskie i najbardziej postrzępowych magnatek, ale z czasem stały się udziałem sfer szerokich, zstąpiły między szlachcianki, wtargnęły do dworów wiejskich i dopiero wtenczas, już ku samemu schyłkowi XVII wieku, wywołały ową gwałtowną opozycyę w literaturze satyrycznej. Najżarliwiej i z ~~tragi~~komiczną przesadą wystąpił przeciw nim rymopis Jakób Łącznowolski w swojem Nowem Zwierciadle (r. 1662), któremu też zawdzięczamy dość dokładne szczegóły o tym przewrocie w modach niewieścich. Grozi on klątwą niebios kobietom, które obnażają piersi, wzywa pioruny na wysokie kornety czyli fontanże, zapowiada siarkę i smołę gorejącego piekła elegantkom, co „na wdzięcznej twarzy sprośne muchy lepią,” i widzi w tem palec Boży, że w Klęczowie pod Krosnem podczas ~~Bożego Ciała~~ procesyi w taki kornet jakiejś szlachcianki

uderzył z nagła piorun, zausznice skruszył,
Ogień kref cały spalił a włosów nie ruszył.

Czego najbardziej żałowano i co się najbardziej nie podobało, to zarzucenia pięknego zwyczaju strojenia głowy dziewiczej wieńcem. Dotąd panienki chodziły z wieńcami, teraz tak samo jak mężatki poczęły nosić wysokie kornety i fontanże, bo moda nakazywała „kłaść, kornet, jeden, drugi, trzeci; wstęgi nawiązać, dziw, że w nich z wiatrem nie uleci.” Cechą tej nowej mody była przesadna obfitość wstęg czyli t. zw. galantów, które we Francyi tyleko z koniecznością weszły w używanie, bo w r. 1634 za inicyatywą Richelieu'go królewski edykt zabronił zbytkownych galonów srebrnych i złotych, w Polsce zaś, gdzie nie istniała żadna lex sumptuaria, świadczyły tylko o naszej manji naśladownictwa. Łącznowolski tak nam opisuje tę modę:

Wisi więcej na drugiej wstęg niż u kramarki,
Rzekłbyś, że żywe chodzą po świecie jarmarki.
Wstęga rękaw w kilkoro koło ręki zbiera,
Wstęga ~~gdzie~~ ~~złotych~~ ~~klamry~~ kiry torne perły na szyji zawiera,

Wstęga zdobi tył głowy, nie bez wstęgi ucho,
Wstęga trzyma zapięte od spódnicy rucho,
Kwiat ze wstęgi na ramionach, i chustkom wstęg trzeba,
Wstęgi trzewikom...

II

Przechodząc do dalszych objawów zamiłowania w bogactwie i świetności strojów w dawnej Polsce, zaznaczyć musimy, że większym jeszcze niż w złotogłowiach i bławatach bywał zbytek w klejnotach, złocie i drogich kamieniach, bez których nie mógł się obejść żaden uroczysty kostium czy to męzki czy niewieści. Większym był już dlatego, że tu próżność łączyła się z amatorstwem, amatorstwo znowu z pewnym praktycznym celem, złoto bowiem i klejnoty były po gotówce najbardziej ruchomym, najpłynniejszem mieniem; łatwo dały się sprzedać lub zastawić; w kraju, gdzie zawsze bywał brak monety obiegowej, a i ta, która kursowała, w znacznej części ~~była~~ licha i podejrzanej wartości kruszcowej, naczynia srebrne, przedmioty złote i jubilerskie zastępowały nieraz gotówkę. Ozdobami męzkiego kostiumu były łańcuchy, pasy, guzy, zapony i szkofia — o szabli i innej broni, która była także nieodzowną a prawie zawsze najbogatszą częścią stroju, będzie osobno mowa. Łańcuchy noszono na szyji; spływały one aż ku środkowi piersi, były z ciężkiego złota i misternej roboty, a kończyły się klejnotem z drogich kamieni, drogim medalem, czasem „twarzą królewską" lub religijnym jakimś emblematem. Zwyczaj noszenia łańcuchów złotych sięgał w odwieczne czasy a miał pierwotnie znaczenie dystynkcyi, i nie każdemu wolno było ozdabiać szyję i piersi tą dostojną odznaką. Według Kroniki Galla dostojnicy polscy nosili wielkie łańcuchy złote (<u>immensi ponderis</u>) a były one godłem rycerskiego powołania (<u>signum militare</u>). Z biegiem czasu straciły ~~straciły~~ to szanowne znaczenie i stały się artykułem toalety i zbytku; kto chciał, nosił je bezkarnie. Modrzewski ubolewa, że łańcuchy, które bywały „ozdobą tylko mężnych ludzi, teraz lada kto nosi, a nietylko już dobry, chociaż podłego stanu, ale też rufianowie, wykrętacze prawni i lifnicy. Wiele ich jest, którym się zda, jakoby nie byli poczciwymi, jeśli by się im łańcuch nie świecił na szyji, który, im kto droższy ma, albo mu się więcej razów około szyji obwinie, albo też dłużej od szyji wisi, tem się rozumie być pocześniejszym,

zacniejszym i każdego urzędu dostojniejszym." Ale już w XVII w. moda łańcuchów ustała; na portretach tego czasu spotykamy je bardzo rzadko.

Jak kosztowne były ozdoby u delji i u żupana, wiemy z przytoczonych już powyżej przykładów; inwentarz spisany po śmierci Janusza Radziwiłła wylicza całą kollekcyę takich zbytkownych pętlic i guzów; jest tam 12 par guzów z pereł i koroli, około 100 guzów wielkich rubinowych, śliwkowatych i szmelcowanych, są guzy brylantowe, szmaragdowe, turkusowe itd. Szkofia, zwana także zekierem t.j. agrafa, w której tkwiła kita u kołpaka, bywała również drogocennym klejnotem. Za piękną szkofię z odpowiednią kitą z piór rzadkich płacono w Polsce sumy olbrzymie; Starowolski powiada, że przed rokoszem Zebrzydowskiego kita takawtoskiej roboty kosztowała 600 dukatów; Jerzy Krasicki, starosta doliński, przy jakiemś zajściu w Krakowie w r. 1604 traci zapone i kitę z czaplich piór czarnych wartości 800 dukatów, wojewoda smoleński Firlej dał za swoją „półtora tysiąca" – a o wartości tej ozdoby nie zawsze stanowiła kosztowna oprawa, wpływała na cenę także egzotyczna osobliwość piór i naiwna łatwowierność kupujących, jak np. gdy chodziło o kitę z piórami bajecznego ptaka feniksa, którym takie same miały znaczenie cudowności, jak róg niemniej bajecznego jednorożca. Taką kitę z piór feniksowych spotykamy w dubieńskim inwentarzu Ostrogskich z r. 1616. Niemniej bogate bywały pasy kruszcowe, zazwyczaj z srebrnych, często z szczerozłotych ogniw złożone, drogiemi kamieniami kameryzowane, a mało co tańsze były także pasy wschodnie perskie, kaszmirskie, stambulskie, tkane złotem i jedwabiem, które w XVIII w.) (wyrugowane zostały przez lite pasy krajowej sztuki; krakowskiej, kobyleckiej; (grodzieńskiej; gdańskiej roboty, tańsze od oryginalnie perskich ale zawsze jeszcze drogie. F Skoro opowiada nam w swoich pamiętnikach Ochocki, że za pas półlity płacił 18 dukatów, za lepszy lity 70 dukatów, a za bogaty słucki dostał pięć dzielnych koni.

F (wiemy skoro) z pamiętnika Bernouillego, że lepszy pas grodzieńskiej roboty kosztował w r. 1778 trzydzieści dukatów i

Ozdobami kobiecych strojów były korony, bramki, kanaki, zausznice, noszenia, manele, pontały, feresy, pierścienie itp. a na to wszystko składały się drogie kamienie, perły, złoto i emalia. Korona była rodzajem złotego dyademu, sadzonego kamieniami najdroższej ceny, jak to wypływa z opisów inwentarzy, z których jeden przytaczamy dla przykładu: „Korona, ma w sobie kson (zaponne t. zw. kompartymentów) 13, w nich złotych szmelcowanych kaszczyków (t.j. opraw) siedm z wielkiemi rubinami; przy

każdym rubinie po cztery perły, tudzież kaszczyków pięć z rubinami mniejszemi." Wojewodzina smoleńska z Tarnowskich Firlejowa miała na swojem weselu koronę, o której sama powiada: „zacni i rozumni ludzie tę koronę na więcej niż 50.000 zł szacowali"; korona a raczej mitra wojewodziny ruskiej Wiśniowieckiej kosztować miała według taxy jubilerskiej 800.000 zł. Bramka, tkanka, łozenica, z pewnemi odmianami znaczyły jedno i to samo; były to ozdoby głowy i zazwyczaj używano do nich samych pereł; w XVII w. oprócz pereł noszono w fryzurze także kity czyli pióra, urobione z brylantów; używane też były siatki i czepce suto perłami natykane. Kanak, którego nazwa jest wschodniego pochodzenia, był po koronie najbogatszą ozdobą. Był to naszyjnik, dzisiejszy collier, który opasywał ~~nie~~ sama tylko szyję i tem się różnił od t. zw. „noszenia" i łańcucha, że nie spadał aż na piersi; iskrzyły się w nim dyamenty, rubiny, szafiry, oprawione misternie w złoto, tak samo jak w manelach, dzisiejszych braseletach, w których nadto umieszczano niekiedy sztuczki łosiego rogu, jednorożca, bezoaru, ~~sklo~~ itp. uchodzące za rodzaj talizmanów, lub też t. zw. kamienie lekarskie, za które uważano niektóre szlachetne kamienie, posiadające wrzekomo wpływ na szczęście, zdrowie lub przynajmniej humor właściciela. Każdemu prawie kamieniowi przypisywano magiczny wpływ na osobę, która go nosi: ametyst strzegł od opilstwa, karbunkuł jednał przyjaciół, chryzolit odpędzał strachy nocne, koral chronił od pioruna, perły odwracały melancholię, granat rozweselał serce, szafir bronił cnoty niewieściej i dawał dobrą cerę, o smaragdzie mówi Falimierz, że „jeśli będzie noszony przy zgwałceniu panny, tedy się złamie itd. Pontałami zwano luźne klejnoty form najrozmaitszych, niekiedy wielce artystycznych, małe arcydzieła sztuki złotniczej, w których robota miała tyleż lub więcej wartości, niż użyte do nich złoto i kamienie. Miewały one kształt orła, pelikana, feniksa, symbolicznych figurek – w spisie klejnotów Urszuli Sieniawskiej, podczaszyny koronnej, zmarłej około r. 1640, spotykamy pontały czyli zawieszenia z „osobami, w węzeł rycerski, ~~zwiesz[…]~~, z Imieniem Bożem, z figurą Charitas, a nawet z Zwiastowaniem, inne inwentarze przytaczają noszenia, pontały i klejnoty „z figurą, którą zowią ~~Wonna~~ Wiara," klejnot Herkules na lwie z dyamentów i rubinów, klejnot Nomen Jesus Mariae itp. Nie kończyło się przecież na strojenie klejnotami głowy, uszu, szyi, ~~i rąk~~ ramienia i palców kobiety; także i suknie same

bywały bogato ozdabiane feretami i perłami. Ferety były to małe sztuczki złote rozmaitego kształtu, sadzone drogiemi kamieniami, które przytwierdzano do sukni, mianowicie na piersiach (na t. zw. przedniczkach) na rękawach i kołnierzach, a które przy mnogości pereł naszywanych i przy drogości samejże materyi, zmieniały suknię niewieścią w istną kolekcyę klejnotów i kosztowności, w aparat nad wyraz bogaty, reprezentujący wartość miernej szlacheckiej fortuny. O tak wystrojonej damie polskiej mógł już bez przesady powiedzieć Wespazyan Kochowski: „że swoje folwarki, wzięła wraz z chłopy i gumny na barki."

O tym zbytku w klejnotach dałoby się przytoczyć mnóstwo przykładów. Inwentarze klejnotów z XVII wieku robią niekiedy wrażenie, jakby spisywane były na dworze jakiegoś indyjskiego Naboba. I tu można szlachta szła nietylko za własną skłonnością ale i za przykładem dworu. Nuncyusze Buongiovani i Ruggieri przekazali nam szczegóły o klejnotach Zygmunta Augusta, o tych szesnastu pudłach, pełnych klejnotów bajecznej ceny, z których jeden np. rubin po Karolu V wart był 80.000, a jedna czapka obsypana rubinami, dyamentami i smaragdami 300.000 szkudów złotych, o tych 150 centnarach pozłocistego srebra, o tej całej Golkondzie, którą Ruggieri taksuje na przeszło milion dukatów a więc może 60 milionów koron dzisiejszej monety — o królu Zygmuncie III opowiadała sobie szlachta, że na swoich godach weselnych miał na sobie strój szacowany na milion złotych. Z tym przepychem dworu szedł w zawody zbytek wielkopański i znamy wiele inwentarzy, które bogactwem swojem robią wrażenie skarbów monarszych. Fantastycznym prawie jest inwentarz klejnotów Maryi Potockiej z domu Mohilanki, których wartość już prawie do połowy poniżej pierwotnej taksy zmoderowaną oznaczył w r. 1615 trybunał lubelski na sumę równającą się sześciu milionom dzisiejszym. Były tam łańcuchy „długie i mięższe, które się po ziemi włóczyły", mnóstwo kanaków, z których każdy dochodził wartości 2000 do 3000 dukatów, niemniejsza ilość sznurów pereł do opasywania, dwie korony osypane dyamentami i rubinami, trzydzieści dużych agraf rubinowych, 100 pierścieni, z których jeden oszacowany był na 6000 dukatów, a w dodatku cała szkatuła pełna luźnych, nieoprawnych jeszcze dyamentów i innych drogich kamieni. W klejnotach Urszuli Sieniawskiej, o której spadek procesują się około r. 1640 spokrewnione z nią rodziny Danitowiczów, Sanguszków, Zebrzydowskich, Opalińskich i Ossolińskich, było 5000 dyamentów, smaragdów, szafirów i rubinów i mnóstwo pereł, które chyba by mierzyć trzeba było kwartami. Łukasz Sapieha fundując kościół i klasztor dominikański w Czarnobylu

(† 1638), daje na to z swojego rodzinnego skarbca 33 toki pereł, a mianowicie 25 ~~toki~~ sznurów łokietnych pereł uryańskich i 8 sznurów łokietnych pereł Katakuckich.

Charakterystyczny to objaw, że ze wszystkich działów artystycznych najbardziej rozwinięte było u nas złotnictwo; sztuka ta miała żyzny grunt w obyczaju i zbytku polskim. Lwowski warsztat i handel drogich kamieni Mikołaja Siedmiradzkiego († 1630) był firmą niemal europejskiej sławy i milionowego obrotu; u samego skarbu moskiewskiego miał ten jubiler pół miliona wierzytelności; współcześni Siedmiradzkiemu krakowscy złotnicy Daniel Le Double i Jan Dukiet utrzymywali składy klejnotów, objeżdżali z ~~niemi~~ swoim drogocennym towarem dwory magnackie i jarmarki, a obok krajowych negocyantów także zagraniczni kupcy z Amsterdamu, Augsburga i Norymbergi nawozili do Polski bižuterye. Jak wiemy z aktów grodzkich przemyskich na jednym jarmarku w Jarosławiu sprzedał amsterdamski kupiec Dawid de Lima za 600.000 zł klejnotów. Amatorstwo i zbytek wielkich panów naśladowała średnia i niższa szlachta według środków, a raczej grubo ponad środki. W ubogich nawet pod innym względem inwentarzach złoto i klejnoty figurują w niestosunkowej ilości; wśród bardzo skromnej spuścizny szlachcica-szaraczka ziemi przemyskiej Prokopa Tysarowskiego znajdujemy np. „łańcuch perłowy, w którym pereł dużych kóp 74, w troje robiony, z perfumami w złotych klatkach.“

Natomiast nie spotykamy odpowiedniego zbytku, co więcej nie spotykamy dość często nawet słusznego dostatku w tem, co nazywamy poufną częścią garderoby, w bieliźnie. Lubowano się wprawdzie w koronkach i czytamy ciągle o koronkach weneckich, o forbotach i bryzach[F] które ~~są~~ były także rodzajem koronek, o koszulach i giezłach z nadołkami bogato haftowanemi jedwabiem barwistym, o „wpuszczkach weselkowanych“ itp., o batystach, o drogich płótnach flamskich i koleńskich, ale dział ten garderoby często jest tylko odświętny, na zewnętrzny efekt obliczony, i nie stoi w stosunku do bogactwa futer, materyj i klejnotów, a obfitszym bywa w wyprawach i spuściznach mieszczek krakowskich i lwowskich, aniżeli w szatniach szlacheckich, tak że niekiedy budzi się podejrzenie, jakoby troskliwość o fizyczną osobę tam się kończyła, gdzie się zaczynać powinna. Jeżeli pani de Motteville, przyznając, że ponad kostiumy legacyi polskiej po Maryę Ludwikę „nic piękniejszego na świecie widzieć nie było można“, wielce się dziwi, że pod tym bogatym strojem brak bielizny,

[F] (niemieckie Prissen, Preyssen),

lub jeżeli Królowa angielska, małżonka Karola I niemniej się zdumiewała, że prezentowany jej synek polskiego posła, cały w złotogłowiu i bławatach, niema koszuli, to była w tem zapewne nieznajomość polskiego obyczaju, który w tym czasie (w latach 1636–1646) wymagał przy pełnym narodowym kostiumie gołej całkiem szyi — ale podobne, tylko mniej naiwne zdziwienie budzi się i w badaczu obyczajów przeszłości wobec tej najsłabszej strony starożytnej garderoby, tak przesadnie bogatej, tak marnotrawnie zbytkowej w innych swych działach.

Mówiąc o ubiorach w starożytnej Polsce niepodobna pominąć broni, która stanowiła nieodzowną a najdostojniejszą część kostiumu. Szabla była nieodstępną towarzyszką i kochanką szlachcica, stroił ją też i ozdabiał jak kochankę. Inną też była broń do boju, inna do stroju; za panem, który przypasał bogatą karabelę, chadzał wyrostek z drugą szablą, aby ją podał zaraz, gdyby zaszła potrzeba użyć broni na serjo. Nic dziw też, że szabla stała się przedmiotem zbytku, który atoli nie poprzestał na niej samej, ale przeniósł się także na inne przybory rycerskie: na szyszak, półzbrojek, na koncerz, sajdak i tarczę. Szlachta tak dalece lubowała się w bogatej i ozdobnej broni, że często broń traciła już cechę oręża i stawała się rzeczą fantazyi i teatralnej pompy. Król Stefan Batory przybywszy do Polski gorszył się widokiem szlachty w szyszakach i pancerzach, na których było więcej srebra i złota aniżeli żelaza — ad mascaras non vero ad rem militarem in suo ornamento habent, wyrazić się miał do Jana Hlebowicza. Był to objaw wrodzonego ówczesnym Polakom zamiłowania zewnętrznej świetności, podniecanego ustawicznie wpływem wschodu, tej ojczyzny broni fantastycznie bogatej. Nigdzie też w Europie nie spotykamy takiego zbytku w ~~ozdabianiu~~ broni jak w Polsce, a mamy tu na myśli zbytek materyalny, bo zbytek w dostojniejszem znaczeniu, zbytek artystyczny, był na tem polu wspólną cechą wszystkich narodów wysokiej kultury aż do końca XVIII wieku, we Włoszech, Francyi i w Niemczech. Ale podczas gdy w tych krajach płatnerz i miecznik zdobił broń rzeźbą, niellem, inkrustacyą i t.p. technikami prawdziwie artystycznej natury, pozostawiając żelazu i stali to dominujące znaczenie, jakie się im należy, w Polsce obok wszystkich powyższych sposobów ornamentacyi używano tyle złota, tyle drogich kamieni, że stal na zbroji, głównie w szabli stawały się rzeczą drugorzędną a sam ornament celem.

W inwentarzach magnackich i szlacheckich spotykamy

przyłbice i szyszaki z szczerego srebra, grubo pozłociste, sadzone drogiemi kamieniami; nawet pełne zbroje bywały srebrne. Abraham Herburt ma pancerze złociste, nabite drogiemi kamieniami; w inwentarzu Jana Bełżeckiego spotykamy siedm złocistych szyszaków; w inwentarzu dubińskim książąt Ostrogskich z r. 1616 „zbroje z kamieniami i różami złotemi,” „karwasze złotem oprawne z rubinami i szmaragdami;” za trumną hetmana Koniecpolskiego niesiono jego szyszak złocisty, do koła dyamentami sadzony. Takim samym przepychem odznaczały tarcze, a zwłaszcza t. zw. kałkan, bardzo ulubiony w Polsce, tarcza pleciona z figowego pręcia, owiniętego w barwisty i wzorzysty jedwab, której metalowy środek czyli t. zw. uchwał inaczej cyrkiel (rzymskie <u>umbo</u>), kuty z szczerego złota lub srebra, bywał często prawdziwym klejnotem, tyle drogich kamieni składało się na jego ozdobę. Taka tarcza była raczej kosztownym sprzętem dekoracyjnym, ozdobą kostiumu, konia lub też ściany, aniżeli ochronną bronią; wieszał ją nad łóżkiem tuż pod rysyrofem z wizerunkiem Bogarodzicy szlachcic, jechał z nią na „okazowanie,” wieszano ją pod czaprką z białemi piórami przed namiotem hetmańskim, upinano u boku konia przy wjazdach uroczystych.

Prawdziwem cackiem a zarazem reprezentacyjną ozdobą rycerską był sajdak czyli kołczan, który mimo coraz większego udoskonalenia broni palnej nie wychodził bardzo długo z używania, jak w ogóle jeszcze po sam koniec XVII w. całe chorągwie polskie, zwłaszcza t. zw. wołoskie, uzbrojone były łukami. Nawet jeszcze w ostatnich latach XVIII w. wielu ze szlachty chadzało z sajdakami, które prawie aż do ostatecznej zagłady staropolskiego obyczaju zachowały tradycyjne znaczenie rycerskiego emblematu. Sajdak bywał albo ze skóry albo z drzewa albo też z kruszcu. W pierwszym wypadku zdobił go bogaty haft z ciągnionego złota lub srebra, w drugim wypadku przybierał nazwę tubia ~~o miator-~~ ~~namentacyę najroz~~ a kryty był srebrną blachą lub aksamitem i miał ornamentacyę najrozmaitszej techniki; w trzecim na koniec kruszec bywał szlachetny, a złoto i srebro klameryzowano turkusami, almondynami a niekiedy i droższemi nad nie kamieniami, jak tego liczne przykłady spotykamy w inwentarzach i testamentach.

Do najokazalszych i najkosztowniejszych przyborów reprezentacyjno-kostiumowych należały buławy i buzdygany,

które z rzeczywistej oręży wojennej broni obuchowej (<u>masse de guerre</u>, <u>Streitkolben</u>) stały się już tylko symbolem wojskowej hierarchji, aż w końcu u nas w Polsce i to znaczenie straciły, skoro znajdowały się w kilku nawet egzemplarzach w każdym niemal znakomitszym domu szlacheckim mimo że nie było w nim nigdy ani hetmana ani regimentarza. Z inwentarzy, z portretów, z rycin, z opisów przechowanych do naszych czasów odnosi się wrażenie, że kto chciał, ten nosił te odznaki, choć się właściwie należeć były powinne tylko starszyźnie wojskowej. Gdzie jednak armia bywała improwizowana, tam oczywiście nie brakło także improwizowanych wodzów, regimentarzy, rotmistrzów. W czasie zamieszek domowych, jak np. podczas rokoszu Zebrzydowskiego, przy awanturniczych wyprawach do Moskwy i do Wołoszczyzny, przy każdej doryweczej ruchawce, czy to w niej chodziło o lokalny odpór Tatarom lub opryszkom, czy też o starościńską egzekucyę <u>mota nobilitate</u>, przy zajazdach i wojnach prywatnych, każdy czy to pan czy szlachcic, zaciągnąwszy kupę luźnego żołnierza lub zgraję sabatów, uważał się za hetmana lub regimentarza a już przynajmniej za rotmistrza, jeździł na czele swojej czeladzi z buławą lub buzdyganem w ręku, a nawet ci, którzy i takiego nie mieli pretekstu, nawet ci, którzy otrzymawszy królewski list przypowiedni na sformowanie roty nigdy jej nie przyprowadzili do obozu, kazali się malować z temi odznakami wojskowego dostojeństwa. Buława nie ulegała znaczniejszym zmianom co do formy, tylko gałka, w regule kulista, przybierała czasem kształt owalny; inne różnice polegały na spiralnych lub podłużnych strefach, to wypukłych to żłobionych i na odmiennych rodzajach ornamentyki. Za to buzdygan miał wiele form rozmaitych, najbardziej zaś z nich typowa i niejako zasadnicza była t. zw. pierzasta, która polegała na tem, że główka buzdygana składała się z sześciu lub siedmiu t. zw. piór, wpuszczonych w trzonek; inne także często używane formy nie miały piór i przypominały gruszkę, sześciościenną latarnię, beretkową główkę itp. Najrozmaitsze kontury piór, sposób zawinięcia ich brzegów, np. w półprofil orła, w esy, w obwód liścia itp. stanowiły głównie o formie buzdygana. Używana była także forma zachodnia, laskowata, bez główki lub z główką słabo akcentowaną, i tego rodzaju buławę nazywano regimentem. Najskromniejszą ale w znaczeniu artystycznem najszlachetniejszą ornamentacyę buław i buzdyganów była inkrustacya czyli t. zw. <u>tausia</u>, złota lub srebrna, jeżeli były z żelaza, zaś <u>niello</u> czyli jak tę technikę nazywano w Polsce blachmal, jeśli były srebrne lub

pozłociste. Żelazne obywały się zazwyczaj bez drogich kamieni, co najwyżej sadzone były turkusami; srebrne i pozłociste oprócz rzeźby i rytowanych ornamentów obsypywano nierzadko dyamentami, rubinami itp., niekiedy zaś i to często, jak świadczą zabytki i inwentarze, buławy i buzdygany robione były całe z półszlachetnych kamieni, z achatu, górnego kryształu, jaspisu, lapis lazuli. W regestrze zamku leskiego wojewody wołyńskiego Stadnickiego z r. 1699 spotykamy np. „buzdygan w złoto oprawny z aspisowemi piórami, z rękojeścią z kryształu przedniego kamiennego", buzdygan „w srebrze złocisty rubinami i turkusami sadzony, z piórami i nakońcami aspisowemi" itd.

Nad temi wszystkiemi kostiumowo-rycerskiemi przyborami górowała jednak szabla. Szyszak, pancerz, sajdak, buzdygan, tarcza służyły tylko na uroczystościach, przy ceremoniach i obchodach publicznych; szabla była codzienną towarzyszką, nieodstępną i niezbędną zawsze i wszędzie: w kościele, w domu, w gościnie, w podróży, na sejmiku, na targu, na weselu, pogrzebie, bankiecie. Nie dziw też, że ona przedewszystkiem stała się szczególnym przedmiotem zbytku, mody, amatorstwa. Przechodziła przez rozmaite zmiany rozmaitemi czasy, ale to nie przeszkodziło, że się wyrobił pewien stały typ polskiej szabli, ostatecznie mało co zawisły od wpływu obyczajów postronnych, tureckich, węgierskich i niemieckich, choć wpływ ten w pewnych porach bardzo był widoczny. Nawet kaprysy mody nie przeobrażały radykalnie najgłówniejszej rzeczy, poprzestawały na pewnych odmianach rękojeści, na rozmiarach, na pochwach i okuciu, ~~na~~ sposobie upięcia i ~~=~~ materyale tych łańcuchów, pasków, rapci, sznurów i pendentów, które z tą rozmaitością nazwy przybierały także rozmaitość formy, a czasem nawet i osobne znaczenie, bo np. wiemy, że na znak ~~ok~~ akcesu do konfederacyi wojskowej upinano w odrębny sposób szable na paskach. Według pewnych odmian rozróżniamy do dziś dnia szable Batorówki, Zygmuntówki, Augustówki, nazwane tak od królów, pod których panowaniem weszły w używanie. Odmiany szabli albo raczej, że tak powiemy, jej style, zależały przeważnie od krzywizny głowni i od formy jelca czyli rękojeści; ze stanowiska zaś broni siecznej a więc niejako technicznie rozróżniano trzy główne rodzaje: koncerz, pałasz i szablę. Wszystkie inne nazwy były tylko synonimami albo zaznaczały pewne odmiany nieistotne; kord i multan np. oznaczał to samo co pałasz; ordynka, serpentyna, karabela itp. były to szable odmiennej krzywizny. Koncerz, tak nazwany od tureckiego kandżara czyli hanczara, choć wcale do niego nie był podobny i przypominał formą raczej miecz ~~długi~~ bez krzyża u jelca, figurował

rował tylko na koniu, przytroczony do rzędu; cechą pałasza była głównie prosta, długa i bardziej obosieczna; szabla była zawsze krzywa, z turecka bardzo, z polska lekko krzywa i tylko w trzeciej końcowej części obosieczna. O ile była i jest bronią czysto-kostiumową, szabla polska nosi dziś nazwę prawie wyłączną karabeli, ale nazwa ta bardzo mało zwyczajna jeszcze w XVII wieku, utarła się i weszła w powszechne używanie dopiero w ciągu XVIII — rzecz o tyle dziwna, że powstała bardzo wcześnie, miała bowiem wziąć swój początek od niejakiego Karabeka, który na dwór królewski (jeszcze w r. 1496) wprowadził bardzo lekką i strojną, po dzisiejszemu mówiąc salonową szablę, małpującą oręż prawdziwy — *simiam frameae*, jak opiewa wzmianka o tem w Korespondencyi Erazma Ciołka. Tymczasem w żadnym inwentarzu, a więc w żadnem z najautentyczniejszych źródeł, a znamy ich liczbę niemałą, obfitujących w nomenklaturę broni, nie zdarzyło nam się spotkać z nazwą karabeli i bodaj czy nie pierwszy Wacław Potocki używa tego wyrazu. Na kostiumowej szabli polskiej koncentrował się wszystek zbytek, jaki się roztaczał na przyborach, o których mówiliśmy powyżej. Wszystkie techniki artystycznej ornamentacyi składały się na jej wyposażenie: inkrustacya, rzeźba, rytowanie, niello i kameryzacya drogiemi kamieniami na złocie i srebrze — nie miecznik ale złotnik i jubiler wysilał się na jej ozdobienie. Do jakiego zdumiewającego stopnia dochodził ten zbytek, tego mamy w źródłach bardzo liczne przykłady; dość z nich przytoczyć kilka bez wyboru. W dubieńskim zamku Ostrogskich była szabla otaksowana na 6000 talarów; szablę Ossolińskiego przy wjeździe do Rzymu szacowano na 20.000 zł; wojewoda smoleński Firlej płaci Gabryelowi Dobrogostowi, złotnikowi lubelskiemu, dwanaście set zł., a więc nawet przy ówcześnie bardzo niskim kursie złotego przeszło 5000 koron za samą robotę od oprawy szabli, a cóż dopiero kosztować musiał materyał, użyty przy tej robocie, skoro czytamy w jej opisaniu, że montowana w szczerem złocie, ozdobiona była nietylko emalią ale osypana rubinami i dyamentami a z rubinów niektóre miały wielkość migdała.

Jak szabla tak i czekan towarzyszył zawsze szlachcicowi. Nazwę czekana wywodzą niektórzy z węgierskiego, mylnie wszakże, bo jak sam czekan tak i jego nazwa przyszła do Polski i Węgier ze wschodu, gdzie broń ta nazywała się *dżukan*. Na zachodzie znana była pod nazwą *marteau d'armes*, *horsman hammer*, a używała jej jazda; w Polsce służyła za broń i laskę zarazem. Jakoż czekan taki, jaki noszono u nas, był i wygodną do opierania się laską i straszną bronią przy zwadzie, tak niebezpieczną, z tylu krwawych i śmiertelnych wypadków osławioną, że trzema konstytucyami, z lat 1578, 1601 i 1620, zakazano

mieć ją przy sobie na miejscach publicznych pod winą dwóch set grzywien. Czekan był laską najczęściej bardzo ozdobną, drutem srebrnym lub stalowym okręconą, której rękojeść stanowiło żelazo z jednego końca w obuch czyli młot, z przeciwnego końca w długi, ostry i szpiczasty grot czyli t. zw. nadziak ~~dziób~~ zakończony, a cios zadany jednym czy drugim końcem, jeśli ugodził w głowę albo ciało ranił albo na miejscu zabijał. Przy uroczystych wjazdach i obchodach przytraczano bogato złotem nabijane czekany pospołu z koncerzem i tarczą, przy szydach na koniach, świta wielkopańska, jeżeli miała na sobie kolczugi, trzymała je jak szablę przy ramieniu żelazem do góry. Było zwyczajem, że przy każdym uroczystym wjeździe, czy to powitalnym, koronacyjnym, pogrzebowym w Krakowie, czy to poselskim w którejś z stolic zagranicznych, za orszakiem jeźdźców prowadzono luźne, ~~konie~~ z niesłychanym przepychem ubrane konie z tarczą, koncerzem, sajdakiem i czekanem u rzędów, samo zaś rzędy, nadziewane sztuczkami i ogniwkami ze złota lub pozłocistego srebra, z pod których nie widać było rzemienia, olśniewały blaskiem drogich kamieni, a wraz z wymienioną powyżej dekoracyjną bronią, z ociekającemi złotym haftem czaprakami, czetmenami, dyndykami, kutanami — i jak się jeszcze nazywały te kapy i okrycia — z kitami piór strusich w kamerzowanych rubinami i turkusami tulejach i forgach na końskich ogłówkach, z szczerosrebrnemi łękami, strzemionami, itp. reprezentowały, każdy z osobna, całą i to pokaźną fortunę. Dość powiedzieć, że niektóre rzędy na koniach przy słynnym wjeździe Ossolińskiego do Rzymu ceniono na 10.000 dukatów, a rząd pod Rzewuskim, kiedy posłował do Danji, na milion złotych — sumy bez wątpienia grubo przesadne, ale nie mniej przeto jako cyfrowe ujęcie olśniewającego wrażenia, jakie odnosili widzowie, mniej może oddalone od prawdy, niżeliby zdawać się mogło. Na domiar jaskrawego efektu farbowano konie, nadając im maście nieznane w naturze; pani de Motteville zapisuje, że przy wjeździe legacyi polskiej, która przybyła do Paryża po Marję Ludwikę, niektóre konie pomalowane były na czerwono, a polski uczestnik tegoż poselstwa zapewnia, że dwadzieścia koni tego bajecznie wspaniałego orszaku postów podkutych było srebrnemi podkowami; koń zaś wojewody poznańskiego Opalińskiego miał podkowy szczerozłote, z których jedną umyślnie tak luźnie przytwierdzono, aby ~~ją~~ się zgubiła po drodze.

Wpływ Turcyi na broń i kostium męzki, bo żeński, jak łatwo zrozumieć, nie ulegał mu nigdy, utrzymywał się statecznie w pewnej mierze, zmniejszył się jednak bardzo znacznie za panowania ostatniego Jagiellończyka i za dynastyi Wazów, ustępujące coraz więcej pola wpływom zachodnim, i niewątpliwie nie byłoby się nam pozostało tyle wybitnych jego śladów, gdyby w ostatnich latach XVII wieku zwycięstwa Jana III nie zasypały były nagle całej prawie Polski niezmiernie bogatym łupem broni, rzędów, szat, sreber, kobierców, naczyń i sprzętów tureckich, które ozdobiły nietylko zamki wielkopańskie ale także dwory i dworki szlacheckie i nadały strojowi i urządzeniu mieszkań uderzające piętno wschodu. Była to niejako nagła oryentalizacya smaku polskiego — zwyciężona i upokorzona Turcya wywarła w przeciągu kilku lat więcej wpływu na fizyognomię obyczajową szlachty, aniżeli przez setkę lat wywierała groźna i zwycięzka. Wiktorye pod Chocimem i Wiedniem dokonały tej zewnętrznej oryentalizacyi, rzec można, z dziś na jutro. „Zdobycz nasi wzięli wielką pod Chocimem — powiada Jan Chryzostom Pasek w swoich pamiętnikach — w srebrach, rzędach i namiotach bogatych, w sepetach zaś owe specyały wyborne, co mógłby drugi sepet na sto tysięcy rachować; one szable bogate, one janczarki. Nasiało się tedy po wszystkiej Polsce rzeczy tureckich, onych haftowanych rzeczy ślicznych, koni pięknych, łubiów bogatych i inszych różnych specyałów." Kiedy król Jan III wjeżdża na koronacyę swoją do Krakowa, koń jego ma na sobie rząd Hussejna Baszy, zdobyty pod Chocimem, szczerozłoty, bajecznej ceny, sadzony dwoma tysiącami rubinów i smaragdów, i rząd ten jest niejako sygnaturą smaku polskiego z tej specyalnej pory, rozmiłowanego w grubym efekcie, biorącego bogactwo za piękno, przepych za sztukę. Jakoż gdy król później rząd ten baszyński podarował Wielkiemu Księciu Toskańskiemu, zbyto go na dworze Medyceusza, w ojczyźnie Benvenuta Celliniego, pogardliwemi prawie słowy: *cosa del barbaro lusso.*

Jan III był już ostatnim reprezentantem sarmacko-wschodniego obyczaju w ubiorze i broni; do końca swego życia miłował się w kostiumowych ozdobach oryentalnych. Trzymał na swoim dworze złotników Ormian i Greków, przepłacał hafciarzy, aby nikomu innemu tylko jemu jedynemu robili bogate sajdaki i czapraki — „*J'ai oublié de Vous mander* — pisze doń niepoślubiona mu jeszcze Marya Kazimira — *que le brodeur à qui Vous avez donné de l'argent pour ne pas broder de sajdak à personne, en a brodé un tout pareil au* Chorąży

Braclawski: "Każdy poseł do Turcyi, każdy wysłannik udający się do Krymu musiał przywieźć Sobieskiemu jakiś oryginalny okaz sztuki wschodniej." "Według rozkazania – pisze do niego rezydent przy chanie Krymskim Lichowski – łęk w srebro oprawny odsyłam, jako moda najforemniejsza tu w Krymie teraz. Rzędzika tu jeszcze nie widziałem czerkieskiego, bo tu wszystko w tureckich jeżdżą." Kiedy mu we Florencyi przysłano zamówioną tam przez niego szablę, zbył ją wprawdzie komplimentem, że jest *d'un lavoro perfettissimo*, ale zaraz dał ją do przerobienia swemu ormiańskiemu złotnikowi Bedrosowi. Nawet w swoim ustronnym Jaworowie, takim sielskim i niepokaźnym, że go komedyopisarz Regnard nazwał *le plus vilain trou* nietylko w Polsce ale na całym świecie, nawet w tej z szlachecka skromnej rezydencyi ubierał się Sobieski z wschodnim przepychem; cytowany już przez nas Abbé de P. widywał go tam zawsze w żupanie złotolitym, w sobolowym kontuszu i w czapce również sobolowej, z osypaną dyamentami szablą przy boku i z niemniej bogato drogiemi kamieniami sadzonym czekanem w ręku, a klejnotów miewał na sobie zawsze na 200.000 talarów.

Ta wspaniałość szat i klejnotów u znamienitej szlachty, ta ich obfitość nawet u mniejszej i bardzo małej, wywołuje wrażenie, jak gdyby ta przeszłość była jakimś światem purpury, złota i brylantów, nasuwa wniosek nie już wielkiego dobrobytu ale wyjątkowego bogactwa. Wniosek taki byłby jednak mylny. Nie mówiąc już o tem, że to, co się dzieliło na kilka wieków i na cały szereg pokoleń, co się niejako rozpraszało w przeszłości na ogromną przestrzeń czasu i miejsca, koncentruje się dziś w naszej wyobraźni i w tej koncentracyi wywołuje wrażenie po większej połowie czysto fantazyjne, ale i samarzecz przedstawi się nam inaczej, jeśli zważymy, że ta amatorska obfitość drogich kamieni, złota, klejnotów, nie stała w żadnym rozumnym stosunku do rzeczywistego ~~stanu~~ majątku i nie może wcale służyć za dowód wielkiego dobrobytu. W przeważnej części było to bogactwo, okupione ubóstwem, świetna fasada, poza którą daleko mniej było, niż obiecywała, poza którą niekiedy już nic więcej nie było. Widzimy z inwentarzy, które nam wyliczają wszystkie te splendory domowe, bo tak nazywano u nas szaty, sprzęty, kosztowną broń i klejnoty, że między ich świetnością i obfitością a tem, co jest realnym dostatkiem domu, co służy rzeczywistej potrzebie, wygodzie, łatwości bytu i życia, zachodziła zbyt często rażąca dysproporcya. Był to aparat świąteczny a święto

[Margin note] Wacław Potocki nazywa to „bogatą nędzą” w jednym z swych satyrycznych wierszy, opisując jak go to olśniła w rezydencyi pewnej senatorskiej „pańska apparencya, pościel złotem szyta, ściany całe w szpalerach, w axamitach stołki, sługi w koralu, srebrem okute pachołki”, „pałac czy też belweder zbyt świetno, zbyt szumno, zaś w oborze krówek kilka i mizerne gumno” a sam pan oblężony przez wierzycieli chowa się po kątach.

nad wszelką miarę żyło kosztem dnia powszedniego. Więcej to była wada czasów niż narodowego charakteru, bo na całym współczesnym świecie działo się podobnie, tylko że wśród daleko szczęśliwszych warunków społecznych i ekonomicznych i z większą szansą wyrównania kontrastów.

Nie brakło też kontrastu zbytkowi wielkiej i możnej szlachty – było nim już samo tło społeczne, w całości swojej takie szare i ubogie, że gdybyśmy mogli je widzieć dzisiaj roztoczone przed sobą, ujrzelibyśmy, jak ta świetność gubiła się w płowej masie, jak ten złoty haft nie wystarczał, aby z tła zrobić malowniczy kobierzec. Nie mówiąc już o ludzie, który nie wchodzi w zakres tego działu, dość było szarego tła w tej warstwie, która się także „bracią szlachtą" nazywała, w mnogotysięcznym tłumie tej szlachty cząstkowej, zaściankowej, „okoliczej", czynszowej, chodaczkowej, która choć jej rzeczywisty przywilej wolności a fikcyjny równości dzielił przepaścią od ludu, przecież sposobem swego życia, stopniem oświaty i ubóstwem tak była bliska chłopu, że ją w naszym opisie obyczajów szlacheckich pomijamy, pozostawiając ją ludoznawstwu. Ten drobny szlachcic, najposłuszniejszy „syn Korony", który ma dzisiaj więcej miejsca w powieści i poezyi, niżli go miał w historyi – dał mu przecież Mickiewicz homeryczną nieśmiertelność, przenosząc na Parnas polski zaścianek dobrzyński – ten brat szlachcic mieszkał tak samo w chałupie krytej słomą, nie zawsze i nie wszędzie opatrzonej kominem, i tem tylko różniącej się od chłopskiej lepianki, że nazywała się dworkiem i musiała koniecznie mieć ganeczek; nosił po szlachecku zawiesiste wąsy, ubierał się w sierminęgę i płótniankę a od wielkiego święta w kontusz z karazyi, przypasywał surowym rzemykiem szablę oprawną w gołą trzaskę, wotował na sejmikach, mógł wotować na Króla, nazywał się w aktach „szlachetnym", używał sam tytułu pana a żona jego „jejmości" – i oto cały splendor jego stanu. Klamką pańską, służbą wojskową i na Rusi duchowną karyerą, ihumeństwem lub władyctwem, dobijał się niekiedy krescytywy i nie jeden z tej ciemnej rzeszy dał początek rodzinie dziś już utytułowanej – tyle też tylko ~~powiedzieć~~ w opisie szlacheckich obyczajów powiedzieć o nim możemy. Rozsiedlony gęsto we wszystkich prawie dzielnicach Polski, mało wykazywał różnic prowincyonalnych pod względem dobrobytu, ubioru i obyczaju, ale jak wszystkim

z wielu wzmianek, najuboższy był i najwięcej dostarczył tematu do satyry na Mazowszu, gdzie jak twierdzi arcy-biskup Marescotti w r. 1670, szlachta zaściankowa „niedawno jeszcze temu nie wiedziała, co to jest złoto, srebro lub wino," a popisywała się na zjazdach i oka-zowaniach w ubiorach i uzbrojeniu, wywołujących śmiech i szyderstwo widzów. Na konwokacyi warszawskiéj w r. 1587 „panowie Mazurowie — czytamy w współ-czesnym zapisku — okazowali się dość błazeńsko, nie może być nikczemniéj: mało nie wszystko na kijach było, około dwóch tysięcy; mieli niektórzy szyszaki z łubiu świerkowego a gęsie pióra na wierzchu dla swo-jéj większej ważności."

Dom i Świat.

Mawiano, że Polska stała jednostkami. Rzec by raczej można, że stała rodziną. W społeczeństwie tak niedostatecznie obwarowanem instytucyami ładu i bezpieczeństwa publicznego, w kraju, o którym Rej, piszący w porze, ~~która~~ co w oczach wszystkich późniejszych pokoleń uchodziła za złote czasy narodowego bytu, powiada z goryczą, „że żadna banda a snać i cygańska nie jest w takiej niedbałości a snać jest w lepszem opatrzeniu niżli sławne a zacne to państwo nasze" — przeważna część tych obowiązków, które spełniać winny państwo, władze, ustawy, spadała na rodzinę. Najsurowszy nawet sędzia przeszłości przyznać musi, że rodzina polska spełniała ten wielki obowiązek, że była najsilniejszym fundamentem obywatelskim i narodowym, i w najgorszych nawet czasach być nim nie przestała. Kiedy wszystko poszło w gruzy, na niej budowało się nowe życie; przechowała w sobie wiernie wszystko, co było warunkiem i rękojmią odrodzenia.

W przeszłości, która nas tu zajmuje, spełniała misyę wyrównania, godziła sprzeczności publicznych i prywatnych interesów; była bodźcem i hamulcem zarazem: bodźcem swoją tradycyą i ambicyą, hamulcem swoją poczciwością i karnością. Można powiedzieć, że topniał w niej i miarkował się krnąbrny i porywczy temperament narodowy, poskramiał się wybujały i aż do niesforności niezawisły indywidualizm szlacheckiego charakteru. Etyczna siła rodziny długo była jedynym ratunkiem spraw publicznych; rodzina była też najwyższą a może nawet jedyną rozstrzygającą instancyą opinji w społeczeństwie, którego klątwą była bezkarność i pobłażliwość publiczna. Bardziej niż na wyroku trybunalskim, bardziej niż na sejmikach i na sejmie, na zjazdach i na wyborach gruntowało się zdanie o ludziach na opinji rodzinnej — nawet banita i infamis długo mógł wyzywać bezbronne

społeczeństwo i żartować z wyroków publicznych, ale próg poczciwego domu wytykał kres jego zuchwalstwu a związek z szanowną rodziną stawał się dlań niemożliwym. Człowiek wątpliwego charakteru łatwiej mógł odgrywać rolę w publicznem życiu aniżeli znaleźć poczesne miejsce u czyjegoś rodzinnego ogniska, łatwiej mu było zostać urzędnikiem powiatowym, posłem lub deputatem na trybunał, aniżeli spowinowacić się z zacną rodziną, otrzymać rękę córki dobrego domu, ożenić w nim syna.

Wpływ i znaczenie rodziny były tem potężniejsze, im szerzej pojmowano jej granice, a nigdzie nie pojmowano ich tak szeroko jak w Polsce. Świadomość łączności rodzinnej sięgała w najdalsze filiacye; rodzina stawała się wielką rzeszą, a wymowny to symbol jej moralnego obszaru, że już sama wspólność herbu stworzyła w języku szlacheckim nazwę z znaczeniem powinowactwa, bo nazwę „stryjców herbownych." Znano i śledzono u nas najdalsze powinowactwa i pokrewieństwa, przyznawano się do ~~najdalszych~~ najodleglejszych koligacyj i filiacyj i uznawano je skrzętnie nawzajem; w kraju, w którym nigdy nie było heroldyi, jaka istniała np. w Anglji i Francyi, wiadoma była przecież dobrze historya rodów, a mimo skłonności do bajecznych wywodów prozapji, którym w gruncie rzeczy nikt nie wierzył – nawet ci, dla których splendoru je zmyślano, mimo całej śmieszności tak niegodnej w samej ~~w~~ sobie, bo jakby z pogardy rodowicie polskiego pochodzenia wypływającej manji wywodzenia się od cudzoziemskich, często nawet klasycznych rzymskich protoplastów, w końcu mimo wstrętnie pochlebczych panegiryków – mimo ~~to~~ wszystko i wszystko szlachta umiała trzeźwo i trafnie ocenić i starożytność i dostojność każdej familji. Nigdzie może tyle co w Polsce nie było wrodzonych genealogów, którzy z pamięci umieli wyliczyć wszystkie parentele i koligacye

szlacheckich domów, sięgające w daleką przeszłość i w dalekie stopnie, nigdzie też może nie starczyło tak mało do tytułu krewieństwa i powinowactwa. „Krewny, jak żerdź po płocie, jak woda po kisielu, jak ścieżka po gumnie" — żartowano sobie z tych wywodów, które dochodząc do przesady, przybierały często cechy komiczne, ale wypływały zawsze z szanownego i szerokiego pojęcia łączności rodzinnej: „Jego baba i moja, były to dwie babie — kochały się jednakie mające w herbie Grabie" — powiada Wacław Potocki o takim sąsiedzie-genealogu.

Przykrzy mi się, słuchając srogich jego plotek,
Regestru sióstr i braci, wujów, stryjów, ciotek,
Kogo który wziął z domu, która była za kim,
Prawie Księgi Rodzaju długim zodyakiem.

Gdyby jedyną i rozstrzygającą cechą obyczajowej kultury było stanowisko kobiety, to szlacheckiej Polsce należałby się może z tego tytułu prym między narodami. Stanowisko żony i matki było w całem znaczeniu tego słowa dostojne; wpływ kobiety wielki, często nawet przemożny. Żona „klejnot drogi," żona „miły i wdzięczny a tobie równy towarzysz," żona „ozdoba mężowi," żona „głowy korona" — wszystkie te nazwy, spotykane ustawicznie u naszych starych poetów i pisarzy, począwszy od Reja i Kochanowskiego a skończywszy na najpóźniejszych, to nie były czcze tylko słowa, jak tyle innych w naszej nie zawsze szczerej literaturze, to była cała prawda; stwierdzają to wszystkie inne, najmniej podejrzane źródła obyczajowe przeszłości: akta sądowe, intercyzy, testamenty, listy poufne, nie mówiąc już o pamiętnikach. Jest to rys naprawdę charakterystyczny, że żonie dawano zwyczajnie nazwę „przyjaciela." Nietylko szlachta ale i wielcy panowie, którzy łatwiej i wcześniej odbiegali od staropolskiego słownika i obyczaju, przyjacielem mianują żonę. Janusz Radziwiłł, prosząc króla Władysława IV o pomoc do ręki panny Potockiej, zaklina go, aby nie odmówił, bo tu „nie o urząd, nie o wakancyę idzie, ale

o wiecznego przyjaciela." Jerzy Ossoliński starając się o Daniłowiczównę, według słów własnych „szuka przyjaciela jako najdroższy skarb i największe po łasce Boga błogosławieństwo." Franciszek Sapieha, koniuszy w. litewski, w testamencie swoim z r. 1683 żegna „najmilszego po Panu Bogu przyjaciela, małżonkę Annę z Lubomirskich," †| Pod tą nazwą przyjaciela kryje się wyraz emancypacyi kobiety w najpiękniejszem znaczeniu tego słowa. Widząc w żonie przyjaciela dawano jej niejako niezawisłość od znikomych warunków upodobania, od młodości i piękności; wymagano od niej nietylko sentymentu ale i męstwa, nietylko serca ale rozumu i czynu.

I rzeczywiście mulier fortis nie była rzadkością w ~~Polsce~~ ojczyźnie V Chrzanowskiej; kobiety często dorównywały mężczyznom energją czynu i męstwem, a w regule przewyższały ich ambicyą. Frycz Modrzewski ubolewa nad tem, że „niewiasty polskie zwykły się hardziej niż przystoi, przeciwko mężom zachować". Nie szukając innego przykładu, cóż to za wspaniała w swoim rodzaju postać dziewczyny polskiej, ta w cichym Samborze wychowana wojewodzanka sandomierska, późniejsza caryca Maryna, która z przedziwną energją i nieprzekonaną niczem siłą ambicyi stawi czoło najgroźniejszym przygodom swego awanturniczego losu, która ubrana w zbroję husarską wpada do koła rozwichrzonego polskiego żołnierstwa i postawą i mową „siła towarzystwa buntuje na swoją stronę", która uciekającym z wałów obleżonego przez Moskwę Dymitrowa zabiega drogę wołając: „Co czynicie, źli ludzie! Jam białogłowa, a serca nie tracę!" — a strośnie uśmiechniemu Sapieże, kiedy ją chce zatrzymać w drodze do Kaługi, rzuca wyzywające słowa: „Mam półczwarta sta Dońców! Gdyby mi do tego przyszło, dam ci bitwę."

Wpływ kobiet polskich przekraczał często granice świata domowego, w którym królowały, sięgał w życie publiczne i jego najważniejsze nawet sprawy. Obok licznych innych oznak tego najwymowniejsze może wskazówki w raportach posłów

V Anny

† Ks. Albrecht Radziwiłł zyskując się mimowoli ręki wojewodzanki sandomierskiej na rzecz swego synowca, powiada, że odstępuje mu „od Boga naznaczonego przyjaciela."

i agentów cudzoziemskich, którzy obliczając szanse swojej missyi i akcyi, biorą w rachubę także opinie i sympatye dam polskich, małżonek dostojników koronnych. W czasie np. bezkrólewia po Królu Michale agenci w kombinacyach swoich przedelekcyjnych rozważają pilnie, za którym kandydatem oświadczą się kobiety. Prawie tyleż a niekiedy może i więcej chodzi im o to, aby docieć, za kim? za Kondeuszem czy za Neuburczykiem, za Piastem czy za Księciem Lotaryńskim będzie pani wojewodzina sandomierska Czartoryska, pani kanclerzyna litewska Pacowa, pani wojewodzina lubelska Rejowa, pani podskarbina kor. Morsztynowa, pani wojewodzina krakowska Lubomirska, pani podkomorzyna kor. Denhofowa, pani stolnikowa Wielopolska, aniżeli o to, jakie stanowisko wobec kandydatów zajmują dam tych małżonkowie. Nie inaczej bywało i później; w czasie czteroletniego sejmu wpływały na bieg rzeczy publicznych w znacznej mierze i damy polskie — dość przytoczyć ks. marszałkowę Lubomirską, ks. generałowę Czartoryską, hetmanową Ogińską, kasztelanowę Kossakowską, ~~i t.d.~~ ~~ks~~ siostrę hetmana ks. Sapieżynę i t. d. W pamfletach ówczesnych spotykamy ustawicznie skargi na polityczny wpływ kobiet; w jednej z tych ulotnych broszurek autor posuwa się tak dalece, że całą Konfederacyę barską nazywa „kłótnią kobiecą." Niemcewicz mówi o „Kwokach", otaczających Króla, a Kitowicz gorszy się niepomału, że „kobiety po całych sessyach przesiadują na ganku w izbie sejmowej, dają znaki posłom i senatorom, przymileniem ust lub marszczeniem czoła, co im się podoba a co nie podoba."

W życiu codziennem i praktycznem, w sprawach administracyi fortun, w akcyach procesowych a nawet w zajazdach i wojnach domowych kobiety odgrywają często rolę energicznych i śmiałych ~~innych to~~ adwersarek lub aliantek. Tak zwana Herod-Baba, to nierzadkie zjawisko w Polsce. Dwie Annesie, Opalińska i Stadnicka, są nieu-

straszonemi, namiętnemi aliantkami swoich mężów w tej zawziętej i krwawej wojnie prywatnej, która się toczyła przez trzy lata w ziemi przemyskiej, od roku 1607 do 1610. Zofia Zamiechowska, po ostatnim trzecim mężu wojewodzina trocka Tyszkiewiczowa, nad podziw bystra, śmiała, energiczna, obrotna, przez 25 lat stacza wojny z Potockimi, Radziwiłłami, Wolskimi, Buczackimi, Czuryłami, jest sama sobie finansistą, jurystą, ekonomem i komendantem, wytrzymuje walecznie oblężenia swych zamków w Podhajcach i Buczaczu, odpiera zbrojne zajazdy i starościńskie egzekucye, zaczepia i broni się „prawem i lewem", trybunałem i arsenałem, dekretem i muszkietem; wychodzi z najgorszych opałów obronną ręką i kończy żywot swój burzliwy z chrześciańską podniosłością duszy, jako czcigodna matrona, hojna fundatorka szkół, kościołów i szpitalów, dobrodziejka krewnych, sług i przyjaciół — a przez ten cały czas tak głucho o jej trzech małżonkach, jak gdyby nigdy nie istnieli na świecie. Któż nie zapamiętał sobie z opowieści Paska tej pani podwojewodziny Sutkowskiej, która przyjeżdżającego w gościnę do jej męża króla Jana Kazimierza wita gradem inwektyw, na klęczkach zanosząc modlitwę do Boga, aby „tego króla," „wydziercę, szarpacza, krwi niewinnej rozlewcę, pioruny strzaskały, żeby go ziemia żywego pożarła, żeby go pierwsza kula nie minęła itd." „Mąż jej gębę zatyka, a ona tem bardziej mastykuje." Mniej zapewne gwałtowną ale nie mniej rezolutną była inna szlachcianka, Kuniecka, która naprocesowawszy się z wojewodą sieradzkim Feliksem Potockim o dwóch chłopów przez lat 25 i uzyskawszy na nim nareszcie dekret i banicyę a nie mogąc wymódz na przemożnym magnacie poddania się prawomocnemu wyrokowi, w r. 1672 jedzie do Warszawy w czasie sejmu, wpada do izby podczas obrad senatu, i kiedy Potocki głos zabiera, przerywa mu śmiało i zadaje *inactivitatem*, t. j. odmawia mu jako banicie prawa do funkcyi senatorskiej. Książę podkanclerzy litewski Radziwiłł grozi jej wyprowadzeniem z sali, „bo

teraz radzimy o obronie ojczyzny," ale nieustraszona szlachcianka chwyta się obiema rękami za szranki i zwraca się do Króla mową „nieporównanie jako wyprawną, rzetelną, krzykliwą", jak się wyraża naoczny świadek tej sceny, wołając: „Co mi ~~d~~ po takiej obronie ojczyzny, kiedy wielki pan stanie za ordę tatarską! Nie takeś Wasza Królewska Mość nam ubogim sierotom czynienie sprawiedliwości świętej przysięgał!" Słowem, szlachcianka zahamowała całą czynność senatu, musiano na dwie godziny zawiesić obrady i skończyło się na tem, że wojewoda z „wielką swoją konfuzyą" musiał wypłacić Kunickiej na poczekaniu dwa tysiące zł. w gotówce, bo kiedy nie mające przy sobie całej sumy, dawał jej oblig, nie chciała go przyjąć, mówiąc, że ~~za~~ „za grosz w Warszawie całego arkusza papieru dostanie."

Tak częste w Polsce porywania czyli tak zwane „rapty" panien mają swe źródło bardziej może w energii samych panien aniżeli w zuchwalstwie mężczyzn; najgłośniejsze z nich udają się tylko determinacyą i śmiałością „porywanej" kochanki, jak np. sławny swego czasu rapt starościanki halickiej Krzysi Strusiówny przez Adama Kalinowskiego; ucieczka wojewodzianki Mniszchówny, siostry carycy Maryny ~~Mniszchówny~~ z Hermolausem Jordanem, wyłamanie się z klasztoru przemyskiego chorążanki wyszogrodzkiej Szczawińskiej itp., bo we wszystkich tych raptach panny nietylko nie są ofiarami zuchwalstwa ani nawet biernemi figurami, ale przeciwnie, odgrywają bardzo czynną rolę, dają dowody wielkiej odwagi i po ich to stronie najczęściej i hazard i fortuna powodzenia. Przytoczyliśmy tylko ~~z~~ kilka bardziej oryginalnych a mniej znanych rysów i przykładów; źródła rękopiśmienne XVII wieku a zwłaszcza akta grodzkie i ziemskie rozmaitych dzielnic polskich mogłyby ich dostarczyć w obfitości.

Z tego, co przytoczyliśmy, wypływałoby, że jak w tylu sprawach domowych i pozadomowych, tak samo i w życiu towarzyskim, a więc na polu, na którem wiek XVIII i w Polsce także przyznał im berło panowania, kobiety zajmowały dominujące stanowisko. Zdaje się przecież, że wniosek taki byłby mylny. Mamy wprawdzie tylko skąpe

wiadomości o życiu towarzyskiem w wiekach
minionych, ale to, co wiemy, wystarcza, aby
odnieść uzasadnione wrażenie, że towarzyska
rola kobiety nie pozostawała w odpowiednim
stosunku do jej zalet i przymiotów, okazywanych
w praktycznem i domowem życiu. Było kilka
powodów tego objawu: najpierw surowe aż
do przesady pojmowanie skromności i wstydli-
wości niewieściej, wynikający stąd i już wychowa-
niem podyktowany brak towarzyskich stosun-
ków z płcią męzką w pierwszej młodości, ╤ a w
końcu i braki samegoż wychowania, które nie
dawało kobiecie dostatecznej oświaty a już zu-
pełnie zaniedbywały kultywowania tych stron
umysłu i fantazyi, które są duszą konwersacyi
i wykwintniejszego pożycia z ludźmi. Kobieta pol-
ska wieków przeszłych miała dużo wrodzonej
inteligencyi ale bardzo mało umysłowego wy-
kształcenia. Spotykamy liczne przykłady, że
szlachcianki z znaczniejszych nawet domów
podpisać się nie umiały; zdradzają nam tę nie-
miłą tajemnicę akta sądowe. W domach wiel-
kopańskich niewątpliwie musiało być ina-
czej, ale w średnim świecie szlacheckim ko-
bieta z wykształceniem odpowiednim swemu
stanowisku i fortunie, należała do wyjątków.
Kiedy się trafił szlachcic — a bywał to zazwyczaj
człowiek znający po trosze kraje cudzoziemskie —
który pragnął zapewnić wyższą edukacyę córce,
jak np. podkomorzy derpski Łahodowski
(+ 1653), to kończyło się na tem, żeby do dwu-
nastego roku „dobrze czytała i pięknie pisała ~~pisać umiała~~,
umiała także grać na instrumencie," t. j. klawi-
cymbale i na lutni, ponieważ dziecię dowcipu
bystrego, a skoro przejdzie rok dwunasty, od-
dać ją na dwór Królowej Jejmości." Ale każdo-
czesna Królowa miała ograniczony zawsze fraue-
cymer, na dworach wielkopańskich także dla
niewielu panienek było miejsce — a więc ta jedy-
na akademia dobrego tonu i towarzyskiej o-
głady tylko za wyjątkową protekcyą była
przystępna.

╤ a co za tem także iść zwykło, brak ~~nawet~~ ~~tej~~ dozwolonej nawet i niewinnej zalotności — la coquetterie n'y est point en usage, mówi Laboureur (o Polkach) —

Bez czynnego udziału kobiety nie masz prawdziwej ogłady obyczajów i nie masz konwersacyi, tej duszy towarzyskiego życia. Przed drugą połową XVIII wieku nie można też mówić o salonie. Próby wykazania tej strony kulturalnego życia w Polsce XVI i XVII wieku, podejmywane przez niektórych naszych autorów z wielką niekiedy erudycyą ale zawsze z małym skutkiem, opierają się tylko na literackich szczegółach z wzajemnych osobistych relacyj kilku humanistów polskich, na oderwanych od realnego życia ustępach z utworów poetów i pisarzy współczesnych, i mają więcej znaczenia dobrowolnej illuzyi aniżeli obrazu obyczajów. Nawet za wpływem Francuzek na polskim tronie nie powstało nic, coby przypominało choćby z daleka wyższą towarzyskość włoską lub salon francuzki; z Maryą Ludwiką, która przecież sama była zwolenniczką słynnego hotelu Rambouillet a nawet uchodziła swego czasu za *precieuse* w Paryżu, nie zmieniły się w duchu francuzkiego salonu nawet obyczaje towarzyskie dworu, na którym, jak to wiemy z dokładnych zapisków Albrechta Radziwiłła, najzwyczajniejszą rozrywką towarzyską była tak zwana *Wirthschaft*, zabawa niemiecka, która jeszcze do połowy XVIII wieku grasowała na tuzinkowych dworach Rzeszy.

Górnickiego *Dworzanin* w swojej części prawdziwie polskiej, to jest o ile wprowadza w grę rzeczywiste polskie ~~postacie~~ osobistości z anegdotycznej strony, jest wielce szanownym dokumentem obyczajowym, ale ostatecznie bądź co bądź w całości swojej wiąże się tylko mechanicznie z rodzimem życiem współczesnem i bardziej je może charakteryzuje tem, co opuszcza z swego włoskiego oryginału aniżeli tem, co ~~z~~ sobie z niego przyswaja. Wyklucza kobietę i sztukę. Kobiety wyklucza, „bo ani nasze Polki są tak uczone jako Włoszki, ani drugich rzeczy, które ówdzie są, cierpieć by ich uszy nie

mogły;" wyklucza sztukę, bo „dysputacya, która ars jest misterniejsza" zda mu się zbyteczna, albowiem jej u nas nie znają, a „Polakom, którzy delicatum palatum niedawno mieć poczęli," malowanie „nie szłoby w smak;" wyklucza komedyę i tragedyę, „bo u nas tego sposobu około maszkar nie czyniwają"; wyklucza też niejedno z subtelniejszej dyalektyki konwersacyjnej jako rzecz, „która w polszczyznę żadną miarą wnijść nie mogła." Jako ważny objaw i dowód wyżej rozwiniętej towarzyskości polskiej próbowano także przedstawić bardziej sławną aniżeli zasłużoną Rzeczpospolitę Babińską. Upatrywać w niej „pierwszą w Polsce affirmacyę indywidualizmu," uważać ją za jedną „z najciekawszych kreacyj ducha ziemiańskiego," za „salon obywatelski, najstarszy i najznaczniejszy w dawnej Polsce" itd., jak to czyni wydawca jej aktów, wydaje się nam grubą przesadą albo raczej ową patryotyczną autosugestyą, jakiej mimowolnie ulegają niektórzy badacze nasi, co zakochani w dostojnych formach kultury zagranicznej a osobliwie włoskiej, ~~XVI wieku~~, z tęsknotą szukają jej w przeszłości własnego kraju i znaleźć koniecznie pragną. Przeboleć też nie mogą, że Dante żadnego Polaka nie osadził w piekle i że żaden Polak nie korespondował z Piotrem Aretynem.

Rzeczpospolita Babińska ma swoje „przedhistoryczne" ~~że tak powiemy~~ czasy, a to aż po rok 1580, w którym umarł jej założyciel Stanisław Pszonka; mówimy „przedhistoryczne," bo oprócz skąpych wzmianek Sarnickiego i Achacego Kmity mało bardzo wiemy o Babinie, ale to, co wiemy, pozwala się domyślać bardzo wiele na korzyść jego, pozwala się domyślać tem więcej, że połączono z Babinem takie znakomite imiona jak Reja, Kochanowskiego, Sępa Szarzyńskiego, Paprockiego a nawet Jana Zamoyskiego. Ale od r. 1603 aż do roku 1677 mamy już przed sobą

akta Babińskiej Rzeczypospolitej, a to akta obni-
żają jej znaczenie towarzyskie i humorystyczne do
bardzo skromnej, nawet ubogiej miary. Założona
prawdopodobnie na wzór którejś z tych już w
XVI wieku bardzo gęstych parodystycznych aka-
demij i kompanij włoskich, zawiązywanych prze-
ważnie przez artystów, szkolarzy i ich wesołych towa-
rzyszów, jak np. Compagnia del Pajuolo, Com-
pagnia della Cazzuola itp., łatwo być może,
że miała w pierwszych latach swego istnienia
wyższy pierwiastek towarzyski i satyryczny, od-
kąd ją jednak lepiej znamy, była tylko aka-
demią łgarstwa, o czem świadczy i jej dewiza:
Omnis homo mendax. Nie przestawano w ak-
tach babińskich na rozdawaniu urzędów przy-
łapanym na gorącym uczynku łgarzom, co
kłamali lub przesadzali z naiwną albo też bez-
czelną pretensyą do wiary słuchaczy, ale dawano
tytuły jako premię za kłamstwo bez zamiaru
okłamania, za humor i fantazyę w sztuce kła-
mania, kierując się niejako zdaniem Górnickiego
że „zasię gruby kłam, rymownie złożony, ten
też, jeśli co, człowieka rozśmieszy.” Ale w tych 413
zapiskach, które nam przechowały akta babiń-
skie, bardzo mało jest humoru i fantazyi – kła-
mano po za Babinem lepiej i oryginalniej. To,
co stanowi główną wartość takich konceptów, t. j.
zamiar satyryczny, krytyka ignorancyi i przesą-
du w masie marchołtowej, wielką jest rzadkością
w aktach babińskich, a bujnością imaginacyi
wcale nie górują one nad tem, co nam zostało po
takich późniejszych oryginałach i mistrzach pseudo-
logii, jak baron Münchhausen lub nasz Ra-
dziwiłł Panie Kochanku.

Polacy mają przyrodzony talent towarzys-
ki; już w XVI wieku porównywano ich z tego
powodu do Francuzów. „Ma drugi w sobie bez-
pieczeństwo jakieś szczere a otworzyste, nie pa-
trzące bardzo na ceremonie – mówi Górnicki – i
powiadają tak, którzy bywali we Francyi, iżeśmy
my Polacy Francuzom w tem, albo oni nam, bardzo

podobni." ‡ Co Górnicki nazywa szczerem a otworzystem bezpieczeństwem, wolnem od ceremonji, to nic innego jak swoboda, naturalność i prostota, unikająca pozy i afektacyi, a to są właśnie główne warunki towarzyskiego pożycia, a przedewszystkiem tego, co dziś nazywamy Konwersacyą. Aby się ten talent rozwinął w pełni, trzeba było tylko szerszej wielostronności życia, którą daje dojrzała cywilizacya, i większej wrażliwości umysłu, którą daje ćwiczona inteligencya. Mniej się słyszało, mniej się widziało, mniej się odczuwało i mniej rozumiało w starym świecie polskim. Nie było też Konwersacyi w dzisiejszem znaczeniu tego słowa; była tylko gawęda i pogadanka, a na wyższy stopień tych dwóch form, że tak powiemy: kominowych, Górnicki nie ma jej nazwy ani swojskiej ani obcej i używa określenia: „gry rozmowne." Nie znają też ani on ani jego spółcześni dowcipu w naszem utartem znaczeniu; dowcip oznacza u nich bystrość umysłu, inteligencyę, a na oznaczenie tego, co my nazywamy dowcipem, służy im słowo: „trefność." Przytyk, docinek, nazywa się w słowniku Górnickiego „sznupkę", słowo „żart" oznacza mistyfikacyę, na którą ma jednak także niezgrabną nazwę: „Kunsztownej posługi." Człowiek obdarzony towarzyskiemi zaletami, to człek „biesiadny", towarzysz światły i wesoły to „czysty, gładki pachołek." Słowa grzeczność w XVI i XVII wieku nie używano w naszem znaczeniu dzisiejszem; grzeczność znaczyła tyle co rozsądek, takt, celowość słowa i czynu, zachowanie się k'rzeczy, do rzeczy — cały zaś kodeks grzeczności dzisiejszej obejmowano nazwą „ludzkość", o czem w dalszym ciągu będzie jeszcze mowa. Górnicki w przytoczonej uwadze o Polakach i Francuzach używa słowa „bezpieczeństwo" w dobrem znaczeniu swobody, zazwyczaj jednak tylko człowiek zbyt pewny siebie, nieostrożnie śmiały w słowie, obcesowo poufały, pozwalający sobie więcej niż przystało, był człowiekiem „bezpiecznym" — my dzisiaj nazwalibyśmy go właśnie niebezpiecznym. Wykwintne maniery, delikatność towarzyska, wystrzeganie się prostackich nałogów, obejmowano

‡ Spostrzeżenie to zrobił także Francuz Beauplan, sprowadzony do Polski w roku 1632; i on znajdował wiele podobieństwa między Francuzami i Polakami, których towarzyska łatwość i swoboda, un naturel franc et gai, ujmowały go sympatycznie na każdym kroku.

wyrazem „polityka". Kto obrażał swojem zachowaniem się dobre towarzystwo, był człowiekiem „niepolitycznym."

W tem króciutkiem zestawieniu mamy terminologię a do pewnego stopnia także najogólniejszą charakterystykę ówczesnej konwersacyi. Daremnie szukamy uzupełnień i szczegółów w współczesnej Górnickiemu i całej późniejszej literaturze. Obiecuje ona na pozór dużo, daje mało – przedewszystkiem zaś trzeba ją brać bardzo ostrożnie i nie łatwo uwierzyć, aby to, co jest dowcipem i humorem w takich humanistycznych bezeceństwach Krzyckiego, ~~w fraszkach~~ w takim Ogrodzie Fraszek Wacława Potockiego, osnutych przeważnie na temat najbrudniejszych naturaliów, budzących tyle fizycznego wstrętu, że przy ich czytaniu chciałoby się zamknąć oczy i zatkać nos i uszy; w takich wierszykach „dobrym towarzyszom k'woli", w apoftegmatach, epigramach, figlikach, facecyach Kochanowskich, Kochowskich, ~~Potockich~~ i tylu innych, było jedyną solą wesołej konwersacyi szlacheckiej. Literatura zawsze zuchwalszą bywa od konwersacyi; słowo mówione daleko jest wstydliwsze od drukowanego. Mimo całej rubaszności, jaka cechowała „dobre myśli" staroszlacheckie, mimo grubego jeszcze obyczaju, jaki się przebijał na weselach, ochotach, zjazdach tłumniejszych, trzeba przecież wierzyć w te „wdzięczne rozmowy i one poczciwe żarty, że więc, jak ono powiadają, i gęba się dobrze nie skrzywi od śmiechu," o których wiemy od Reja; trzeba wierzyć, że nie tak rzadką bywała owa sztuka rozmowy, która według Górnickiego polegała na tem, aby „uczciwie i z wdzięcznością podług czasu i miejsca zabawić każdego i wiedzieć, co z kim mówić."

Z wszystkiego jednak, co nam mówi obyczaj staropolski, badany na podstawie rozmaitego rodzaju źródeł, wynika, że w pożyciu towarzyskiem, w rozmowach i pogadankach, przeważał głównie moment narracyjny, że opowieść a nie konwersacya bawiła grona przyjacielskie i skracała wieczory przy kominie, bo też w ogóle dużo jest epiki w dawnem życiu szlacheckiem. Ci Polacy, których Górnicki w swim <u>Dworzaninie</u> przytacza imiennie jako wzór talentów towarzyskich, to przedewszystkiem ludzie, co dobrze

opowiadać umieją. Hetmana Tarnowskiego, z „słodkiej jego powieści każdemu miło słuchać było;“ Gabryel Grabowiecki doskonale „poka-zywał cudze obyczaje,“ umiał naśladować zabawne figury, np. Niemca, mówiącego po polsku, sztuka, która tak samo jak talent opowieści polega na dobrej obserwacyi; Bojanowski „powieści prawdziwych, trefnych tak wiele w Polsce nasiał, iż tego niemała księga być by mogła,“ a do najmilszych towarzyszy zalicza Górnicki ludzi, „którym to bardzo przystoi, że umieją to, co widzieli albo słyszeli albo się im samym przydało kiedy, tak foremnie to przełożyć, że z ich słów zda się tym, co słuchają, jakoby sami na to teraz patrzyli.“ Gdybyśmy i bez-pośrednich nie mieli wskazówek, wystarczyłyby inne pośrednie, aby stwierdzić, że talent nar-racyjny przewyższał inne zalety towarzyskie w ojczyźnie niezrównanego Paska i to nietylko w jego czasach. Pamiętnikarskie urywki, dy-aryusze, listy, jakich się nam dużo zachowało i w rękopisie i w druku, świadczą o tem niejedno-krotnie, jakkolwiek zawsze więcej budzą cieka-wości i podnieconych przez nią domysłów, ani-żeli dać mogą wyraźnych szczegółów. I nie może być inaczej, skoro nie mamy w literaturze XVI i XVII wieku dwóch najważniejszych do poznania konwersacyi źródeł: komedyi i powieści, osnutych na tle współczesnego własnego życia. Wszelkie zaś inne źródła mają się tak do rzeczy, jak scenaryusz do komedyi lub libretto do opery, któ-re nie dają wyobrażenia o dyalogu i muzyce. Takich librettów, że już pozostaniemy przy tem porównaniu, nie brak nam w listach prywatnych i w literaturze pamiętnikowej, ale zamiast pełnej towarzyskiej sceny dają nam one tylko temat, na który, i okazyę, przy której się rozegrała. W memory-ałach Albrechta Radziwiłła, w autobiografii Je-rzego Ossolińskiego itp. spotykamy nie jeden taki scenaryusz z towarzyskiego staropolskiego życia, a warto przytoczyć tu osobno jako próbki dwa

wyborne listy, jeden hetmana Chodkiewicza, pisany do żony z opowieścią zjechania się z królem Zygmuntem III w r. 1611 pod Tołoczynem na Litwie, niezrównany i pełen barwy obrazek temperamentów i obyczajów polskich; drugi Janusza Radziwiłła z r. 1637, pisany do ojca z żywą i dramatyczną opowieścią jego zabiegów o rękę panny Katarzyny Potockiej i zabawnej intrygi jego stryja Albrechta, który przyrzekłszy synowcowi pomoc w pozyskaniu panny, sam się o nią oświadcza, a przed zdumionym i oburzonym tem się składa, „żem ja szczerze tę sprawę promowował, ale dzisiejszej nocy Najświętsza Panna kazała mnie samemu tę pannę pojąć." Z licznych innych przykładów ten właśnie godny przytoczenia, bo list ten księcia Janusza (ogłoszony w jego biografji przez Kotłubaja) nietylko jest dowodem talentu opowiadania ale zarazem bardzo charakterystycznym obrazkiem życia dworskiego i magnackiego tych czasów.

Ale mówić o salonie polskim w XVI i XVII wieku, tak jak np. mówi o nim cytowany już wydawca aktów Rzeczypospolitej Babińskiej, który w niej widzi „salon obywatelski z takiem samem dla nas znaczeniem jak salony towarzyskie z czasów odrodzenia we Włoszech — mówić o salonie polskim w tej porze nie można. Dopiero na schyłku XVIII wieku mamy salon, ale jest to salon w <u>Polsce</u> a nie salon polski. Życie salonowe z czasów Stanisława Augusta nie wiąże się z życiem współczesnem polskiem, nie ma też znamion prawidłowej ewolucyi towarzyskiej. Bez przeszłości i bez jutra, „końcem bez początku", zupełnie oderwane od narodowego obyczaju, ujęte w najciaśniejsze granice, bo obejmujące tylko najwyższą warstwę a i tę tylko częściowo, a rozgrywające się na ciasnej widowni, bo tylko w stolicy, jest ono sztucznym kwiatem z wonią paryzkiej perfumy. Schyłkowa imitacya schyłkowego świata, tego <u>ancien régime</u> Francyi, który już stał pod szafotem, <u>rococo</u> warszawskie, bo o polskiem mówić się

nie da, jest samobójczą rezygnacyą z polskości. Życie warszawskie tego czasu, znane aż do przesytu z pamiętników, opisów i powieści, nie stworzyło salonu polskiego, przeciwnie: zabiło go w zawiązku, zrobiło go niemożliwym na długie czasy, bo wyparło z niego język ~~polski~~ ojczysty. Był to pożyczany szych ogłady i kultury, maska redutowa, pod którą zginęło obyczajowe oblicze polskie, i śmiało powtórzyć można za Krasickim, że był to zbytkowny polor

co się tylko czczym pozorem chlubił,
Okrasił nas powierzchnie, a w istocie zgubił.

Mówiąc o towarzyskich stosunkach w dawnej Polsce nie można pominąć reguł grzeczności. Miała ona swoje całkiem rodzime formułki, swój styl na wskroś odrębny, i rzec można, że ze wszystkich stron obyczajowych ta głównie wyrobiła się oryginalnie, z szczerego smaku polskiego, i nie wzięła nic albo bardzo mało z cudzoziemskiego obyczaju. Tłumaczy się to naturalną i ciągle żywą relacyą, jaka zachodziła między kodeksem grzeczności a tym właśnie społecznym porządkiem rzeczy, przy którym szlachta najkonserwatywniej trwała, w którym nie znała mody i nie cierpiała nowatorstwa. Republikański ustrój państwa, wprawdzie z królem i dworem, ale ten król, <u>primus inter pares</u>, bez władzy absolutnej, a ten dwór jego bez czołobitnej etykiety, do udzielności niemal posunięta niezawisłość jednostki, i co za nią poszło: szeroko rozwinięty indywidualizm, idealna równość z tytułu urodzenia a rzeczywista wobec prawa, zupełnie odmienna natura hierarchji urzędowej i społecznej — wszystko to wpływało na formy towarzyskie i grzecznościowe. Już to samo, że grzeczność nie była dyktowana obcą ~~dy~~ impozycyą, poczuciem osobistej i prawnej niższości lub innemi zniewalającemi względami, jakich tyle było za granicą, już to samo sprawiało, że nie potrzebowała się liczyć z tak wielkiemi dystansami osób i stanowisk, jak np. w Niemczech, i zachować mogła łatwiej cechę szczerego obyczaju, dobrego wychowania i wrodzonej uprzejmości serca.

Było też tak istotnie wśród najlepszej części szlacheckiego świata, tylko że ta najlepsza część nie była niestety najliczniejsza. Z biegiem czasu, a zwłaszcza w ciągu XVII wieku wielka szlachta przybiera uroszczenia dynastów, mniejsza przywyka do serwilizmu; z drugiej zaś strony anarchiczne stosunki wytwarzają pewne zdziczenie obyczajów, wśród których obłudna pokora idzie w parze z grubem zuchwalstwem. Mimo to wszystko nie ginie przecież dobra tradycya grzeczności polskiego stylu. Uderza ona oczu cudzoziemców podróżujących po Polsce, którzy oddają szczere pochwały jej powadze i godności, i podnoszą jej całkiem odrębną „sarmacką gracyę." Formułki tej grzeczności odtworzyć sobie można po części przynajmniej z pamiętników, z przewodników oracyj i listów, ale giest i ruch, jaki towarzyszył polskiej „polityce", bo jak już wiemy. tak nazywano maniery grzeczności, cała ta malownicza mimika „czystego, gładkiego pachołka", która przedewszystkiem w całej swojej harmonji i okrągłości rozwijała się w tańcu polskim, w „chwytanem kole," w „gonionym," zginęła nam bezpowrotnie. Jeszcze w ostatnich latach XVIII wieku uderzał cudzoziemców malowniczy i poważny ukłon polski: Niektórym wprawdzie, jak np. Schulzowi wydawał się on zbyt niski i czołobitny, ale spostrzeżenie to polega na nieznajomości obyczaju, który nakazywał młodzieży najgłębszą cześć dla rodziców i dla sędziwości wieku. Syn zginał przed matką jedno kolano, córka oboje – „w którym dzieje się sposobie, że na jedno kolano syn, córka na obie" – mówi o tem Kochowski Ukłon polski rzeczywiście był niski a towarzyszył mu giest prawej ręki, niejako markujący pochylenie się ku kolanom, ale w kodeksie dobrego wychowania była to tylko figura grzeczności, dalekiej od tego, co dziś nazywamy serwilizmem. To samo da się powiedzieć o formułkach powitania, używanych między szlachtą, jak np. „Czołem!" albo „Służba!" Bywały wszakże i takie

osobliwe formuły i giesty uszanowania, zwłaszcza u dworzan wielkopańskich, które i nas bliższych obyczajom własnej przeszłości, tak-samo by dziś zapewne zdziwiły, jak zdziwiły Vanozzego, który opowiada, że gdy wychodził od Jana Zamoyskiego, znaczna liczba dworzan kanclerskich tworzyła szpaler po obu stronach i wszyscy mu się kłaniali „od gęby. całując się w rękę.” „I ja też — powiada Włoch w swoim dyaryszu — wzajemnie kłaniałem się im od gęby, całując się w rękę.”

Nie dość było posiadać polor umysłowy, trzeba było posiadać także koniecznie maniery polskiej grzeczności, inaczej było się, jak mawiano, „po łacinie mądrym, a po polsku błaznem.” Czuli to nawet wielcy panowie i to nawet jeszcze w połowie XVII wieku; młodzi Sobiescy dla europejskiego poloru wyjeżdżają zagranicę, ale jak się mają zachować z starszymi i znaczniejszymi, jak się mają kłaniać i tańcować, tego się uczą w Krakowie. Ojciec ich, wojewoda bełzki Jakób, szczególną do tego przywiązuje wagę, aby „po polsku byli grzecznymi.” Mają się strzedz pychy, ale trzeba także, aby miejsce swoje wiedzieli i „posiadać się nie dawali nigdzie.” W gospodzie swojej niech każdemu, czy to panięciu czy szlachcicowi, który ich nawiedzać będzie, „prawą rękę i pierwsze miejsce dadzą, przeciwko każdemu aż do drzwi niechaj wychodzą i każdego więc aż do drzwi niechaj wyprowadzą.” Nie dać się „posiadać” znaczyło nie dać się traktować z góry i z lekceważeniem w towarzyskich stosunkach, nie uchybiać nikomu ale nie dać też uchybić sobie. Strzedz poczucia własnej osobistej godności, strzedz swego „uczciwego,” było kardynalnym obowiązkiem. Nie znano jeszcze albo raczej nie używano jeszcze słowa „honor” w dzisiejszem naszem znaczeniu — to co dziś obejmujemy tem słowem, mieściło się w „uczciwem”, a było to uczucie bardzo tkliwe, i pięknie się o tem wyraża jeden z magnatów polskich z połowy XVII wieku, podnosząc z naciskiem,

„jako pieszczona rzecz jest uczciwe." Szlachta polska, a zwłaszcza jej wyższa i dostojniejsza warstwa, przywiązywała zawsze wielką wagę do swoich tradycyjnych form grzeczności i gorszyła się bardzo ich brakiem zagranicą. Jerzy Ossoliński w dyaryuszu swojej podróży do Ratysbony z r. 1636 powiada, że w Czechach tylko hrabiego Wierbna, tylko jego „samego jednego między wszystkimi Czechami znalazł człowieka ludzkiego", to znaczy, że między wszystką szlachtą czeską, z którą się zetknął w czasie swojej podróży, ten jeden tylko odpowiadał polskim wy~~mniemaniom~~ obrażeniom o towarzyskiej grzeczności i łatwości. Ten sam Ossoliński zapisuje w dzienniku swoim z satysfakcyą, że w Ratysbonie „z podziwieniem dworu tutecznego grube et inhospitales animos Niemców coraz do lepszej przywiódł ludzkości." Wszystkie bowiem zalety towarzyskie: uprzejmość, wesołość, nieusuwanie się od ochoty sąsiedzkiej i przyjacielskiej, a przedewszystkiem gościnność obejmowano w dawnej Polsce słowem „ludzkość". Jak to wszakże często bywa, że jedno i to samo słowo, które oznaczało pierwotnie cnotę, służy za nazwę i wadzie, jakby dla uwydatnienia pewnej wspólności źródła jednej i drugiej — „ludzkość" służy później za nazwę hulaszczości i wybrykom życia. Szlachcic Suchorabski, postać z drugiej połowy XVII wieku, umierając przedwcześnie narzeka, że „przyszedł na ten kres śmiertelnej choroby z wielu prac i kłopotów a po części z nieszczęsnej ludzkości polskiej, z niepomiernego życia swego." Krasicki jeszcze używa słowa ludzkość jako synonimu grzeczności i gościnności.

Poczucie równości szlacheckiej, jak już nadmieniliśmy, wpływało w znacznej mierze na ~~formy~~ obyczaj towarzyski i na formuły grzeczności. Równość ta, bezwzględnie pojmowana była fikcyą; wierzyli w nią tylko bardzo dobroduszni i naiwni, a ci co nie całkiem może szczerze, uznawali ją wielcy panowie platonicznie i z ironią. Ale i fikcye wywierać zwykły wpływ znaczny, zwłaszcza w dziedzinie

konwenansów, a na nich to opiera się kodeks towarzyski. Nikt przecież i nigdy nie śmiał negować otwarcie tej zasady równości, a bywali i magnaci, którzy szczerze i bardzo poważnie wyznawali ją w granicach rozumnych i możliwych, jak np. kasztelan wojnicki Firlej w swoim znanym liście do syna, przebywającego na naukach w Ingolstadzie. Stanisław Orzechowski widzi w niej jak w gwiazdach na niebie dwie proporcye: arytmetyczną i geometryczną. Wszystkie gwiazdy są sobie równe i to jest proportio arithmetica, ale jest w gwiazdach także wielka nierówność, bo jedna od drugiej jest jaśniejsza a przecież „nie kazi gwiazdy drugiej natury," i to jest proportio geometrica. Zbywszy tak subtelnie drażliwość pospolitego szlachcica i odesławszy go do Arystotelesa, uznaje tylko jedną rzeczywistą równość, t. j. wobec prawa, „bo jestem każdemu człowiekowi w Polsce równy wolnością, prawem, herbem, królem i gardłem, bo także za gardło moje sto i dwadzieścia grzywien jako i Tarnowskiego każdego." Chociaż tedy nie mogło być mowy o równości towarzyskiej, której nigdzie nie było i nie masz nawet w najbardziej demokratycznych społeczeństwach, to przecież ta fikcyjna równość przebijała zawsze w formułkach grzeczności, istniała przynajmniej w słowie, w symbolu. Takim symbolem był np. tytuł brata, który się należał każdemu szlachcicowi. Szlachcic był zawsze „panem bratem" w tytulaturze listowej, „przyjacielem" pisać się godziło tylko w korespondencyi z nieszlachcicem, np. z mieszczaninem, kupcem. Magnaci to byli wyjątkowi, i to głównie litewscy, którzy w pismach do szlachty pozwalali sobie pośledniejszego tytułu przyjaciela. Znany z bezmiernej pychy i megalomanji książę Bogusław Radziwiłł, koniuszy w. lit., nie wiedząc, kto będzie (r. 1658) wybrany marszałkiem sejmu, a mając z tym przyszłym marszałkiem jakąś sprawę do załatwienia, przesyła na ręce swego agenta dwa listy: jeden z braterskim, drugi z przyjacielskim tytułem. „Jeżeli stanie marszałkiem urzędnik koronny albo z domem moim skrewniony lub przyjaźń mający — opiewa informacya — tedy oddajcie mu ten, co z tytułem braterskim." Gdyby jednak Radziwiłł

trafił był na takiego rezolutnego szlachcica jak np. Jan Chryzostom Pasek, pewnie dostałby był taką samą odprawę, jaka spotkała marszałka Żeromskiego, któremu p. Pasek odpisuje, że list, w którym go mianuje nie bratem ale przyjacielem, pisał pewnie jakiś manualista, który może być, że przedtem służył komuś za szypra i pieńkę, klepkę i wańczos do Rygi woził i zamyślił się o tem przy ekspedycyi listu tego, rozumiejąc, że do kupca pisze." †

Ta pretensya do braterskiej równości a tem samem do udziału w wszelkiej władzy, dostojności i świetności Rzpltej doskonale się maluje w tytulaturach polskich i ich historyi. Skoro król był tylko *primus inter pares*, skoro państwo było rzeczą wspólną, pospolitą, a cała szlachta rodzoną bracią, tedy każdemu z niej zachciewało się cząstki z tego wszystkiego, nawet z majestatu, i każdy też miał cząstkę bodaj w tytule. Bardzo ciekawa rzecz śledzić, jak tytuły i formuły polskie biorą swój początek od majestatu a dogasają gdzieś nizko pod słomianą strzechą szlachecką, jak formalnie złażą na dół po szczeblach społecznej drabiny, schodzą od tronu do zagonu, od szczytu do samego dna, przeciekając niejako, że się tak wyrazimy, powoli przez wszystkie warstwy szlacheckiego społeczeństwa aż do najspodniejszej i tam wreszcie osiadają parodyą. Pierwotnie król tylko „*raczył* być zdrowym", następnie „raczył" żyć już także senator, wkrótce raczył każdy szlachcic, a dziś my wszyscy raczymy i tak ten nieśmiertelny Raczył, przeciw któremu jeszcze Górnicki wystąpił w satyrycznej broszurze, stał się pospolitym liczmanem grzeczności. Wielmożność jako tytuł jeszcze w XV w. miała poniekąd majestatyczne znaczenie, w XVI wieku już zmalała ale zawsze należała się tylko senatorom, t. j. kasztelanom i wojewodom, szlachcic na urzędzie był „urodzonym", szlachcic bez urzędu tylko „szlachetnym"; w XVII wieku wielmożnym już jest co drugi, urodzonym każdy posesyonat, szlachetnym tylko na pół schłopiały szlachcic zagonowy. „Wasza Miłość" i „Jego Miłość" była tytułem królewskim, „Wasza Miłość Pan" była szczytowym wyrazem dostojności — z biegiem czasu zmarniały, sponiewierały się i zdeformowały te tytuły: z Waszej Miłości

† Żali się poeta Wacław Potocki, że wczoraj jeszcze pisał do kogoś: „mój łaskawy panie" a dziś już „mości bracie," bo ten ktoś nagle z plebejusza został szlachcicem.

stała się Waszmość, Wasze i Waszeć, Wasza Miłość Pan zeszedł na Waszmość Pana, Waćpana, a w końcu na pogardliwego Aspana, który się dostawał chudopachołkowi tak samo jak zdarte buty pańskie. W wieku XVIII już nikt, kto się szanuje, nie chce być tylko urodzonym i tylko wielmożnym; każdy podsędek już chce być jaśnie wielmożnym. W takiej formie i w takiej jakości dostawała się ogółowi cząstka majestatu Rpltej; zlatywał promyczek korony na czapkę szlachecką. Podobnej też wartości dostawał się wszystkiej szlachcie udział w dygnitarstwach, bo nie mówiąc już o wojewodach i kasztelanach *in partibus infidelium*, z ziemiach, które już od wieków przestały należeć do Polski, były urzędy czysto tytularne powiatowe, urzędy bez powagi, bez władzy, bez płacy i bez obowiązku, któremi hojnie obdzielano szlachtę. Takimi urzędnikami byli stolnik, podczaszy, podstoli, cześnik, łowczy, miecznik i skarbnik — tytuły bardzo łatwe do uproszenia, łatwiejsze jeszcze do kupienia, które w ostatnich latach Rpltej tak spadły w cenie, że niemi już p. starosta piaseczyński i kamerdyner królewski Ryx nie raczył handlować, poprzestając na trafice orderów. „Ileż to przywiozłem z Warszawy przywilejów dla kolegów moich do Lublina — chwali się Duklan Ochocki w znanych swoich pamiętnikach — na starostwa, podkomorstwa, chorąstwa, cześnikowstwa, skarbnikowstwa, tanio kosztujące, bo po 15 i 20 dukatów, ale zato czysto-tytularne tylko." Niegrzecznie było nazywać szlachcica po gołem nazwisku, jeśli miał urząd; trzeba było koniecznie nazywać go po urzędzie i zaprawdę podziwienia godną musiała być pamięć szlachcica statysty i bywalca, który mógł po urzędzie i terytorym nazwać każdego z tych stukilkudziesięciu wojewodów i kasztelanów mniejszych i większych starej i nowej kreacyi, a cóż dopiero starostów!

— II

Kwiatem ale i walną próbą cnót towarzyskich a już głównie cierpliwości była gościnność, ta historyczna gościnność staroszlachecka, rozsławiona po całym świecie

przez cudzoziemców, którzy w jakiejkolwiek porze podróżowali po Polsce — rozkosz ale i klątwa szlachcica, bo jak z jednej strony była przyjemnością wiejskiego życia, tak znowu z drugiej źródłem niepokoju, utraty, awantury. „Zabić kto wymyślił być gospodarzem w domu, lepiej zawsze gościem!" — woła Opaliński w swich satyrach. Nie bez racji mawiano, że szlachcic polski jakby na karymie siedział i nie bez racji też powstało przysłowie: Gość nie w porę, gorszy od Tatarzyna. Przy ciągłym ruchu szlachty, która lubiła wybierać się w najdalsze strony kraju, podróżować rzemiennym dyszlem — zauważał to w r. 1565 towarzysz kardynała Commendoniego, Ruggieri, że szlachta w ustawicznych przejażdżkach do przyjaciół, do krewnych, o 100 mil czasem odległości — przy fatalnych drogach i mostach, przy rzadkości miast, przy braku gospód po drodze, gość nie w porę, gość nieproszony i nieoczekiwany a co więcej, całkiem nieznany — a więc niekiedy zaprawdę gorszy od Tatarzyna — bywał bardzo częsty i trzeba go było podejmować z całą nieraz bardzo liczną karawaną służby i koni. Znaną była w całej Polsce anegdota o szlachcicu Sobieskim, którego nawiedził znaczny gość z bardzo licznym orszakiem a z wyjazdem się nie kwapił, aż nareście utrapiony szlachcic czwartego dnia rano wstawszy, kazawszy sobie „skórnie przynieść", idzie do owego pana, żegnać go. Pan pyta, dokądby jechał, zwłaszcza gościa mając w domu. Szlachcic na to: „Miłościwy Panie, ponieważ odemnie z tą hordą nie chcecie jechać, pojadę ja od was!" Pożądane natomiast i zawsze wdzięcznie witane bywało grono sąsiadów, przyjaciół i krewnych, a wtedy rozbrzmiewają gościnne ściany wesołym gwarem, dworek rzęsiście oświetlony jaśnieje wśród nocy jak latarnia, a w kuchni wre i kipi:

Bo kuchtów rota koła ognia burzy,
Zkąd się dym jakby z Etny kurzy,

Ognio kominem widać, jakby bez mała
Ludna tam Troja gorzała.

Bawiono się tem samem choć nie tak samo jak i dzisiaj: rozmowa, taniec, muzyka, gra i bankiet składały się na program towarzyski. O konwersacyi była już mowa, o tańcach nie posiadamy tyle szczegółów, aby mieć o nich dostatecznie malownicze wyobrażenie. Jak przy ubiorach mamy tylko gołe nazwy bez informacyi o rzeczy. „Tam trefne pląsy z ukłony, tam cenar, tam i goniony" — czytamy u Kochanowskiego. O tymże „gonionym" i o „chwytanem kole" wspomina Wacław Potocki; o galardzie dowiadujemy się od Opalińskiego, o „wyrwanym" i „wielkim" od Paska, a Miaskowski rymuje:

W tym to po parze panienki uszedłszy się ukłonią,
I wiodą rej, ująwszy jedna drugą dłonią,
Aż wywabią wesołe z za stołu młodzieńce,
A ci z niemi tańcują ochędogo w wieńce.

Miaskowski ma tu zapewne ten sam taniec na myśli, który opisuje nam Laboureur, historyograf podróży poślubionej Władysławowi IV Maryi Ludwiki.✝ „Tańcowali w okrąg ~~pisze Francuz~~ zwykle dwie kobiety były razem, potem dwaj mężczyźni i tak ~~ciągiem~~ dalej. Pierwsza część polegała na pokłonach (de reverences), potem ~~na~~ kroczeniu do miary i taktu muzyki (une cadence bien reglée). Czasem dwie damy, które były na czele, nagle i z nienacka środkiem spieszniej się wracały, niby chcąc wymknąć się dwom kawalerom postępującym za niemi." Jest to jedna z figur do dzisiaj używanych w polonesie, tańcu par excellence polskim, który nabył prawa obywatelstwa w całej Europie, a którym zachwycał się jeszcze w ostatnich latach XVIII wieku Liwończyk Schultz, przyznając, że wdziękowi i powadze tego tańca żaden inny europejski taniec nie dorówna, tak jak żaden cudzoziemiec nie zdoła przyswoić sobie tej gracyi, jaką rozwijają w nim Polacy. Pod koniec

✝ „Je n'ai vu jamais rien de plus grave, de plus doux, ni de plus respectueux", powiada o nim ten Francuz i tak go opisuje:

XVIII wieku tańczono już polonesa w salonach niemieckich, ale autor bezimienny, piszący około r. 1758, sam Niemiec, powiada, że polones tańczony przez Niemców tak się ma do polonesa tańczonego przez Polaków, jak zająkliwa sylabizacya żaczka do skończonej deklamacyi artysty. Najstarszą oryginalną nutą polonesa, według poświadczonej przez Niemcewicza tradycyi, miała być śpiewana do dziś dnia kolenda „W żłobie leży." Według tej nuty, na miarę polskiego tańca ułożonej, lubił podobno tańcować król Władysław IV. Skocznych i wirowych tańców nie lubiono a może i nie znano po domach szlacheckich; informator włoski nuncyusza Marescotti, który bawił w Polsce w r. 1668, powiada, że taniec polski jest raczej rytmicznym, posuwistem kroczeniem do taktu muzyki aniżeli na prawdę tańcem (più dirsi più tosto passeggio che ballo) i podaje o nim szczegóły, po których poznajemy nasz polones.

Po za tym polskim rodowitym tańcem i poza gonionym, o których (po za „chwytanem kole") przecież nie wiemy nic bliższego, i po za tańcami ludowemi, z których tylko bardzo mało i bardzo późno przedostało się do warstw wyższych, nie spotykamy w Polsce XVI i XVII wieku tańców oryginalnie narodowych. Wspomniane wyżej cenar (niemiecki Zeuner) i galarda (francuska gaillarde) są obcego pochodzenia, a jak wcześnie — bo już w średniowieczu — przyswajano sobie w Polsce cudzoziemskie tańce, tego zachowało się świadectwo w języku, tem najstarożytniejszem źródle obyczajowej historyi — że tu przytoczymy owe „reje" (staroniemieckie Reie, Reige) i „firleje" (francuskie virlet, niemieckie virlei), z których pierwsze żyje dotąd w wyrażeniu: „wodzić rej", drugie w tak mylnie przez długi czas rozumianem a nawet do królowej Bony i do rodziny Firlejów odnoszonem przysłowiu: „stroi baba firleje."

Tańce zagraniczne, nieskromne i bardzo skoczne długo przecież nie licowały z powagą staroszlachecką; kasztelan gnieźnieński Sielski obruszył się i zgorszył bardzo w Paryżu widokiem tańczącego w podskokach księcia Kondeusza, nie pojmując, jak książę i dostojnik „lekkiemi ruchami wystawiać się może na pośmiewisko." Wykluczone było również z tańców polskich wszelkie poufniejsze zbliżenie się tancerza do tanecznicy, tak zwyczajne zagranicą; w liście Zofji Laskiej czytamy o Polkach, które towarzyszyły królowej Katarzynie po jej wyjeździe z Polski, że w Linzu „tem się cesarzowej najwięcej podobały, iż kiedy w taniec szły, nie dały się obłapiać ani całować; i Niemcom się to podobało, mówili, iż to cnotliwa nacya polska."

Z innych szlachetniejszych źródeł towarzyskiej ochoty najczęściej spotykamy muzykę. Nie mówiąc już o wielkopańskich zamkach, w których, jak wiemy, utrzymywano liczne orkiestry, w każdym niemal zamożnym domu szlacheckim było po kilku grajków, skrzypków, śpiewaków; w dostatniejszych inwentarzach

ruchomości znajdujemy regały, lutnie, klawikordy i inne instrumenta; ubogi szlachetka gościł przyjaciół przy dudach. „Lutnia, wódz tańców i pieśni uczonych, lutnia osłoda myśli utrapionych," jak ją opiewa Kochanowski, była w XVI i XVII wieku najbardziej ulubionym instrumentem domowym; umieć grać na lutni było jednym z nieodzownych warunków nadobnego wychowania kobiety, ale i w program męzkiej edukacyi wchodziła często muzyka: „Kawalkata, lutnia i skoczek" zajmywały wiele czasu bawiącemu w Paryżu Jerzemu Ossolińskiemu. Słynęły niektóre panie polskie z mistrzowskiej gry na lutni, jak np. Jadwiga Tarłówna, późniejsza wojewodzina ruska Sieniawska, o której śpiewa Sęp Szarzyński:

I zdumiewa się Helikon uczony,
Gdy lilijaną ręką bijesz w strony.

Z gier były w używaniu obok szachów, warcab, młynka, głównie kości i karty; grywano w turmę, tryszaka, pasza, rusza, prymiera, trynka, pancerolę, flusa, gryszforta a w znacznie późniejszych czasach w niewinnego drejbarta (Drosselbart), maryasza, w chapankę lub kupca, za którym tak żałuje Pan Podstoli Krasickiego, ale też i w niebezpiecznie hazardownego kwindecza, w trysetę (tresette) i faraona. Nie obywało się w Polsce bez nałogu kosterstwa, nie spotykamy przecież w literaturze XVI i XVII wieku, nawet satyrycznej, tyle utyskiwania na gry hazardowne co na inne zbytki i szaleństwa. Nie spotykamy śladów, aby już w tym czasie rujnowano się hazardem; dopiero od Francuzów dworu Królowej Maryi Kazimiry nauczono się grać u nas w trente et quarante, ale kiedy w tej grze książę Karol Stanisław Radziwiłł wygrał na pokojach królewskich 14.000 talarów bitych od brata królowej, hr. de Maligny, był to wypadek tak niesłychany, że cała szlachecka Polska bawiła się nim i gorszyła. Jeszcze za czasów saskich inny

Radziwiłł, Michał, przegrawszy w Dreźnie 1000 talarów w faraona, tak się tem zmartwił i przeraził, że przysiągł uroczyście, iż się kart nigdy nie dotknie w życiu. Także mało znaczyłaby ta suma w szulerskim obrocie XVIII wieku, jeżeli prawda, że Szczęsny Potocki przegrać miał do ostawionego Chadźkiewicza dwa miliony złotych! Namiętność szulerska owładnęła też pewne sfery towarzyskie dopiero z końcem XVIII wieku, a miała swe ogniska nie po wiejskich dworach, ale po wielkich miastach, głównie w stolicy, grasując na prowincyi tylko w czasach kontraktów Kijowskich, lwowskich, dubieńskich itd., i wtedy to dopiero wyrobiły się owe typy szulerskie, jak kanonik Sierakowski, jak biskup wileński Massalski, jak Kajetan Mięczyński, generał Adam Poniński, Chadzkiewicz itd., których całą galeryę dał nam na podstawie bardzo jeszcze świeżych tradycyj Henryk Rzewuski w swoim _Teofraście Polskim_.

Nadzwyczajne zdarzenia lub uroczyste okazye w życiu rodzinnem, czy to wesołe czy żałobne, obchód św. patrona gospodarza, chrzciny, wesela i pogrzeby połączone bywały z bardzo licznemi zjazdami. Jeżeli to były dnie radosne, urządzano t. z. dobre myśli, festyny, tryumfy i bankiety. Wesela trwały tygodniami a były jednym szeregiem ceremonij i hucznych owacyj. Od dziewosłębów i zrękowin począwszy aż do uroczystego aktu ślubnego i następujących po nim poprawin i przenosin, wszystko odbywało się z odpowiednią stanowi i fortunie pompą i prozopopeją przy zachowaniu tradycyjnego obyczaju. Przy wychylaniu „pełnych," t. j. dzisiejszych naszych toastów, przy oddawaniu wieńca, panny, marcypanów i upominków ślubnych, między któremi jedno z pierwszych miejsc zajmował dwoisty roztruchanik, t. zw. „kubek w kubek," wygłaszano mowy, pełne panegiryczno-oratorskiego kunsztu, w których obok całego Olimpu zazwyczaj symbolika herbów obu łączących się rodzin dostarczała tematu do komplementów, porównań, wróżb i życzeń — owe znane nam z odpisów

w szlacheckich *Silvae Rerum* oracye makaroni-
czne, floresowane, często mimowolnej komiki pełne,
które składały się na osobny rodzaj barokowej
swady polskiej, a do których w każdym powiecie by-
wał specyalista, mistrz *quamquamu*, bo tak żar-
tobliwie zwano te popisy, zaczynające się prawie w
regule od słów: jakożkolwiek, acz kolwiek czyli od
łacińskiego *quamquam*. Wielkopańskie wesela
odbywały się z niesłychanym przepychem a pannę
młodą zasypywano upominkami wysokiej ceny.
Opowiada nam w swoim pamiętniku Albrecht
Radziwiłł, że na weselu Teresy Ossolińskiej, cór-
ki Jerzego, która poślubiła starostę sokalskiego
Denhofa, panna młoda otrzymała 150 darów,
które razem miały wartość 150.000 zł., sumy na
one czasy olbrzymiej, równej dzisiaj milionowi. Woje-
wodzanka mińska Słuszczanka wychodząc za Ka-
zanowskiego, otrzymała wśród niezliczonych upomin-
ków weselnych także od Króla kubek szczerozłoty, w
którym znajdowała się asygnata na 20.000 du-
katów. Gody weselne łączone bywały z t. zw. tryum-
fami na wzór włoski, z teatralnemi widowiskami,
z pochodami maskowanych orszaków i symbolicz-
nemi rydwanami, które wyobrażać miały allegorye
wszystkich możliwych cnót chrześciańskich i wszy-
stkich bóstw pogańskich począwszy od Wenery i Ku-
pidyna a skończywszy na Fortunie z patronowym
ziemskiego szczęścia. Magnaci szli przy takich uro-
czystościach o lepsze z Królami; tryumf weselny
Jana Zamoyskiego (i Gryzeldy Batorówny) na rynku Krakowskim świet-
niejszy był może od weselnych festynów Zygmunta
III na tejże samej widowni; na weselu Konstancyi
Lubomirskiej z Stanisławem Potockim (r. 1661)
miało być w Łańcucie 1500 gości, którym 600
hajduków służyło przy bankietach; pamiętnym
pozostał na długo przedziwnie okazały festyn
weselny trzeciego ordynata Zamoyskiego i Maryi
Kazimiery d'Arquien, późniejszej Sobieskiej. Nie
ustawał ten zbytek aż do końca XVIII wieku; dość
tu przypomnieć prawdziwie bajeczny przepych,
z jakim przyjmował Książę Karol Radziwiłł
Króla Stanisława Augusta w Nieświeżu,

lub ów głośny w całej Polsce festyn, jaki wyprawił w r. 1782 wojewoda wołyński ks. Sanguszko w dzień imienin swojej matki, festyn czterodniowy, połączony z olbrzymim zjazdem senatorów i szlachty, nieprzerwany szereg balów, bankietów, baletów, widowisk teatralnych, redut, szlichtad, illuminacyj a nawet walk byków z niedźwiedziami.

Niemniej wspaniałe i pełne kosztownej pompy bywały pogrzeby. Każdy szlachcic uważał to sobie za obowiązek pietyzmu, składać do grobu drogą mu osobę z najokazalszą wystawą, najczęściej po nad stan i możność. Magnackie pogrzeby, których religijne i obyczajowe ceremonie przewlekały się przez kilka dni, przybierały cechę fantastycznego niemal widowiska. Katafalk czyli *castrum doloris* było wielką bogatą strukturą, ustrojoną w rzeźbione, malowane i złocone akcessorya, w allegorye, posągi, godła, emblemata, tarcze herbowne, dewizy i sentencye, opiewające cnoty i zasługi zmarłego i tryumf śmierci zarazem. Trumny kruszcowe bywały zazwyczaj misternie ornamentowane, dla służby, milicyi nadwornej i dla żałobnego orszaku sprawiano osobne kostiumy, konie wiedzione za trumną zmarłego strojono w kity, pióra żórawie, skóry lamparcie, oblekano w kapy złotogłowowe, teletowe, tabinowe, które musiały być tak suto i długie, aby *lugubri* ~~modo~~ *more* włokły się po ziemi. Tak było na pamiętnym pogrzebie hetm. w. Stanisława Koniecpolskiego w Brodach r. 1646. Pogrzeb Jerzego Kalinowskiego w Bukaczowcach kosztował około 80.000 kor. na dzisiejszą monetę; aby podołać tak wielkiemu kosztowi, wdowa musiała zastawić swoją złotą koronę sadzoną brylantami, srebrne puhary i kandelabry a nawet kosztowne zbroje i inne *ornamenta bellica* nieboszczykowskie, a przecież bracia zmarłego, Adam i Marcin, robili bratowej wyrzuty, że pogrzeb nie był tak wystawny, jakby się dostojności zmarłego należało. Na pogrzebie Zamoyskiej, z domu księżniczki Ostrogskiej, było 6 biskupów a jaki był zjazd

na tę żałobną uroczystość w Zamościu, o tem
da nam wyobrażenie szczegół, że codziennie bito
dla kuchni po 100 wołów, cyfra, w którą trudnoby
uwierzyć, gdyby nie ręczył za jej prawdziwość Ks.
Kanclerz lit. Albrecht Radziwiłł, świadek i u-
czestnik tej żałobnej uroczystości. Zwyczaj urządza-
nia nad miarę wystawnych pogrzebów utrzymał się
jeszcze i w XVIII wieku. Zasłynął w całej Polsce
czterodniowy pogrzeb hetmana Józefa Potockiego
w r. 1751 w Stanisławowie, pełen monarszej pompy,
a szlachcic wcale średniej fortuny, jak znany z
swoich pamiętników Matuszewicz grzebie swego
ojca przy asystencyi 324 księży łacińskich i
150 unickich.

Każdy pogrzeb wielkiego stylu, zwłaszcza
hetmański, łączył się z ceremoniami, które
były wspaniałem i wstrząsającem widowi-
skiem a miały symbolizować dostojność
zmarłego i majestat śmierci. Za trumną
kroczył rumak ulubiony nieboszczyka, oble-
czony powłóczystą żałobną kapą, niesiono
miecz, szyszak i tarczę, oblepioną gorejącemi
świecami, a do kościoła wjeżdżał rycerz cały
zakuty w zbroję, „tamał drzewo", t. j. kruszył
u stóp katafalku kopię i obalał się ~~się~~
z konia na posadzkę kościoła. Dla spotęgo-
wania grozy, upadanie musiało odbyć się
z wielkim chrzęstem i łomotem, z „gromem",
z „srogim i ogromnym trzaskiem", jak
się wyrażają opisy świadków. Zdarzało się, że
rycerz rzucając się z konia na ziemię, i sam
się ciężko uszkodził i konia przestraszył, któ-
ry wpadłszy między zgromadzonych w kości-
le żałobnych gości wywoływał panikę i tra-
tował najbliższych, jak np. na pogrzebie het-
mana Stanisława Koniecpolskiego w
Brodach w r. 1646. Drugi oryginalny zwy-
czaj polegał na tem, że za trumną jechał
człowiek podobny zupełnie strojem, postawą
i twarzą do zmarłego, którego miał być nie-
jako pośmiertnym a żywym konterfektem.
Robiło to wrażenie, jak gdyby nieboszczyk

odprowadzał samego siebie do grobu. Wybierano w tym celu ludzi, którzy już z urody podobni byli do zmarłego, a podobieństwo fizyczne jeszcze bardziej uwydatniano sztuką. Na pogrzebie hetmana Jana Tarnowskiego rolę tę odgrywał podkomorzy Nikodem Radoszewski, który według opisu Orzechowskiego jechał za trumną w czarnej atłasowej szubie sobolami podbitej, w kuczmie sobolowej, „reprezentując Pana swego umarłego." Za trumną Koniecpolskiego jechał przebrany za hetmana rotmistrz Kozacki Komorowski, „staturą, a osobliwie brodą do zmarłego podobny w jego szatach." Było to zapewne naśladowanie podobnego zwyczaju, obserwowanego na pogrzebach królewskich, bo jak wiemy, na pogrzebach Zygmunta Augusta i Stefana Batorego figurowały także postacie w szatach królewskich fizycznie podobne do zmarłych monarchów.

Przepych i wystawa takich obchodów pogrzebowych jak z jednej strony podniecały do naśladownictwa takich, których fortuna nie odpowiadała wcale potrzebnym na to kosztom, tak znowu z drugiej strony budziła reakcyę i u takich, których stanowisko i środki pozwalały na to. Zdarzali się magnaci, którzy za życia polecali grzebać się jaknajskromniej, bez wszelkich zbytków i ceremonij.‡ Marcin Krasicki, wojewoda podolski, pan, który za życia lubował się w wszelkiej wspaniałości a gust swój monumentalny stwierdził wzniesieniem jednego z najpiękniejszych zamków polskich, „rozkazuje i prosi wielce" w swoim testamencie, „aby ciało jego w tej, w której teraz jest koszuli, włożywszy nań habit karmelitański, było jak najprędzej ułożone w trumnę, którego pogrzeb u OO. Karmelitów Bosych przeznacza, który pogrzeb sine omni luxu, szkap nie wodząc ani niepotrzebnych ceremonij nie czyniąc, przystojnie odprawić!" Aleksander z Rytwian Zboroński, fundator szpitala

‡ Wiekopomny nasz) ~~Hetman~~ Stanisław Żółkiewski w testamencie swoim poleca żonie, aby go pochowano „bez pompy, bez czarnych koni i kirysów," to chce tylko zastrzega, że ~~gdyby~~ jeżeliby na polu bitwy poległ, „miasto aksamitu czarnego, który znaczy żałobę, niech trumna przykryta będzie szkarłatem na znak wylania krwi dla ojczyzny, a to nie dla chluby żadnej lecz dla pobudki drugich do cnoty," a gdyby śmierć spotkała go w bitwie lub obozie poza granicami kraju, wtedy „tamże pogrześć ciało, a nad niem mogiłę wysoką usuć, nie dla ambicyi, ale żeby grób mój był kopcem granic, żeby się potomny wiek zbudził do pomnożenia państw Rzeczypospolitej" — życzenia godne wysokiej duszy tego Wielkiego Polaka.

dla starych żołnierzy we Lwowie, polecił schować ciało swoje nigdzie jeno tam, kędy sobie nagotował, bez żadnych ceremonij, bez trumny, tylko w delurce a kapciach w kilim obwinąwszy biały." Matrony polskie XVI i XVII wieku poleciły chować się najczęściej w habitach zakonnych; oblekano je także w powłóczyste poważne szaty, w jakich widujemy ich posągi na monumentach nagrobowych — tylko młode dziewice i niewiasty zmarłe w kwiecie wieku strojono bogato na katafalku. Autor *Relation d'un voyage en Pologne sous le regne de Jean Sobieski* widział zmarłą w młodych leciech Zofię Denhofową spoczywającą przez pięć dni na jedwabnym złocistym kobiercu, ubraną jakby na bal, w bogatej sukni, z kornetem na głowie, w pudrowanej fryzurze, z muszkami na twarzy, w klejnotach drogocennych, których nie brakło i na trzewikach.

Mówiąc o pogrzebach nie można pominąć upowszechnionego między szlachtą zwyczaju zawieszania nagrobowych chorągwi po kościołach. Chorągwie takie zastępywały epitafia, były opatrzone w nazwisko, herb i datę śmierci, a czasem mieścił się na nich malowany portret zmarłego. Chorągwie te żałobne bywały także przedmiotem zbytku, robiono je niekiedy z najdroższych materyj, haftowano bogato złotem i srebrem, przydawano im lambrekiny, draperye, galony i koronki. „Nad grobem moim dać z kitajki dubli czerwonej dwa ogony zrobić rycerskie — polecił w swym testamencie z r. 1634 szlachcic Hreczyna — po brzegach onę kitajkę pozłocić i na rohatynie czapkę z piórem przewlec i tak nad cielskiem mojem zawiesić; wywijasów nie potrzeba i onych fartuchów białogłowskich zawieszać także nie potrzeba." Świątynie nasze obwieszone były wewnątrz gęsto takiemi chorągwiami; droższe niekiedy od skromnego a trwałego pomnika, poniszczały i poznikały z czasem. W r. 1613 po wyprawie moskiewskiej w jednym kościele

OO. Bernardynów we Lwowie zawieszono kil-
kadziesiąt takich *labara funebria* dla uc-
czenia pamięci poległych w boju żołnierzy —
nie zachowała się ani jedna z tych rycerskich pa-
miątek i sztandary nagrobkowe należą dziś do
najrzadszych zabytków przeszłości, tak samo jak
i t. zw. „Konkluzye", które często spotykamy wy-
mienione w starych inwentarzach rodzinnych a
których znaczenie dla mniej obeznanych z obycza-
jem przeszłości bywa dotąd zagadką. Konkluzye
były to sztuki jedwabnej materyi, najzwyklej bia-
łego lub żółtego atłasu, na którym drukowano
ostatnią sentencyę mowy pogrzebowej, już z góry
przez kaznodzieję na efekt obliczoną i w lapidarną
niejako formę ujętą, np. *Stat magni nominis
umbra*. Rycina św. patrona i herb zmarłego,
tudzież szumna panegiryczna dedykacya pozosta-
łej rodzinie uzupełniała treść Konkluzyi, którą
zawieszano w kaplicy domowej lub przechowywano
wraz z innemi pamiątkami rodu.

Zjazdy publiczne i prywatne, nie wyjmując po-
grzebów, nie obywały się bez bankietów; biesiada
była koroną każdej uroczystości, głównym pun-
ktem towarzyskiego programu. Polacy nie odzna-
czali się cnotą umiarkowania w jadle i napoju;
Ruggieri odnosi wrażenie, że jeden Polak je za
pięciu Włochów. Po stroju bankiet był głównym
powodem zbytku a kuchnia nie daremnie za-
służyła sobie na utarte miano „szkopułu
szlacheckiej substancyi." Codzienna gospodar-
ska kuchnia była pożywna i zawiesista ale
skromna; Rej, który w pismach swoich robi
wrażenie smakosza-prostaka z niepopsutem
podniebieniem, tylko przez pieszczotliwe zdrobnienie
nazw nadaje prostym potrawom szlacheckim
pozory ponętnych łakoci. Mówi często z akcentem
przekonania, jaki mu dawał dobry apetyt i
energiczny żołądek, o „chlebie nadobnym, o jarzynkach
pięknie przyprawionych, krupeczkach bielusień-
kich a drobniuczko usianych, o kureczkach tłu-
ściuchnych, podanych na obrusku białym, na

misecze nadobnie uchędożonej" i wyrzeka na rozmaite wymysły, które zaczynają wciskać się do kuchni i na stół szlachcica, na „rozmaite przysmaki, co je sapory zowią, na potrzązki rozliczne, zufeczki, wymyślne pieścidełka, pozłociste główki, torty i krepla, limonie i kapary." Rej jest za rzeczą a gardzi pozorami, wyśmiewa wykwintne sztuczki i figle kuchmistrzowskie, dla niego nietylko „bijanka z marcypanem, limonie i kapary" są nierozsądnym zbytkiem, ale nawet kasza ryżowa, bo „przodkowie nasi zjadłszy gęś a smażoną pieczenię, a groch z jagłami, postawiwszy donicę na stole pieprzem natartą z piwem a grzankami, używali wolnych a wesołych myśli" i nie wymagali, aby „każda potrawa musiała przyjść jako kasztelanka albo samotrzecia albo samoczwarta." Nie jest też Rej przyjacielem wina; nad wszelkie „wit-pachery, rozekiery, rywuły, małmazyje" przenosi polskie piwo, bo „patrz na te kraje, gdzie cebrem piwo piją a pani matka w sześć niedziel dzieci donicę z grzankami czasem wychyli, jacy się chłopi by żubrowie rodzą, bo jeszcze w brzuchu utyje jako prosię, urodzi się jako cielę a urośnie jako wół." Nieco rubaszny ale zdrowy smak Reja niewątpliwie podzielał cały ogół szlachecki; potwierdzają to późniejsi pisarze i poeci, jak np. Słupski w swoich Zabawach Orackich lub Wespazyan Kochowski, który takie układa menu ziemiańskie:

Dobry kapłon przed gody, albo w mięsopusty.
Schab karmnego wieprza tłusty,
Nie odrzucę wołowej pieczeni
Lub i skopowej w jesieni,
Lub z sałatą cielęcina lub na pzortórki
Przy sałacie i ogórki.

Nie ma w tem nic archaicznego ani osobliwego, są to nasze dzisiejsze potrawy. Spotykamy przecież i takie, choć nieliczne, jakie byłyby dla nas dziwnem zjawiskiem na stole. Pominąwszy już owo legendarne źrebię, które miało rzekomo figurować przy uroczystych bankietach

na stole hetmańskim, znajdujemy między staropolskiemi potrawami pieczeń nietylko z łosia, *magna bestia*, która takim podziwieniem przejęła cudzoziemca Ogier'a w r. 1635 na bankiecie u wojewody ruskiego Wiśniowieckiego, ale także z żubra, tura, bawołu, dalej bobrowe ogony, pryski t. j. chrapy na zimno itp. Inne uderzają tylko przyprawą, nazwą lub formą, jak np. sarnie kiełbasy, ryby w Maikowej jusze, groch z ciasta itd. W oczach zwiedzających Polskę uderza głównie rozmaitość juch t. j. sosów, białych, szarych, czarnych, zielonych, żółtych, a zawsze bardzo korzennych i zawiesistych (*brodi molto sostanziosi con quantità di spezie*). Beauplan, który w swojej *Déscription des contrées du Royaume de Pologne* składa dowody bardzo bystrej i niemal drobiazgowej obserwacyi obyczajów polskich, podaje nam nawet sekret kolorowych sosów, w których, jak się wyraża „pływały wszystkie potrawy": sos żółty robił się z szafranu, czerwony z wiśniowego soku, czarny z śliwkowych powideł, szary z tartej cebuli itp. Z potraw i przekąsek specyalnie polskich przytacza Beauplan kapustę kwaśną z wędzoną słoniną, kaszę jaglaną, którą „Polacy niezmiernie lubią", groch ze słoniną, „bez którego niema szlacheckiej uczty, kluseczki gryczane z makowem mlekiem itp, na wety zaś ser, śmietana, owoce i cukry. W liście ks. Piotrowskiego do marszałka kor. Opalińskiego z r. 1582 zachowało się nam całe *menu* bankietu weselnego w „trzech dawaniach", z którego przytoczymy najbardziej osobliwe potrawy. Na pierwsze dawanie składały się kapłony w całku, pawie piązone z saporem, polędwice jelenie, ciasto formiane itd; na drugie dawanie zwierzyna słona, potrzęsiona cukrem wielkim i migdałami, baranki angielskie w czarnej jusze, rosiata, pasztety, czosnek, kapłon do małmazyi; na trzecie kapłon z zieloną juchą cukrowany, raki z masłem i pieprzem, ciasto i sapory.

Uderzającą właściwością starożytnej kuchni polskiej było używanie korzeni do wszystkiego i w wielkich ilościach; imbier, szafran, muszkatel,

pieprz, goździki, bobki wawrzynowe, cynamon itp. stanowiły główną przyprawę i bardziej były potrzebne niż cukier, dawnemi czasy bardzo drogi i na klucz zamykany, jak się to zaznaczyło nawet w przysłowiu: Król wielki pan a łyżkami cukru nie jada.† Zaniechanie korzennych przypraw nastąpiło w Polsce, jak zresztą wszędzie, dopiero z rozpowszechnieniem się kawy i herbaty. Dalszą cechą staropolskiej ~~Kuchni~~ sztuki kucharskiej — a miała ona u nas swoją literaturę, począwszy od znanego naszym bibliografom tylko z tytułu _Kuchmistrzowstwa_ z r. 1552 aż do słynnego _Compendium Ferculorum_ Łańcuckiego Kuchmistrza Lubomirskich Czernieckiego, książki bardzo popularnej, skoro od r. 1682 do r. 1788 a więc z górą przez sto lat nie straciła wziętości i doczekała się dziesięciu wydań, aż do Haura i najpóźniejszego Wielądka — cechą sztuki kucharskiej, powtarzamy, było wysilanie się na zewnętrzną dekoracyę potraw i półmisków, na dowcipne maskowanie ich w ten sposób, że domyśleć się było trudno, co się pod niemi kryje. Zdawałoby się, jakoby potrawy podawane na uroczystych bankietach świetnością i pompą swojej zewnętrznej formy dostrajać się musiały do aksamitów, altembasów, złota i klejnotów na kostiumach biesiadników. Rej przytacza nam kilka przykładów takiej trawestacyjnej fantazyi kucharskiej, owe „pozłotki, farby, malowania dziwne, że snaćby ich mógł nie zwać potrawami ale obrazki malowanemi: na jednej misie baran pozłocisty, na drugiej lew, na drugiej kur, na trzeciej pani jako ubrana, więc dęby z żołędziami, więc z różami pozłocistemi, z rozmaitemi kwiatki — a potrawa po środku za dyabła stoi." Kochowski także podaje nam mały obrazek takiej maskarady kulinarnej:

Z kanaru, co go przysłał Hamburg nieblizki,
Mrozem bielą się półmiski;
Po wierzchu nieś spadają cukrowe grady.
A cukropista temu rade.
Patrz na komedyę: wlazł kapłon w flaszę,

† Na bankiecie u Denhofa, wydanym na cześć przybywającej do Polski Maryi Ludwiki, poparzyli sobie Francuzi języki i jeść nie mogli, tak pieprzne i korzenne były przyprawy, a uczestnik tej biesiady, który ten szczegół zapisuje, dodaje nawet z widoczną przesadą, że w Polsce każdy szlachcic dostojniejszy — _personne de condition_ — zużywa rocznie za 10.000 talarów cukru, bakalji i korzeni.

Zkąd go, stłukłszy ją, wystraszę.
Tu bażant, choć zabity, ~~skrzydła~~ swe rozpościera,
Skrzydła i na nich umiera.
Z serwet wokoło baszty i wieże,
Padną, że nikt nie spostrzeże.

Istniały pewne ceremonie i zwyczaje specyalnie polskie, które zachowywano przy ucztach. Stoły ustawiano w podkowę, czyli jak się wyraża jeden z cudzoziem. ców: w szubienicę, ╪ a bywały tłumne bankiety, na których długość stołu przenosiła 100 stóp. Pokrywano je cienkiemi, kosztownemi obrusami; półmisków nie stawiano bezpośrednio na obrusie, ale na t. zw. „prawdach" czyli tacach metalowych; przed każdym gościem kładziono talerz z małą serwetką, przykrywającą chleb i łyżkę. Nożów i widelców nie dawano; każdy gość przynosił je z sobą ╪. Zaobserwował ten zwyczaj nawet przy stole królewskim Franciszek Regnard w Jaworowie, gdzie tylko cudzoziemcom dawano noże i widelce, a Adam Moszczyński, autor pamiętników z ostatnich dziesiątek lat XVIII wieku, słyszał od marszałka w. kor. Jerzego Mniszcha, że jego ojciec pierwszy za czasów Augusta II wprowadził grabki i noże dla każdego gościa. Przed rozpoczęciem uczty przystępowało do każdego gościa po kolei czterech ręko. dajnych dworzan gospodarza, a mianowicie najpierw dwaj, z których jeden niósł nalewkę srebrną z wodą, drugi zaś dużą miednicę srebrną wielkich rozmiarów; jeden nalewał wodę na ręce, drugi podtrzymywał miednicę. Dwaj dalsi trzymali za końce ręcznik długości kilku łokci, w którym goście obcierali dłonie. Każdy gość przyprowadzał z sobą na ucztę co najmniej jednego sługę, czasem nawet kilku, i ci stali za jego krzesłem. Kilku krajczych odbierało od służby misy z potrawami i obdzielało niemi gości. Do stołu zasiadano zazwyczaj z nakrytą głową, a odkrywano ją tylko wtedy, kiedy gospodarz lub jakiś dostojny współbiesiadnik odkrywał ją dla rewerencyi przy toaście lub dla ochłody. Powiada jeden z naszych rymopisów XVII wieku:

Gospodarz u stołu takie prawo daje:
Kto pije, czapki rusza a pijąc powstaje.

╪ – en double equerre nazywa to zestawienie stołów Beauplan –

╪ Ta bywały niekiedy bardzo ozdobne i kosztowne. Pocta Potocki kupuje w Krakowie „sobie noże w kości słoniowej, dla żony nożenki w koralu, wybijaną robotą z blachmalu."

Kobiety, jeśli brały udział w wielkim bankiecie, zasiadały przy osobnym stole, albo też rzędem obok siebie po jednej stronie wspólnego. Zwyczaj ten obowiązywał także na bankietach dworskich; na uczcie weselnej Władysława IV i Cecylji Renaty zastawione były cztery stoły: królewski, senatorski, ministrów i niewiast. W bardzo hucznych i tłumnych biesiadach kobiety zazwyczaj nie brały udziału, w ściślejszem jednak kole, w małem gronie poufnem, bywały jak wszędzie i po wszystkie czasy najrzadszą ozdobą i najpowabniejszą przyprawą polskiego stołu. Wespazyan Kochowski rubasznie ale szczerze nazywa je „omastą" bankietów, choć – oczywiście tylko dla rymu – kładzie je na czwartem dopiero miejscu:

Sól, wino, dobra wola, bankietów omasta,
Przydaj czwartą, pozwolę, niech będzie niewiasta.

Bankiet polski trwał bardzo długo, niekiedy 5 do 6 godzin, bo między jednem a drugiem daniem upływało pół godziny, na co się bardzo użalali cudzoziemcy. Szereg „pełnych," t. j. toastów rozpoczynał gospodarz, zwykle w połowie bankietu, a wzniesiony i wychylony przez niego puchar przechodził następnie z rąk do rąk, czyli raczej z ust do ust i wracał do niego. Przed każdym gościem stała flasza wina, w miarę potrzeby napełniana przez uważną służbę, i z tej to flaszy nalewał każdy wina do podanego sobie od sąsiada wiwatowego puchara. Był zwyczaj, że każde zdrowie spełniało się z innego kielicha – miał też gospodarz przed sobą całą kolekcyę pucharów, kubków, szklenic i roztruchanów,[F] Grzeczny gospodarz pił za zdrowie nietylko najdostojniejszego współbiesiadnika, ale, o ile to było możliwą rzeczą, za zdrowie każdego z swoich gości; tak samo i gospodyni, która jednakże nie wychylała wina, ale dotknąwszy tylko ustami brzegów puhara, podawała go gościowi, którego uczcić chciała; tak samo też robiła

[F] których rozmaite formy: tantôt un carsé, tantôt un triangle, tantôt une figure longue et tantôt une ronde – tak zadziwiły Beauplana.

gdy podawano jej kielich wzniesiony na jej uczczenie. Zdarzało się, że gość uczczony kielichem z dostojnej ręki, zwłaszcza po wychyleniu wina szklenicę o ziemię, aby się strzaskała, jakoby na znak, że już nikt nie godzien pić z niej w przyszłości, czasem tłuczono taki kielich nawet o własną głowę, jak to np. uczynił hetman Chodkiewicz z kielichem podanym mu w Połoczynie przez Króla Zygmunta III. „Stłukłem szklenicę o głowę — pisze hetman w swoim liście do żony — a Król rzecze: Miły Panie Hetmanie, nie tłuczcież tej głowy; siła nam na niej należy!“ ↓ W ciągu bankietu, przed toastami, nie pito wina, które się dopiero po jedzeniu lało strumieniami, ale piwo w wielkich szklenicach, do którego rzucano grzanki chleba, maczane w oliwie. Każdą potrawę podawał gość swojej służbie, stojącej za jego krzesłem. Przy bardzo wystawnych królewskich bankietach, jak np. przy elekcyjnych w czasie wyboru Władysława IV, o których wspomina cytowany już Beauplan, podając koszt takiej jednej uczty na 50 do 60.000 liwrów, przygrywały orkiestry i produkowały się chóry śpiewackie, złożone z chłopiąt, doskonałych w swej sztuce.

Zbyt tłumnych biesiad nie lubiono; zdarzały się one wprawdzie na festynach magnackich, zwłaszcza, jak już wiemy, na weselach, dziwowano się im bardzo i opowiadano sobie o nich po całej Polsce, ogłaszano nawet opisy ich drukiem, jak np. opis owych słynnych godów weselnych w Łańcucie po ślubie Konstancyi Lubomirskiej z Felicyanem Potockim, na których zjedzono 60 wołów, 300 cieląt, 50 baranów, 150 wieprzów i prosiąt, 21.000 sztuk drobiu, 12.740 ryb, 10 korcy raków, spotrzebowano 4 kamienie pieprzu, 3 kamienie imbieru, 5 funtów szafranu, wypito 270 beczek węgrzyna, 6 lad włoskiego wina itd ╒ ale w regule trzymano się zasady: „w dużej kupie się bić, a w małej jeść,“ i wierzono przysłowiu, że „siedm biesiada,

↓ Zwyczaj tłuczenia kielicha, z którego piła do kogoś wyjątkowo szanowna lub kochana osoba, utrzymywał się do późnych czasów; opowiada nam w swoich pamiętnikach Marcin Matuszewicz (1740 r.), że kiedy piękna panna Szamowska z Gostyńskiej ziemi nadpiwszy z strzemiennego pucharu podała go młodemu żołnierzowi Sołtohubowi, który już siedział na koniu, ten wychyliwszy ~~go~~ do dna strzaskał puhar (strzałem z pistoletu, zsiadł z konia i padając plackiem na ziemi, oświadczył się pannie.

╒ lub owego święconego u wojewody Sapiehy w Dereczynie, na którym wynoszono (wina cypryjskie, włoskie, hiszpańskie) w ~~42 konwiach srebrnych~~ w tyle konwiach srebrnych, ile miesięcy ~~w roku~~, w tyle baryłkach również srebrnych, ile ~~dni~~ tygodni, w tyle garncach ile dni ~~w~~ w roku, a służbie wydano ~~tyle~~ kwarta a więc tyle 8.760 ile w roku godzin —

dziewięć zwada." Nie potrzeba było wszakże fatalistycznej cyfry dziewięciu biesiadników aby przychodziło do zwady, która najczęściej kończyła się krwawo. Ostawione były polskie bankiety z gwałtownych scen, jakie się na nich odgrywały; w pamiętnikach współczesnych, w aktach sądowych, w pismach moralistów i poetów satyrycznych od XVI do XVIII wieku spotykamy liczne opisy krwawych burd bankietowych, zakończonych kalectwem a nawet śmiercią jednego albo i kilku nawet biesiadników. Sfery wielkopańskie, które pod wielu względami stały obyczajowo wyżej od szlacheckiego gminu, pod tym względem nie stanowiły wyjątku; w najwyższych i najlepszych warstwach towarzyskich spotykamy takież same wybryki porywczości, podniecony nadmiarem trunków. Albrecht Radziwiłł opowiada w swoim pamiętniku o bankiecie senatorskim w Krakowie, na którym pobili się z sobą dwaj wojewodzice Daniłowicz i Radziejowski, a wielkiemu rozlewowi krwi zapobieżono tylko tym sposobem, że zamknięto szybko drzwi przed dobywającą się do sali biesiadnej z gołemi szablami służbie obojga paniąt. Kochanowski podał nam całkiem wierny obrazek bankietu, który zaczyna się w najlepszej komitywie, przechodzi w śpiew i wesołość a kończy się gwałtowną zwadą:

Kufle lecą jak grad, a drugi już jęczy,
Wziął konwią, aż mu na łbie zostały obręczy.
Potem do arkabuzów — a więc to biesiada?
Jeżliście tak weseli, jakaż u was zwada?

Sąsiedzkie życie na wsi było ożywione i ściste, ale miało swoje dotkliwe przykrości i niebezpieczeństwa, a zły sąsiad uchodził za klątwę i nieszczęście szlacheckiego żywota, równał się najcięższej „melancholiji," aby się posłużyć ówczesnym językiem, bo nie lepszy był od „miecza na łbie i wiecznej infamiji." Bywały też procesy i wojny sąsiedzkie, zacięte, nieprzejednane, zabójcze. W pierwszych latach XVII stulecia, kiedy pod wpływem wojen rokoszowych i prywatnych cała Polska niemal do gruntu była

zawichrzone, zdziczały na długi czas także stosunki sąsiedzkie a najspokojniejszy nawet szlachcic nie mógł być pewny, czy w progach jego nie pojawi się wojny z swoimi nieodłącznymi dwoma świadkami szlacheckiego stanu i nie wręczy mu t. zw. „odpowiedzi", to jest groźnego, a niestety do pewnego stopnia prawnie uświęconego albo przynajmniej tolerowanego kartelusza, w którym mu sąsiad gwałtownik wypowiada otwartą wojnę, i wzywa go, aby się strzegł swego „odpowiadającego przeciwnika w domu, w kościele, w łaźni, na polu, jedząc, śpiąc, na drodze i na każdem miejscu, bo się na nim mścić będzie i na gardle jego usiędzie", taka bowiem była zwyczajna forma tego posłania. Wtedy trwoga zaglądała do okienek dworka, pełzała po ścianach i zasiadała wraz z strapioną rodziną u komina; czuwał gospodarz, czuwała uzbrojona czeladka, a spokojny dwór zmieniał się w oblężony zameczek. Nie obywało się i bez zajazdów, które równały się napadowi bandy opryszków, bo kończyły się rozlewem krwi i pożarem domostwa a zdarzały się często w najgorszych czasach i w niektórych zwłaszcza dzielnicach Polski, np. w województwie ruskiem. Była to najczarniejsza ale na szczęście nie ~~jedyna~~ główna i nie codzienna strona sąsiedzkiego życia — miało ono swój urok, swoje towarzyskie dobrodziejstwa i swój kodeks, oparty na poczciwej wzajemności, który musiał być silnie utwierdzony w obyczaju i tradycyi szlacheckiej, skoro przetrwał do naszych czasów i tak obowiązuje dziś jak obowiązywał przed 300 laty. Przechowały się nam sympatyczne rysy pożycia sąsiedzkiego w starożytnej Polsce a z pism Reja, Kochanowskiego, Górnickiego, Kochowskiego, Potockiego, zwłaszcza z znanej nam od niedawna choć częściowo tylko spuścizny literackiej tego ostatniego, dałaby się zestawić mała galerya typów sąsiedzkich. Tacy sami to ludzie jak dzisiejsi i te same rodzaje ich oryginalności, ale jakże odmienne barwą czasu! Oto najpierw sąsiad z pretensyami do wielkiego świata, snob XVI i XVII wieku, który „wydwarza," t. j. afektuje giestami i „zemdloną mową" jakiegoś wielkiego senatora, którego jest śmieszną kopią; swoji

towarzysz Marsa, który sobie „ogromnie poczyna, okiem gryzie orzechy, wąsem muchy ścina", który nie znosi kwiatów, bo lubi tylko zapach prochu, nie idzie do tańca, bo zna tylko harce z Tatarem, Szwedem i Moskwicinem, nie dba o muzykę, bo najmilszy mu odgłos surm i pomruków przy dział huku, aż mu któraś dowcipna pani powie: dajcie się, panie, dobrze wysmarować, abyście nie zardzewieli i zamknąć się w schowaniu aż do przyszłej wojny"; dalej sąsiad chudzina ale z „górnej fantazyi" i szumnemi pretensyami, który jedzie w odwiedziny kolebką zaprzężoną w dwie szkapy, a na dobrę staję przed domem sąsiada, każe wyprządz jedną, wsadza na nią pachołka „w koralu" przy pałaszu i z ładownicą, aby jako goniec awizował gospodarza, że jegomość pan jego zdąża w gościnę, a gdy pachołek z tej misyi powróci, przyprzęga drugą szkapę i tak z pańska anonsowany zajeżdża na podwórze, aż mu nareszcie figlarz sąsiad, świadomy tego sekretu, upaja do nieprzytomności tego kuryera a biedny szlachcic naczekawszy się daremnie w polu, zły, głodny i zawstydzony pieszo, podpierając się szablą, jawi się na gościnnych progach; dalej sąsiad impertun i nudziarz „z którym siedź, żeby nie tęsknił, baw, praw, bo inaczej oszczeka cię — a tego impertun nie baczy, że jako na szydłach ledwie nie dosiadasz, że co innego myślisz, co innego gadasz;" sąsiad wielki głowiek, co „stąpa z tabulatury, siła dyszkuruje" i zdumionej szlachcie cuda prawi o swoich czynach: „Takem mówił, tak czynił, na sejmie, w senacie; jam wojnę uspokoił, jam sejm konkludował, ja sam obrałem Króla;" sąsiad darmochwał, *miles gloriosus*, prototyp Fredrowskiego Papkina, który przy pełnych opowiada swoje bohaterstwa:

Mnie nigdy straszna nie jest Ordy zgraja,
Jam wziął Nogaja!
Jam Karasz-Murzę z Szepenkazym gromił,
Jam Königsmarka szwadrony przełomił,
Od mej walecznej szabli Dołhoruki,
Rozsiekan w sztuki;
Jam w Holsacyi nieleniwym chodem
Stanął, gość straszny pod Fryderykiem rodem,

Sam pierwszy w szturmie toruńskim na wały
Wpadał zuchwały.

Ale obok tych figur czasem tylko zabawnych, czasem i niesmacznych, obok darmochwatów i natrętnych łgarzy, z których każdy śmiało mógł się ubiegać o wysoki urząd w Rzpltej Babińskiej, ileż to bywało między sąsiadami miłych gawędziarzy, ludzi z talentem opowieści na wzór Paska, z takim zapasem wesołych konceptów, którymi „dusza cieszyć się” mogła, że szli w zawody z autorami najdowcipniejszych fraszek i apoftegmatów, Kochanowskiego i Kochowskiego nie wyjmując.

Po za sferę sąsiedzką i towarzyską wychodzą i już w życie publiczne wkraczają dwa najwybitniejsze typy szlacheckie: medyator i agitator. Obaj odgrywają wielce ważną rolę w życiu województwa i ziemi, ale podczas gdy pierwszy występuje głównie w prywatnych i rodzinnych sprawach, drugi rozwija swoją akcyę przeważnie na polu publicznem. Medyator jest to zawsze człowiek z fortuny i nazwiska poważny, spokojny i bezstronny, wielkiego praktycznego rozumu, nieposzlakowanej zacności, a przytem wielki przychylny szlachcie. Raz lub dwa razy udano się do jego rozjemstwa w jakimś bardzo głośnym i bardzo zawikłanym sporze spadkowym, podziałowym, granicznym, w którym strony nie chciały się uciekać do trybunałów albo który właśnie dzięki jurystom i trybunałom zabłąkał się w labiryncie prawnym, splątał się jakby w kłąb żmij jadowitych — on tę rzecz desperacką rozpatrzył, rozjaśnił, rozwikłał i mądrze rozstrzygnął, pogodził sprawiedliwie obie strony, zabił proces, i oto od tego czasu już nie ma spokoju, musi jednać i godzić, jest już wojewódzkim arbitrem i rozjemcą, w najrozmaitszych i najdrażliwszych sporach, przestaje już być prywatnym człowiekiem, z woli i zaufania braci szlachty staje się jakby instytucyą. Przy wrodzonej skłonności szlachty do pieniactwa, przy niesłychanie przewlekłej procedurze prawnej, przy tej łatwości, z jaką się spór rodzinny zmieniał w skandal, proces w grę osobistych drażliwości, osobista drażliwość w nienawiść, gwałt, zemstę i krwawy odwet — medyatorowie byli praw-

dziwem błogosławieństwem i nie brakło ich też w żadnem województwie. Drugi typ wielce ważny szlachecki, agitator i statysta, miał tylko to wspólnego z medyatorem, że tak samo jak tamten musiał być doskonałym psychologiem, znawcą nietylko natury szlacheckiej ale także praw krajowych i stosunków osobistych w jaknajszerszym promieniu województwa — poza tem jednak musiał posiadać przymioty, bez których obywał się medyator: musiał być graczem sejmikowym, dobrym szermierzem na szable i języki; człowiekiem bardzo wymownym, bardzo ruchliwym, do zuchwalstwa otwartym, do obłudy nieszczerym, stosownie do sprawy, sytuacyi czasu i osoby, pełnym fortelów i sposobów, a przytem bardzo towarzyskim, sympatycznym, usłużnym i gościnnym. Służył czasem tylko osobom, czasem całym stronnictwom, czasem słusznej czasem i niesłusznej sprawie, ale zawsze sobie, bo wzięcie w województwie, wpływ na sejmikach i przy wyborach, szeroka popularność, reputacya skończonego mistrza w grze publicznej, bez którego nic się nie uda, którego musi mieć po swej stronie kandydat do funkcyi, ambitny magnat, nawet sam król niekiedy, torowała drogę do Krescytyny, do intratnego wakansu, do senatorskiego krzesła w końcu.

Doskonały wzór takiej postaci mamy w Matuszewiczu, datowany wprawdzie już z XVIII wieku, ale wcale nie anachroniczny w XVII a może nawet w XVI, wzór tem ciekawszy i tem bardziej pouczający, że człowiek ten sam wybornie opisuje swoją rolę obywatelską i odsłania sekret swojego powodzenia. „Ta bowiem moja maxyma w sejmikowaniu i obejściu się w województwie była — pisze Matuszewicz w swoich pamiętnikach — wszystkim szczerze i ochotnie służyć, krzywd nie pamiętać, i nieprzyjaciołom, gdy się okazya zdarzyła usłużyć, nawet i udarować, za moje urzędowe actus mało albo nic nie brać, lekko przyjechać i prędko expedyować (był pisarzem ziemskim), aby stronom expensu nie czynić, kombinować a przy kombinacyi swego dołożyć. Na sądach i innych zjazdach stół mieć otwarty, winem dobrem nietylko częstować, ale też mocno pić, w czem i swego nie ochraniałem zdrowia, na sejmikach zaś nigdy ad extrema nie

przychodzić, głos każdy obserwować, prosić kontradycentów, pretensye ich do starających się o funkcye swemi często pieniądzmi godzić, słowa punktualnie dotrzymywać; jeśli sejmik doszedł, wspólnie się cieszyć, jeśli nie doszedł, tedy z tymi, co sejmik ~~zerwali~~ zepsowali, w zupełnej rozjeżdżać się konfidencyi, którzy bywało do mnie przychodzili, piłem z nimi, weseliłem się w prawdziwej szczerości, ekskuzując ich potrzeby, że to musieli dla swoich przyczyn uczynić, co wszystko prawdziwą miłość w województwie jednało."

III

Co po za towarzyskiem życiem wypełniało swobodne od gospodarskich trudów chwile i stanowiło główną i ulubioną rozrywkę szlachcica, to wszystko da się ująć w te trzy słowa Reja: „Konik, chartek, ptaszek." Sport jeździecki i ~~myśliwski~~ ~~Daleko~~ silniej wiązał się z życiem minionych wieków, daleko głębiej sięgał w obyczaj, bo nie był wyłącznie amatorstwem tylko, popisem, fantazyą, zabawą, jak dzisiaj, ale rzeczywistą, nieodzowną potrzebą, bardzo realnym warunkiem bytu. Już dla tego samego, że każdy szlachcic był żołnierzem i że także po za wojną konna jazda była najzwyczajniejszym, a przy braku dróg niekiedy jedynym środkiem lokomocyi, chów koni i sztuka jeździecka miały pierwszorzędne znaczenie. Cóż dopiero, kiedy do potrzeby, do konieczności na seryo, przybywały amatorstwo i zbytek. Słynęli w Europie Polacy jako jeźdźcy, słynął koń polski, którego rasa zginęła dopiero z końcem XVIII wieku. Chów koni prowadzono na szeroką skalę, stadniny wielkopańskie liczyły po kilka set a nawet po kilka tysięcy koni i matek, jak np. stada Buczackich w Buczaczu, Ostrogskich, Chodkiewiczów (w dobrach Lachowieckich), Sobieskich w Żółkwi, Chreptowiczów itd. Jeszcze w ostatnich latach (XVIII w.) zażywały wielkiej sławy stadniny Lubomirskich w Szarogrodzie, Potockich w Humaniu, Księcia podkomorzego Poniatowskiego w Stojanowie, Poturzycy i Sokalu. Nawet szlachcic średniej fortuny miewał po kilkadziesiąt koni. Ćwiczenia rycerskie odbywały się zawsze na koniu, ćwiczeń pieszych

prawie u nas nie znano; „w pięty nie grawamy, jak we Francyi," powiada Górnicki. Jakie były najzwyczajniejsze ćwiczenia rycerskie, dowiadujemy się od naszych starożytnych pisarzy. „Na konika wsieść, zbroiązki sobie przypatrzyć — pisze Rej — służce też na drugiego kazać wsieść, więc tu sobie pomiernie pobiegać, i drzewczka wziąć, nadobnie sobie z niem poigrać, albo też do pierścienka albo do czapeczki pomierzyć." Twardowski chwali zręczność w rycerskich igrzyskach młodziuchnego królewicza Aleksandra, który dobrze umiał: „jako koniem najechać, jako drzewem łożyć — ułożyć się w węzyka, do pierścienia skoczyć," a Piotr Zbylitowski tako opiewa zabawy rycerskie:

Jedni na chyżych koniach do pierścienia skoczą,
Drudzy w kole obrotnem na nich kształtne toczą,
Ten z łuku do mączecki, ten z ptaszej ruszniey,
Ten rohatyną ciska...

Nie było to wyjątkiem i dziwowiskiem, kiedy i kobiety próbowały się w tych ćwiczeniach. Kryski powiada w Dworzaninie, „że znał białogłowy i są jeszcze żywe, które mieczem, oszczepem, tak dobrze umieją jak mężczyzna który; k'temu na koń ochotnie wsieść i dobrze nim toczyć. Myśliwych pań nie wspominam — dodaje Kryski — bo tych w Polsce pełno." Kiedy król Władysław IV w r. 1638 w przejeździe do wód bawił na dworze cesarskim w Wiedniu i urządzono tam strzelanie do tarczy o nagrody, za najcelniejsze trzy strzały wzięły premie trzy Polki z orszaku królowej: Kasztelanowa sandomierska Kazanowska, wojewodzina łęczycka Leszczyńska i panna Lukrecya Guldensztermanka, później starościna warszawska Grzybowska.

Myślistwo polskie dawnych wieków wymagałoby osobnej monografji; mamy też do jego historyi stosunkowo bogate źródła w literaturze; na tem miejscu jednak poprzestać musimy na kilka tylko rysach. Było wiele rodzajów myślistwa: z ogarami, z chartami, z obławą, z sieciami, z sokołami. Najoryginalniejsze i najpowabniejsze może było dla łowieckiej fantazyi sokolnictwo, t. j. polowanie z ptakami, uchodziło też w całej Europie za

najszlachetniejsze. Nie było tak przystępne jak każde inne, wymagało wiele cierpliwości, trudu i kosztu. Do ptaków łowczych zaliczały się orły, krogulce, jastrzębie, sokoły, rarogi a także i sowy. Krogulce i sokół brały już oprócz kuropatw duże ptaki, jak kaczki, żurawie, dropie i czaple; jastrząb porywał się także na zająca, raróg i orzeł „chwytały ptaki by największe, nawet zwierza ziemnego bity, jako liszki, sarny i dzikie kozy.“ Jan Chryzostom Pasek, słynny z daru ułaskawiania dzikich zwierząt i ze swego myślistwa, o którem sam się wyraża, że było z podziwem ludzkim,“ obok właściwych sokołów miał także drzemliki, kobuzy i kruki, „co do berła chodziły, kuropatwy i zające załatywały.“ Wyćwiczenie sokoła czyli t. zw. po łowiecku „unoszenie“ było osobną wielce trudną specyalnością i sztuką; celowało w niej w XVI wieku wielu Polaków, jak np. wojewoda poznański Janusz Latalski, który miłował się w sokolnictwie na wielką skalę i słynął z tego na wszystkich dworach europejskich. Cesarz Ferdynand I do niego udawał się po sokoły. Za dobrego ptaka łowczego płacono stosunkowo bardzo wysokie sumy. Król Stefan Batory płacił sumę równą wartości 120 korcy pszenicy za sokoła albo dawał parę koni lub trzy karmne woły – a wiec cena dosięgała 2000 koron dzisiejszych. Jeden z poetów XVII w. urągając na zbytek w myślistwie, mówi:

Nie to dziś za legawca dać i sto czerwonych,
Za charta i pięć brogów dobrze nałożonych,
Za wyżła koń turecki i tucznych kilka wołów
Za krogulca; wżniki za parę sokołów.

Wiemy już z jednego z poprzednich rozdziałów, że dom szlachecki był poniekąd osobnym, okrągłym, niezawisłym światem. Już z tego względu a tem bardziej wobec niezmiernie trudnych warunków komunikacyi zdawałoby się, że szlachcic wyruszał z domu tylko z ważnej bardzo potrzeby, tylko z ostatecznej konieczności nawet. Tak przecież nie było. Wiemy od cudzoziemców, którzy zwiedzali Polskę w XVI i XVII wieku, jak np. od cytowanego już towarzysza

Kardynała Commendoniego (1565), że szlachta była w ciągłym ruchu do krewnych i do przyjaciół i że nie odstraszała jej nawet stumilowa odległość od podróży bez słusznej potrzeby. Warszewicki przytacza przypowieść niemiecką, według której całe życie Polaka upływa na trzech rzeczach: deklamacyi, hulance i podróżach (*declamationes*, *comessationes et profectiones quotidianae.*) ‡

‡ Kromer powiada o swych współczesnych: *complures libenter peregrinantur*, a Francuz Laboureur nazywa Polaków *le plus grands voyageurs de l'Europe.*

Potwierdzają nam tę skłonność do podróżowania bez potrzeby i rozumnego celu nasze własne źródła literackie i pamiętnikowe, w których „szlachcic przewijący", „podróżujący" rzemiennym dyszlem" należy do częstych figur codziennych. Było zresztą dość okazyj i potrzeb, zwyczajnych i nadzwyczajnych, które zniewalały zadomowionego nawet szlachcica, t. zw. domatora czyli legarta, do wyprawienia się w dalszą drogę. Wymagały tego interesa rodzinne, bo jakkolwiek trzymać się lubiono w Polsce przysłowia: „sprzedawaj konie daleko ale żeń się blizko," kojarzyły się małżeństwa między osobami z dwóch najdalszych od siebie województw; wymagały interesa prawne, majątkowe, troska o zdrowie i o wychowanie dzieci, a w końcu i rzeczy obywatelskie, publiczne. Najbliższym celem podróży bywała stolica województwa lub pierwsze z brzegu znaczniejsze miasto z grodem, zaś Lublin i Piotrków jako stolice trybunalskie, ~~Gdańsk i Toruń~~ Kraków i Warszawa jako stolice królewskie, Gdańsk i Toruń jako główne ogniska handlu rolnemi płodami wymagały już dłuższej podróży i dłuższego pobytu. Najzwyklejsze bo najczęściej potrzebne były jazdy do grodu, na kwerele i roczki sądowe, bo nie było prawie szlachcica, któryby nie chadzał do prawa, nie potrzebował oblatować jakiegoś przywileju, munimentu, intercyzy, aktykować czegoś ku wiecznej rzeczy pamięci, obdukować, manifestować się lub protestować. Roczki i kwerele sprowadzały do grodu liczną szlachtę, sejmiki i okazowanie bywały już wielkiemi zjazdami. Sejmiki połączone z wyborami posłów na sejm i deputatów do trybunału, były

pierwszą szkołą polityczną szlachcica, szeroką areną dla warchołów, polem popisu dla wszystkich statystów i reformatorów Rzpltej — a któż nim nie był? — główną krynicą informacyj z całej Polski a nawet z całej Europy, gdzie naiwny szlachcic zaczerpnąć mógł zapasu nowinek, plotek i anegdot, wystarczającego na dwanaście miesięcy, wielkim rautem województwa, najwadelniejszą okazyą do zwady i biesiady — wracał też z sejmiku szlachcic niekiedy mądrzejszy i pewniejszy siebie niż wyjeżdżał, częściej atoli i nie mądry i nie cały, z ciężką głową a lekkim mieszkiem, nierzadko z utratą ucha, palca i z plastrem na głowie. Sejmik był zjazdem obywatelskim i politycznym, okazowanie zjazdem rycerskim. Na okazowaniu czyli lustracyi szlachta obowiązana była stawić się pod gołym niebem zbrojnie, a kto mógł, także z pocztem; pod wodzą kasztelana lub innego urzędnika w jego zastępstwie odbywał się przegląd niejako wojskowy. Nie całe województwo zbierało się razem na okazowaniu; każda ziemia miała osobne wyznaczone ku temu miejsce; szlachta np. województwa ruskiego odbywała lustracye zbrojne we Lwowie, pod Sądową Wisznią, pod Haliczem, pod Sanokiem i pod Samborem, a więc w pięciu rozmaitych miejscach, zjazd tedy bywał daleko bardziej lokalnej i partykularnej natury niż na sejmiku. Okazowania miały też daleko mniej powabu dla szlachty; nie było na nich senatorów, nie było oratorskich popisów, nie było politycznych nowin i plotek, nie było petitów o wakanse, donacye, myta itp., tedy chociaż chodziło tu o cel bardzo szlachetny, bo o demonstracyę pogotowia w obronie ojczyzny, o stwierdzenie rycerskiego zawołania, szlachta nie bardzo chętnie spełniała ten obowiązek, wyruszała na pole popisu tak nielicznie i tak niepokaźnie, że w końcu ze wstydem ale bez szczerego zamiaru poprawy sama przyznawała w laudach sejmikowych, „iż okazowania żadnego Rzpltej pożytku nie przynoszą a raczej per abusum pośmiecho,

niskiem jakiemś są" i albo zreformowane albo zniesione być winny.

W każdą dalszą niż na sejmik drogę, a niekiedy nawet i na sam sejmik, jeżeli się mieszkało daleko od miasta, w którym się odbywał, wybierano się tak, jak się dziś już nie wybieramy za dalekie morza. Nawet miernej fortuny szlachcic, jeśli mu wiek lub zdrowie nie pozwalały odbywać podróży konno, podróżował małą karawaną. Kolebka dla pana, kareta dla pani, wóz z kuchnią, wóz skarbny na pościel, garderobę, ~~srebro~~ serwis podróżny, kilka luźnych koni w rezerwie, gromadka czeladzi – to wszystko już składało się na wcale pokaźny tabor, bez którego przecież dla bezpieczeństwa i wygody obejść się było niepodobna. Cóż dopiero, kiedy się wybierał w drogę magnat, zwłaszcza kiedy jechał na sejm, na zjazd jaki uroczysty, na elekcyę, koronacyę lub gody królewskie do stolicy i musiał zabierać z sobą wszystkie splendory swego stanu, zbroje, szaty, klejnoty, srebra, prowadzić z sobą dworzan i milicyę. Na każdą choćby najkrótszą podróż wyprawiał się wojewoda kijowski Wasyl Konstanty Ostrogski z całym kredensem sreber stołowych, wziął z sobą ~~trzy~~ tuziny złocistych półmisków, kilka tuzinów talerzy ~~srebrnych~~ półzłocistych lub także całozłocistych, kilka tuzinów talerzy białosrebrnych, sześć mis olbrzymich rozmiarów, kilka tuzinów łyżek, dużą wannę srebrną z złocistemi obręczami, nie wyliczając flasz i kubków, a była to tylko cząstka tego, co wieziono za podróżującym panem. Bogusław Radziwiłł (1665 r.) pisze do swojej narzeczonej, „że choćbym *incognito* do Mitawy przyjechał, tobym przecież musiał mieć 1000 koni i ludzi z sobą, tobym razem całą Mitawę wyjadł." Z rzadkiej dziś broszury Stanisława Czernieckiego, kuchmistrza i dworzanina Stanisława Lubomirskiego, dowiadujemy się szczegółowo, z jakim monarszym przepychem i z jakim tłumem dworzan, czeladzi i milicyi podróżował ten magnat. Najpierw, na pięć dni przed wyjazdem samego pana, wyruszał

oddział piechoty nadwornej węgierskiej, na drugi dzień wyruszała stajnia z końmi wozowemi i wierzchowemi, na trzeci dzień muzyka, na czwarty myślistwo a piątego dnia ruszał dopiero sam Jegomość z „poważnym a okrytym dworem." Przed karetą jechał oddział srebrnych Kozaków, tak nazwany od srebrno-litych kostiumów i srebrem oprawnej broni, za karetą oddział dragonji. Długi szereg koczów wiózł nareszcie świtę dworską, towarzyszącą panu swemu w podróży.

Zbytek ten nie ustał i w XVIII wieku; nieprzeliczony szereg sześciokonnych bryk, wozów skarbnych, kuchennych, kredensowych, piwnicznych, karet z damami, konnych dworzan, rezydentów, adjutantów przeciągał drogą, kiedy ks. Adam Czartoryski zmieniał miejsce pobytu; podróż z Puław na Wołyń odbywała się w 400 koni i 14 wielbłądów. Kiedy w r. 1778 książę Karol Radziwiłł wjeżdżał do Lwowa, poprzedzała go cała karawana wielbłądów i innych mułów; podróż Szczęsnego Potockiego z Tulczyna do Lubomla, odbyta w r. 1792 z całym aparatem magnackim, kosztowała według dochowanego rachunku około 372.000 zł.

Brak dróg bitych i bezpiecznych ~~przymuszał~~ wymagał najmniej trzech lub czterech koni do każdej karety, ale zbytek wymagał w dwójnasób tyle, co potrzeba. Nawet po równej drodze i w porach roku, kiedy i najgorsza była sucha i twarda, nawet na bardzo małą odległość, dla samej wystawy tylko zaprzęgano do powozu po sześć i ośm koni. Klonowicz, który w swoim Worku Judaszowym nieśmiało tylko zaczepia o wybryki wielkopańskie, „bo strach o lwiej skórze pisać," bardzo dosadnie maluje ten rodzaj zbytku:

I animusz to lichy, poszedł na prostaka,
Który tysiąca osób nie trzyma orszaka,
A już swego szlachectwa wiele ten uroni,
Komu woza nie ciągnie processya koni.
Już teraz tuzem jeździć i kwatrem i dryją,
Tylko owym należy, co żebractwem żyją.
I owszem, chociaż tracim, dobrowolnie giniem,
Nie godzi się nam jeździć, jeno szłap tuzinem.

Z tą całą wystawą szedł w parze przepych w doborze i cenie koni cugowych, zwanych dawniej woźnikami, w karetach i uprzężach; wszystko to ociekało srebrem i złotem. Dla większego efektu malowano nawet konie; do kolczych wspomnianego już Stanisława Lubomirskiego zaprzęgano białe konie, których grzywy i ogony pofarbowane były na czerwono. Były rozmaite rodzaje powozów: kolcze, t. j. wozy obszerne, jedwabiami obite, obwieszone kobiercami, których „ad minimum musiało być sześć", brożki, rydwany, karety, kolasy, kolebki itp. Wybijano je kosztownemi materyami, ozdabiano złoceniem, rzeźbą, pokładami czyli poponami na srebrnych gałkach itd.; piorunuje też Rej na „owe rozliczne a dziwne przyprawne kolebki z rozwieszonemi kobiercy, z altembasowemi wezgłowiami, z szkarłatnemi poponami, z pozłocistemi lewki." Były rozmaite sposoby zaprzęgania koni i rozmaite specyalne na to nazwy, z których już kilka poznaliśmy z przytoczonego powyżej wierszyka Klonowicza: jeździło się syzem, kwatrem, dryją, tuzem i esem; syz oznaczał zaprzęg sześciokonny, kwatr czterokonny, dryja trzykonny, tuz ~~(od karty dwójki, z francuskiego deux)~~ parokonny, es ~~([illegible])~~ jednokonny.*) Miernej fortunki szlachcic, jeśli go nie opętał duch próżności, jeździł skromną kolasą i brał sobie za wzór pana podczaszego krakowskiego Wacława Potockiego, który tak opisuje swój własny ekwipaż:

Niech kto mosiężne szory, złocone karety
Sprawia, niech sprzęga fryzy; forysie, stangrety
Karmi, stroję, pachołkom srebrne kuje pasy,
Mnie w półszorek zaprzęgą parę do kolasy,
Rączy Maciek w siermiędze, drugiego Bartosza,
Żeby, gdzie ~~trzeba~~ źle, zatrzymał, chowam od trzosza.

Chęć do podróży nie poprzestawała na własnym kraju. Obowiązek legacyjny w służbie Rzptej i chęć pozyskania wiedzy, do czego w ojczyźnie nie było dostatecznych środków, były pierwotnie jeśli nie jedynym, to w każdym razie

*) Terminologia ta wzięta jest ~~z gry~~ z gry w kości ~~do grania~~, a mianowicie ~~[illegible]~~ z liczb oczek, które każda z płaszczyzn sześciobocznej kostki wykazuje. ~~[illegible]~~ Płaszczyzna o pięciu oczkach nazywała się cynek, a nazwa ta utrzymała się w polskim słowniku jako oznaczenie grupy drzew, zasadzonych w figurę pięciu oczek na kostce.

głównym powodem podróży, dopiero z biegiem czasu do tej poważnej pobudki przybywa żądza egzotycznych, czysto materyalnych ~~uciech~~ przyjemności i moment awanturniczy. Cel naukowy wiódł z początku prawie wyłącznie do Włoch, do Padwy, Bononii, Rzymu, później, a zwłaszcza w XVII wieku zaczęła się młodzież szlachecka udawać do Niemiec, do Francyi i Niderlandów. Potrzebę poznania obcej a wyższej ~~kultury~~ cywilizacyi bardzo wcześnie odczuwano w Polsce, umiano też należycie oceniać pożytek rozumnie odbytej podróży. Nawet Rej, domator, cały obrosły mchem polskim, doradza dalekich podróży młodemu szlachcicowi, „aby się wżdy nie wyrwał lada jako wilk z sieci," albowiem „nadobna to jest rzecz młodemu człowiekowi do cudzych się krajów przejeżdżać a tam się ukazać, jakoby sobie i ojczyźnie swej lekkości nie uczynić," każe się jednak starać o to, aby młodzieniec „nietylko z podskoczki, z perfumowanemi rękawiczkami, z pstremi kabatki do domu przyjechał." Z przestrogi tych wnosić można, że już za czasów Reja podróże często wypadały bez pożytku dla umysłów, a z wyraźną szkodą charakterów. Potwierdza to tyle później Jakób Sobieski, który mówi o podróżujących Polakach, że „sroga ich rzecz, co cielętami przyjeżdżają do cudzej ziemi a wyjeżdżają z niej wołami;" potwierdza późniejszy od niego Andrzej Maxymilian Fredro, który ubolewa, „że więcej występków z obcych krajów wywozimy niźli nauki, więcej lekkości niżeli grzeczności;" potwierdzają to w końcu wszyscy moraliści XVIII wieku a także cudzoziemscy obserwatorowie obyczajów polskich, np. Vautrin, który powiada nawet, że „jeśli duch patryotyczny wygasł w Polsce, to główną tego przyczyną były podróże." Istotnie zdarzały się liczne przykłady, że — a cytowany u góry Fredro miał je w własnej rodzinie — że młody człowiek zamiast nauczyć się zagranicą karności i poszanowania prawa, a wyżej cnót, któremi górowały nad Polską takie kraje, jak np. Francya lub Niderlandy, zamiast przejąć się wyższą ~~cywilizacyą~~ umysłową i obyczajową kulturą, nabierał niejako tylko apetytu do swawoli po zagranicznym pobycie i

pozwalał sobie w domu tem szerzej na to, czegoby sobie bezkarnie nie mógł pozwolić zagranicą. F

Z drugiej strony nie brak przecież wskazówek, że na cele podróży zapatrywano się bardzo poważnie i że dalekie kraje nie nęciły jedynie swawolnej fantazyi i pustej ciekawości, ale pociągały ku sobie wysoką kulturą, klasyczną reminiscencyą, wielką tradycyą przeszłości, że nie brakło umysłów, ~~do~~ w których dalekie a historyczne ziemie budziły tęsknotę realnego niejako zetknięcia się z tem, co idealnie posiadła już dusza. Także pięknie mówi Orzechowski o podróżach Jana Tarnowskiego: „Chrześciańskie i pogańskie kraje przechodził, przez bystre Dunaje i burzliwe morza pływał, w morzu i ziemi szukając godności wielkiemu człowiekowi przyzwoitej; i jeżdżąc, chodząc, pływając, nie oparł się, aż na Synaj górze, oblanej krwią pańską; Alexandryę, Atlantę i wszystek Egipt, miejsce pamiątkami staroświeckiemi nadobne, przechodził, Ateny uczone widział, w Rzymie się Stolicy Apostolskiej pokłonił a ztamtąd do Hiszpanji pojechał." — „Trzykroć-em oceanie, twoje widział brzegi," woła Stryjkowski i niejako z radosną dumą, że mógł fizycznem okiem oglądać to, co dotąd widział tylko okiem duszy w mistycznej dali przestrzeni i wieków, opiewa swą podróż po klasycznych stronach:

Gdzie Leander do Hery swojej śmiele pływał,
A z nią wspólnej miłości i śmierci zażywał,
I gdzie król perski Xerxes most przez morze stawił,
Przez których zbrojnych siedmkroć set przeprawił,
I gdzie w Termopilskich porażony skałach,
I gdzie w małej pomorskich łodzie uciekł falach,
I gdzie Jazon do Kolchein przez morze żeglował,
Gdzie złotej wełny dostał, o którą pracował,
Gdzie Parnassus, Helikon, Hipokren przesławny,
Który Muzom uczonym poświęcił wiek dawny,
Gdzie Grekowie i Trojanie toczyli bój srogi,
I gdzie Ulisses błądził ustępirszy drogi...

Zanim się wyrobiło w Polsce zamiłowanie podróży po za granice kraju bez ściśle określonego

F Hetman Stanisław Żółkiewski nie radzi żonie wysłać syna za granicę, bo ztamtąd „~~ty~~ zgoła rzadki z czem dobrem przyjedzie."

celu, podróży z ciekawości, dla wrażeń, dla rozrywki, dla eklektycznych jakichś korzyści cywilizacyjnych, szukanych to szczerze to pozornie tylko, zanim przyszło do podróży dla samej podróży, ~~a przyszło do niej wcześnie i jak Kromer powiada o swoich spółczesnych: complures libenter peregrinantur~~ szanowny cel i poważny, z góry powzięty zamiar nadawał podróżnikom polskim pewną dostojną cechę obowiązku, missyi, energii moralnej. Niebezpieczne poselstwa na Wschód, do Turcyi i Tatar, wyprawy dyktowane miłością chrześciańską lub rodzinną dla wykupienia ofiar jassyru, missye dyplomatyczne na dwory europejskie, pietyzm religijny, budzący nieprzepartą tęsknotę do progów apostolskich i do świętych miejsc biblijnych, pomijając już na tem miejscu dalekie wyprawy kupca krakowskiego i lwowskiego, który *per mare, per saxa, per ignes* gonić musiał za zyskiem, i żołnierza polskiego z professyi, jakiego typ doskonały skrystalizował się niejako w Lisowczyku, co „chodził ziemią, po której podobno końska nie deptała noga" — oto wszystko, co bywało pobudką i treścią a także zasługą i chwałą podróży. Przybywają dwa potężne, ogólno-ludzkie czynniki ruchu dusz i umysłów, dwa prądy bijące o Polskę fluksem i refluksem: humanizm i reformacya, zbliżają oddalone dotąd horyzonty, dają namiętność duszy, otwierają i ścielą nowe gościńce do obcej ziemi — rodzi się europejski Polak. Krzysztof Szydłowiecki, Radziwiłł Sierotka, dwaj Łascy, Warszewicki, Hozyusz, Krzycki, Dantyszek, Tomicki, Reszka, Kromer, Rozrażewscy, Morsztynowie, Nowodworski, Aruiszewski, Kleczkowski i tylu innych — jeśli w ogóle uchodzi zestawiać obok siebie nazwiska tak różnej wagi i tak odmiennego znaczenia — to reprezentanci tych rozmaitych prądów i pobudek, które prowadziły w szeroki świat pozapolski. Zmysł awanturniczy w wielkim stylu i z wielkim horyzontem, heroicznej miary wyobraźnia, rwąca się z realnej ciasnoty miejsca i bytu jakby do fantastycznych światów współczesnego Aryosta, stwarza i w Polsce typy, którym

jak Kolumbowi *il mondo è poco*. Wojewoda sieradzki Stanisław Łaski, prawdziwy *glob-trotter* XVI wieku, przebiega Włochy, Niemcy, Francyę, Hiszpanię, Węgry, Turcyę, zapuszcza się w głąb Azyi i Afryki, opiewany w osobnym łacińskim poemacie Holtorpiusa (1548 r.), co *Aeonio carmine* opisał jego podróże: *vagus immensum Lascius quaecunque per orbem vidit.*

Jaka szkoda, że żaden z tych Polaków XVI wieku, o których z drugiej ręki mamy wiadomości, że odbywali dalekie podróże pełne przygód i niezwykłych doświadczeń, nie zostawił nam pamiętnika — szkoda nie dla opisu obcych krajów i ludzi, jaki by zawierał, ale dla tego, coby nam malowało samego autora i ~~[illegible]~~ wewnętrzną, czynną relacyę jego samego jako człowieka swojej pory i swojej rasy, do obcego społeczeństwa i do obcej cywilizacyi, bo to właśnie stanowiłoby bogaty materyał psychologiczny i obyczajowy. Pamiętniki Jana Chryzostoma Paska jako źródło historyczne lub jako obraz obcych krajów niewiele mają wartości, ale jako wizerunek polskiego szlachcica i żołnierza są pierwszorzędnym dokumentem, którego nam pozazdrościć mogą inne literatury europejskie XVII wieku. Znane nam tylko fragmenta, ryczernie trudne i w przygody bogate legacye takiego Andrzeja Taranowskiego, człeka „wielkiej przezpieczności i wielkiego serca,” za jakiego był uważany przez współczesnych; dziwne i awanturnicze koleje kasztelana wojnickiego Jana Tęczyńskiego, jakie przebywał w Hiszpanji, opowiedziane niejasno i niedołężnie przez Paprockiego; podróże zagraniczne Jana Szczęsnego Herburta, osłonięte w jego autobiografji maską zagadkowych aluzyj i szarad; pobyt Bogusława Radziwiłła za granicą przed r. 1648, tak pełny obozowych przygód, pojedynków i przepraw jakby romans *di cappa e di spada* — gdyby zostały były opowiedziane przez nich samych z narracyjną łatwością Paska, coby to było za źródło do charakterystyki polskiej natury, jej indywidualizmu i energji pod obcem a szerokiem niebem, na porównawczem tle współczesnej europejskiej kultury.

Zachowały się nam wprawdzie liczne opisy legacyj do rozmaitych dworów europejskich, są to jednak relacye przeważnie oficyalnej natury; sam już zresztą dyplomatyczny i uroczysty charakter takich missyj ścierał z sprawozdań barwę indywidualną, wykluczając z nich wszystko, co było osobistem wrażeniem lub prywatnym epizodem. Jest także inny powód, że nie znajdujemy w nich tego, czego przedewszystkiem szukać zwykł historyk czasów i ludzi. Każda taka legacya polska, olśniewająca swoją zewnętrzną, a dla stolic zachodu także bardzo egzotyczną świetnością, uderzająca nadto cudzoziemców nadspodziewanie wysokiem wykształceniem swych głównych członków, ich znajomością języków i ich uczoną cycerońską swadą, wywoływała nietylko admiracyę tłumu ale także wielce pochlebną opinię dworu i dostojników miejscowych, a tym sposobem posłowie zanadto sami się czuli przedmiotem obserwacyi, aby też sami mogli bezstronnie obserwować i porównywać, a tem samem wejść niejako w bezpośrednią ściślejszą relacyę z nowym dla nich a tak pouczającym światem. Nikomu z licznych członków tych missyj nie imponuje zagranica swym dobrobytem i kulturą; wracają jakby utwierdzeni w przekonaniu, że polska pszenica i polska szabla więcej warte od handlu, przemysłu i sztuki, że inne narody tak się mają do Polski jak kupiec lub rzemieślnik do wielkiego pana, który im płaci, bo sam tak niską czynnością bawić się nie raczy. Wszakże i rozumny nasz Rej z tego samego zdaje się zapatrywać stanowiska, kiedy powiada, że „wiele jest krain i królestw co (na Polskę) robią jako za dzień wyrobkowie a tu wszystkie swe prace podawają a stąd żywności swych i innych rzeczy szukając nabywają, a my Polacy za małą pracą a za małem staraniem ich kosztownej pracy a ich robót z rozkoszą sobie używamy." Do bardzo rzadkich wyjątków należy taki Jan Zawadzki, który jadąc w r. 1633 w dyplomatycznej missyi do Anglji a patrząc w Amsterdamie na lasy masztów okrętowych, na ruch handlowy,

na bogactwo i pracowitą skrzętność ludności, woła z westchnieniem: „Oby i u nas to wszystko widzieć można!" Natomiast wielu jest takich, co uważają za utwierdzoną iluzyą wyższości, bo biorą miarę porównania z siebie a nie ze swego kraju. Zapominają, że wiedzą, znajomością języków, dostojnością form zewnętrznych, wysoką kulturą indywidualną, równającą ich z całą współczesną arystokracyą umysłową Europy, a w końcu całą stylowością swoich osób, czem wszystkiem górują nad dostojnikami i dworakami zagranicy, należą do licznych wprawdzie wyjątków w swojem własnem społeczeństwie ale zawsze do wyjątków. Jerzy Ossoliński niemal z pogardą patrzy na pracowitych i wyłącznych Holendrów: „rusticitas pysznego chłopstwa t.j.: panów tam gubernujących", jak się wyraża, budzi w nim tylko dumne uczucie wyższości. ╪ Młody Jędrzej Załuski, późniejszy kanclerz i biskup, który z missyi swojej do Madrytu, dokąd odwoził insygnia Złotego Runa po zmarłym Królu Michale, pozostawił nam pamiętnik wprawdzie pisany po łacinie ale mimo to pełny kolorytu i osobistego akcentu, podziwia pałace i ~~[illegible]~~ rezydencye, unosi się nad katedrami Grenady, Sewilli, Korduby, Toleda, ale z politowaniem patrzy na dostojników hiszpańskich i portugalskich, ludzi grubego umysłu, z których jeden mniema, że Polska to jakieś duże miasto, oblegane właśnie przez Tatarów, i nie wie, czy Anglia leży w Londynie czy też Londyn w Anglii, „prostak, którego nazwiska nie chcę wymienić, żeby mu wstydu po świecie nie narobić."

Tej wyższości jednostek, które czy to urzędowo czy prywatnie reprezentowały swoją ojczyznę za granicą, zawdzięczamy tę chlubną nad miarę opinię, jaką miała Polska XVI wieku w całej Europie. Tworzyły one, że tak powiemy, fasadę, a po za tą fasadą – powiedzmy to sobie szczerze – świat domyślał się więcej, niźli za nią było naprawdę. Przyczyniała się do tego w niemałym stopniu bezprzykładna u innych narodów plastyczność natury polskiej, dzięki której każdy Polak z zdumie-

╪ Krzysztof Opaliński, poseł po Maryę Ludwikę, na balu wydanym na cześć jego legacyi przez Królowę francuzką spogląda obojętnie i jakby z pewnem ~~uczuciem wyższości~~ lekceważeniem na kwiat arystokracyi francuzkiej: avec peu d'admiration, jak się wyraża zgorszona tem pani de Motteville.

wającą prawdziwie łatwością modelował się według każdego środowiska, choćby ono było zupełnie odmienne, zupełnie mu obce, zupełnie nawet o całe niebo dalekie od tego, które go wydało, dzięki czemu, jak to raz już podniósł mieliśmy sposobność, od razu umiał sobie przyswoić obcy język, zwyczaj i kulturę, odgadnąć i posiąść wszystkie sekreta najbardziej nawet rozwiniętej i skomplikowanej cywilizacyi, której w domu nie znał, nie przeczuwał nawet. Uważył to dobrze Rej, który powiada w swoim Zwierzyńcu:

Polak nad wsze narody jest w tem osobniejszy,
Iż ukaż mu jakiś kształt, by też najdziwniejszy,
Ujrzesz go do trzeciego dnia, aliś on tak chodzi,
Postawą i ubiorem każdemu dogodzi.

Dodajmy do tego, że w żadnym może innym narodzie nie spotykało się takiej obfitości a nawet takiej przewagi cnót i przymiotów, które głośny historyk angielski Macaulay bardzo trafnie nazywa „zbytkownemi" (fine qualities which may be called luxuries), z wielką niestety szkodą tych cichych, skromnych, prozaicznych ale bardzo koniecznych, które są powszednim chlebem narodów. Przepych i olśniewająca świetność legacyj polskich, wyprawianych zagranicę, zrobiły Polsce reputacyę ziemi nieprzebranego bogactwa, wysoka kultura umysłowa i klasyczna łacina jej ‡ posłów – nie mówiąc już o łacińskich poetach, jak Krzycki, Szymonowicz, Janicki, Sarbiewski – stworzyła legendę o kraju, w którym każdy, począwszy od króla a skończywszy na służebnym pachołku, potrafi rozmówić się językiem Cycerona – ↑ znaną też byłą ~~przecież~~ anegdota o cesarzu Ferdynandzie, który po łacinie rozmówił się z furmanem arcybiskupa gnieźnieńskiego. Skoro brano miarę z takich postaci jak Szydłowieccy, Tomiccy, Krzyccy, Hozyusze itp., skoro za typy młodzieży polskiej uchodziły takie osoby, jak ~~są tacy~~ Jan Krzysztof Tarnowski, o którym, jak to z patryotycznem obureniem zapisuje Orzechowski, papież Juliusz II nie chciał uwierzyć, że się wychował w Polsce, ‡ tedy nic dziw, że Erazm Rotterdamczyk, Paweł

↑ zapisuje przecież Werdum z zdumieniem w swoim pamiętniku podróży po Polsce (1670), że mieszczka lwowska odezwała się do niego jako do cudzoziemca poprawnym frazesem łacińskim a

‡ albo (jak ów drugi Tarnowski, Stanisław, późniejszy kasztelan sandomierski, uwieczniony przez Torquata Tasso: Dè Tarnovia conte, che star potrà co' più famosi a fronte –

Manucyusz, Muretus, Silvius Amatus, Justus Lipsius i tylu innych głośnych europejskich humanistów piało hymny pochwalne na cześć oświaty polskiej, tem szumniejsze, tem entuzyastyczniejsze, że owym śliznym listom w klasycznej łacinie, które odbierali z Polski, towarzyszyły bogate w złocie upominki.

Podróże bywały wielce kosztowne już same przez się; lekkomyślność robiła z nich łatwo źródło majątkowej ruiny, to też między surowemi napomnieniami, z jakiemi ojcowie wyprawiali swoich synów zagranicę, nakaz oszczędności figurował na pierwszem miejscu. W instrukcyi danej w r. 1613 Jerzemu Ossolińskiemu ojciec pod błogosławieństwem upomina, aby „zabawniczków – wystawniczków strzegł się" jak ognia, aby się obywał sumptis quam paucissimis" a „konwersował tylko z czystymi i skromnymi cudzoziemcami"; hetman Krzysztof Radziwiłł pioruniuje na ochmistrza swojego syna Janusza, że „już za te dwie lecie, jako z Polski wyjechali, pod 100.000 im postało" a jeszcze nie dotarli do Lowanium, gdzie Janusz miał odbywać studya. „Nie na tom go do cudzych krajów wysłał – pisze w swojem ultimatum – nie na to taki koszt ważę, aby się Janusz norymberskich pierniczków robić nauczył; siedźcie tam sobie, jako chcecie, nudźcie się, jako chcecie, ja o was pewnie ani wiedzieć ani myśleć nie będę, póki o was w Niderlandzie nie usłyszę, i halerza jednego nie poszlę, choćbyście w turmie gnić mieli." Wojewoda bełzki Jakób Sobieski, ojciec Jana III, wysyłając swoich synów w podróż do Niemiec, Holandyi, Francyi i Anglji, daje im bardzo roztropne rady, zaczerpane z własnego doświadczenia i każe im spisywać pamiętnik, a z dyaryusza ich ochmistrza Gawareckiego przekonywamy się, że młodzi Sobiescy zwiedzali dość pilnie osobliwości wielkich ~~miast~~ stolic, zwiedzali kościoły, arsenały, gmachy publiczne, interesowali się dziełami sztuki. Jak wielu Polaków podróżowało w owej porze, około r. 1645,

tego daje nam miarę wspomniany Dyaryusz, notujący nazwiska spotykanych po drodze rodaków. Sobiescy zetknęli się osobiście z trzydziestu blizko polskimi turystami, a między wymienionymi spotykamy nie samych tylko magnatów ale i szlachtę, bo obok Zamoyskich, Koniecpolskich, Radziwiłłów, Potockich, Denhofów, Opalińskich, Firlejów, Ostrorogów czytamy także Gołuchowskich, Skotnickich, Niemierzyców, Przesinowskich, Moskorzewskich, Stanisławskich, Zarembów itd. Trzeba zaś pamiętać, że liczba osób, które dyaryusz wymienia, była niewątpliwie tylko cząstką całej cyfry współcześnie podróżujących Polaków, raz dlatego, że nie wszystkich przecież szczęśliwy traf sprowadził w tym samym czasie w to samo miejsce, powtóre, że młodzi Sobiescy, posłuszni bardzo stanowczej woli ojca, unikali właśnie rodaków a zbliżali się tylko do tych mniej zapewne licznych, którym albo koligacyą, albo znajomością, albo wreszcie dobrą wzajemnie o sobie opinią byli bliżsi. Nie bez ważnych zapewne przyczyn i tylko opierając się na własnych snać bardzo niemiłych doświadczeniach, wojewoda bełzki przestrzega w instrukcyi swojej synów, aby pod groźbą największej niełaski ojcowskiej unikali zagranicą Polaków. „Co się tknie konwersacyi z naszymi Polakami — są słowa wojewody — to już miłością ojcowską proszę was dla Boga, rozkazuję i zaklinam pod błogosławieństwem, abyście jaknajostrożniej postępowali; i Pana Boga o to prosić będę, aby jak najmniej Polaków było, gdzie wy będziecie stać." Ten zakaz swój, ujęty w tak uroczystą formę zaklęcia, uzasadnia Sobieski zwadliwością, plotkarstwem, zazdrością, marnotrawstwem, złemi obyczajami większej części podróżujących zagranicą Polaków, „z których rzadki czem się tam dobrem bawi." Przestrzega też wojewoda swoich synów „paterno affectu, aby się w utratach nie równali drugim tam bestiom Polakom, bo jeśli wam Bóg więzienie przejrzał, cierpcie go za ojczyznę ale nie za długi, jako to siła naszych Polaków pozdychało w katuszach francuzkich dla długów z wielką sromotą

narodu naszego.

Sobieski niewątpliwie za daleko się posuwa w tym surowym sądzie; za osobiste przykrości, jakie go od rodaków spotkały zagranicą, wylewa żółć swoją niemal na ogół cały, za wybryki jednostek czyni odpowiedzialnym niejako charakter swego narodu — nie da się atoli zaprzeczyć, i już w XVII wieku mamy tego liczne dowody, że zamiłowanie zbytku, próżności i awantur, nieja fantazya, drzemiąca prawie zawsze w duszy szlacheckiej owych czasów, wiodły młodych podróżników na bezdroża daleko zgubniejsze na cudzej ziemi aniżeli w ojczyźnie, gdzie ratunek był bliższy a przebaczenie łatwiejsze. Ale i poczciwość serca, łatwowierność, bezbronność wobec cudzej przebiegłości, naiwna dobroduszność idąca ~~w paszę~~ na lep wyzyskiwaczom i oszustom — minchione comme un Polacco mówi stare przysłowie włoskie, — częściej jeszcze może niż owe wszystkie ujemne przymioty charakteru wprowadzały młodych podróżników polskich w fatalne sytuacye. W ostatnich latach XVIII wieku, w tej porze tak obfitej w międzynarodowych awanturników małego i wielkiego stylu, mnożą się także za granicą dwuznaczne karyery polskie, fałszywie świetne, samozwańczo znakomite, bardzo krótkie i bardzo niesławne; zasilają się lekkomyślnymi Polakami szulerskie jaskinie rozmaitych stolic europejskich, zaludnia się nimi paryzki Fort l'Evêque i inne więzienia za długi, pojawiają się coraz liczniej błędni kawalerowie i typy awanturnicze na wzór Kobielskich, Zawoyskich, Chadźkiewiczów, Walickich, Dzierżanowskich; bohaterowie hazardu jak Mięczyńscy, Ponińscy, Gurowscy; rozswawolone, rozigrane, pieniące się i upojne życie warszawskie z czasów Stanisława Augusta wyrzuca ich jak korki szampańskie po za ~~brzegi~~ polskie brzegi. Na odwrót cały tłum awanturników i kawalerów industryi, kartowników, szarlatanów i maskowanych fantastów, oszustów i szalbierzy, Włochów, Niemców, Francuzów, grasuje po Polsce, wyzyskując łatwowierność i wrodzoną predylekcyę do cudzoziemców. Osławiony w całej Europie Casanova ma wstęp do Króla, bywa gościem u senatorów, pojedynkuje się z Branickim; Cagliostro uczy robić złoto hetmana Czarnockiego, leczy tajemniczemi środkami damy polskie, sprzedaje za drogie pieniądze arkana alchemiczne i ucieka z trzosem pełnym dukatów a jego piękna żona z bogatym łupem brylantów; ludzie niskiego pochodzenia i dwuznacznej przeszłości jak Tomatis, Campioni, Marucci, dorabiają się fortun i zaszczytów, żenią się z córkami znakomitych domów, zyskują dyplomy szlacheckie, fałszywi markizowie francuscy i baronowie niemieccy ~~oj~~ oszukują i ogrywają młodzież polską.

A